



MARC LEVY

**SIEDEM DNI
DLA WIECZNOŚCI**

*Przypadek to forma, jaką przybiera Bóg,
żeby pozostać incognito*

Jean Cocteau

*Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.
I tak upłynął wieczór i poranek...*

Dzień pierwszy

Leżąc na łóżku, Lucas patrzył na gwałtownie mrugającą diodę beepera. Zamknął książkę, odłożył na bok, zachwycony. Po raz trzeci w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przeczytał tę historię i jak sięgał pamięcią, żadna lektura dotychczas nie sprawiła mu takiej przyjemności.

Koniuszkiem palca pogłaskał okładkę książki. Ten Hilton chyba zostanie jego ulubionym autorem. Znowu wziął książkę do ręki, zadowolony, że jakiś gość zostawił ją w szufladce nocnego stolika właśnie w tym hotelu, po czym celnym ruchem wrzucił ją do otwartej walizki leżącej w drugim końcu pokoju. Zerknął na zegar, przeciągnął się i wstał z łóżka. „Stań i idź”, powiedział wesoło. Przed lustrem szafy podciągnął węzeł krawata, poprawił marynarkę od czarnego garnituru, wziął ciemne okulary, które leżały na stoliku obok telewizora, i wsunął je do górnej kieszonki. Beeper przyczepiony w pośpiechu do paska spodni nie przestawał wibrować. Pchnął nogą drzwi jedynej w pokoju szafy i podszedł do okna. Rozsunął nieruchomą szarawą zasłonę, aby spojrzeć na wewnętrzne podwórko; nie było wiatru, który przewiałby zanieczyszczone powietrze, wypełniające dolny Manhattan aż po TriBeCa*. Zapowiadał się skwarny dzień, Lucas uwielbiał słońce, a kto bardziej niż on świadom był szkodliwości jego promieni? Na wyschniętych ziemiach pozwala na rozwijanie się wszelkich zarodków i bakterii, w oddzielaniu słabych od silnych jest bardziej bezlitosne niż sama kostucha. „I stało się światło!”, zanucił, podnosząc słuchawkę. Poprosił recepcję, aby przygotowano mu rachunek, bo jego pobyt w Nowym Jorku został skrócony, po czym opuścił pokój.

* Dzielnica na południu Manhattanu.

W końcu korytarza wyłączył alarm przy drzwiach prowadzących na schody ewakuacyjne.

Gdy dotarł na podwórko, wyjął książkę, walizkę wrzucił do dużego kontenera na śmieci i swobodnym krokiem wyszedł na ulicę.

Na wąskiej uliczce SoHo, pokrytej nierównym brukiem, Lucas łakomym wzrokiem wpatrywał się w balkonik z kutego żelaza, który opierał się pokusie oberwania tylko dzięki łaskawości dwóch zardzewiałych nitów. Lokatorka z trzeciego piętra, młodziutka modelka o zbyt kształtnych piersiach, wyzywająco płaskim brzuchu i mięsistych ustach, wyszła właśnie z mieszkania i usiadła na leżaku, niczego się nie obawiając, i tak powinno być. Za kilka minut (jeśli nie mylił go wzrok, a nie mylił go nigdy) nity odpadną. Ślicznotka wyląduje trzy piętra niżej, jej ciało zostanie zmiażdżone. Krew wyciekająca z ucha do szczelin w bruku podkreśli wyraz strachu na jej twarzy. Ładna buzia znieruchomieje z tym grymasem, aż rozłoży się w jodłowej skrzynce, w której rodzina panienki ją zamknie, a potem wrzuci pod kamienną płytę i uroni kilka niepotrzebnych łez. Drobnie zdarzenie, o którym dzielnicowa gazetka wspomni w czterech źle napisanych liniijkach, a które zakończy się procesem wytoczonym administratorowi budynku. Osoba odpowiedzialna za stan techniczny straci pracę w urzędzie miejskim (zawsze trzeba znaleźć winnego), jej zwierzchnik ukręci łeb całej sprawie, stwierdzając, że doszłoby do tragedii, gdyby pod balkonem znajdowali się przechodnie - że niby Bóg czuwa na tej ziemi, a to właśnie jest największym problemem Lucasa.

Dzień mógłby zacząć się doskonale, gdyby w głębi przytulnego mieszkania nie zadzwonił telefon komórkowy, który ta głupia gęś zostawiła w łazience. Bezmyślna łepetyna wstała i poszła po niego: stanowczo więcej rozumu jest w pierwszym lepszym komputerku niż w mózgu modelki, pomyślał Lucas, głęboko zawiedziony.

Lucas zacisnął szczęki, aż zazgrzytały zęby, tak jak szczęki jadącej ku niemu śmieciarki, od której zadrżała ulica. Z suchym traskiem metalowe złącza oderwały się od fasady i runęły w dół. Na niższym piętrze szyba w oknie rozleciała się w drobny mak od uderzenia kawałkiem balustrady. Gigantyczne bierki z żelaznych przeżartych rdzą prętów, siedlisko pałeczek tęcza, spadły na bruk. Wzrok Lucasa znowu się ożywił, bo podłużny, ostry kawał metalu leciał ku ziemi z zawrotną prędkością. Gdyby jego pospieszne obliczenia okazały się prawidłowe, a zawsze takie bywały, jeszcze nic straconego. Nonszalanckim krokiem zszedł na jezdnię, zmuszając kierowcę samochodu wywrotki do zwolnienia. Żelazna sztaba przebiła kabinę i utkwiała w klatce piersiowej szofera; śmieciarka raptownie skręciła. Dwaj pracownicy stojący na tylnym

pomoście nie zdążyli nawet krzyknąć: jednego Chapmana ziejąca gardziel i natychmiast zmiażdżyły go pracujące niezawodne szczęki, drugiego wyrzuciło do przodu i upadł na beton. Przednie koło przejechało mu po nodze.

Nieco dalej Dodge uderzył w latarnię i wysadził ją w powietrze. Pozbawione izolacji przewody elektryczne wpadły na dobry pomysł, aby opaść do rynsztoka pełnego ścieków. Snop iskier ogłosił wspaniałe krótkie spięcie, które objęło długi rząd domów. W całej dzielnicy zgaszły światła sygnalizacyjne na skrzyżowaniach, były teraz tak czarne jak garnitur Lucasa. Z odległości docierały już odgłosy pierwszych kolizji na pozostawionych samym sobie skrzyżowaniach. Na przecięciu Crosby Street i Spring nieuniknione było zderzenie rozszalałej śmieciarki z żółtą taksówką. Uderzona w bok Yellow Cab wbiła się w witrynę sklepu przy Muzeum Sztuki Współczesnej. „Kolejne zmniejszenie wystawy”, zamruczał Lucas. Przód śmieciarki staranował parkujący samochód, reflektory - teraz już ślepe - sterczały w górę. Ciężki pojazd wygiął się ze zgrzytem rozdieranej blachy, po czym przewrócił na bok. Z wnętrza wydalili tony odpadków, jezdnia pokryła się dywanem śmieci. Po całym zgiełku zakończonego już dramatu nastąpiła grobowa cisza. Słońce najspokojniej kontynuowało wędrówkę ku zenitowi, ciepło jego promieni niebawem wypełni dusznym odorem powietrze w dzielnicy.

Lucas poprawił kołnierzyk koszuli; nienawidził, kiedy wystawał spod marynarki. Popatrzył wokół na rozmiar katastrofy. Była dopiero dziewiąta i właściwie zapowiadał się piękny dzień.

Głowa kierowcy taksówki opierała się o kierownicę, naciskając klakson, który trąbił unisono z dźwiękiem syren holowników w nowojorskim porcie, miejscu bardzo ładnym, kiedy było pogodnie, tak jak w tę późnojesienną niedzielę. Lucas tam właśnie szedł. Helikopter zabierze go stamtąd na lotnisko La Guardia; jego samolot startuje za sześćdziesiąt sześć minut.

Nabrzeże 80. w porcie handlowym San Francisco było puste, Zofia powoli odwiesiła słuchawkę i wyszła z budki telefonicznej. Oczami zmrużonymi od oślepiającego światła patrzyła na przeciwległe molo. Ludzki rój krzątał się wokół ogromnych kontenerów. Siedzący wysoko pod samym niebem dźwigowi dyrgowali ze swych kabin subtelnym baletem żurawi, krzyżujących się w pionie nad olbrzymim statkiem towarowym, mającym odpłynąć do Chin. Zofia westchnęła, nawet przy największej na świecie dobrej woli nie jest w stanie zrobić wszystkiego sama. Ma wiele talentów, ale nie posiada daru wszechobecności.

Mgła kładła się już na moście Golden Gate, jedynie szczyty przęsła wystawały z gęstej chmury, powoli nadpływającej nad zatokę. Niebawem ruch w porcie zapewne ustanie z powo-

du braku widoczności. Zofia, świetnie wyglądająca w mundurze funkcjonariuszki odpowiedzialnej za bezpieczeństwo, miała niewiele czasu na przekonanie majstrów, działaczy związku zawodowego, że dokerzy pracujący na akord powinni już iść do domu. Gdyby tylko potrafiła się złościć!... Życie ludzkie jest przecież więcej warte niż kilka skrzyń załadowanych w pośpiechu; ale mężczyźni nie zmieniają się nagle, w przeciwnym wypadku jej obecność tutaj byłaby niepotrzebna.

Zofia lubiła atmosferę panującą na nabrzeżu. Zawsze miała tu dużo do zrobienia. W pobliżu starych magazynów zbierała się cała mizeria tego świata. Koczowali tu bezdomni, w wątpliwym ukryciu przed jesiennymi deszczami, lodowatym wiatrem, który Pacyfik pędził nad miasto zimą, i policyjnymi patrolami, nieczęsto zapuszczającymi się w ten wrogi świat, bez względu na porę roku.

- Manca, koniec pracy!

Barczysty mężczyzna udawał, że nie słyszy. W dużym notatniku, który trzymał na brzuchu, zapisywał numer rejestracyjny kontenera wędrującego właśnie w górę.

- Manca! Niech pan mnie nie zmusza do spisania mandatu, proszę ogłosić koniec pracy, i to natychmiast! - powtórzyła Zofia. - Widoczność jest mniejsza niż osiem metrów, a dobrze pan wie, że poniżej dziesięciu należy przerwać wszelką działalność w porcie.

Majster Manca postawił parafę w notesie i podał go młodzieńcowi, który mu asystował. Ruchem ręki dał znak, aby odszedł.

- Niech pani stąd idzie, stoi pani w strefie zasięgu dźwigu: kiedy coś się odzepi, nie ma żartów!

- Tak, ale nigdy się nie odzepia. Manca, czy pan słyszał? - nalegała Zofia.

- Nie mam laserowego celownika w oku, o ile wiem! - zamruczał, drapiąc się w ucho.

- Ale pana zła wola jest o wiele bardziej precyzyjna niż pierwszy lepszy dalmierz! Niech pan nie próbuje zyskać na czasie, natychmiast proszę zamknąć port, zanim będzie za późno.

- Pracuje tu pani od czterech miesięcy; nigdy dotąd wydajność tak nie zmalała. Wyżywi pani rodziny moich kumpli pod koniec tygodnia?

Do strefy wyładunku zbliżał się traktor. Kierowca niewiele widział, jego przednie widły ledwo uniknęły zderzenia z przyczepą.

- No, zejdź z drogi, malutka, przeszkadza tu pani!

- To nie ja przeszkadzam, to mgła. Niech pan więcej płaci dokerom. Jestem pewna, że ich dzieci bardziej się ucieszą, gdy zobaczą ojca dzisiaj w domu, niż kiedy będą pobierać pie-

niądze z pośmiertnego funduszu związku zawodowego. No, niech się pan pospieszy, Manca, za dwie minuty piszę dla pana wezwanie do sądu i sama pójdę do sędziego złożyć oświadczenie.

Majster popatrzył na Zofię, po czym splunął w kierunku portu.

- Nawet nie widać śladu na wodzie! - powiedziała.

Manca wzruszył ramionami, wziął do ręki walkie-talkie i z rezygnacją zarządził koniec pracy. Chwilę później rozległ się czterokrotny sygnał dźwiękowy, natychmiast wstrzymujący taniec żurawi, podnośników, ciągników, wózków, wszystkiego, co się porusza przy nabrzeżu lub na pokładach statków. W niewidocznej dali przeciwmgielna syrena holownika odpowiedziała na sygnał ogłaszający koniec pracy.

- Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie w końcu zamknąć ten port.

- To nie ja o tym decyduję, po prostu nie chcę dopuścić do tego, żeby pańscy ludzie się pozabijali. Niech pan się nie krzywi, nie lubię, kiedy się gniewamy, zapraszam na kawę i jajecznicę. Chodźmy!

- Może pani mnie czarować, ile pani chce, tymi anielskimi oczami, ale uprzedzam, przy widoczności na dziesięć metrów wracamy do roboty!

- Dopiero wtedy, kiedy będzie można przeczytać nazwę statku na burcie! No już, chodźmy!

Fisher's Deli, najlepsza stołówka w porcie, była już zatłoczona. Za każdym razem gdy zapadała mgła, wszyscy dokerzy tam się schodzili, żeby razem oczekiwać na jej rychłe rozproszenie, które uratuje ich dzień pracy. Starsi siedzieli przy stole w głębi sali. Najmłodszy stali przy kontuarze i zmartwieni usiłowali dojrzeć przez okna dziób statku lub fragment pokładowego żurawia, pierwsze oznaki poprawy pogody. W zgiełku zupełnie przypadkowych rozmów wszyscy modlili się, ze ściśniętym żołądkiem, bijącym sercem. Dla tych wykwalifikowanych robotników, którzy pracują dzień i noc, nigdy nie skarżąc się na rdzę i sól, atakujące nawet ich stawy, dla tych ludzi, którzy nie czują już rąk ze zgrubiałymi odciskami, powrót do domu z kilkoma dolarami związkowego zabezpieczenia w kieszeni był czymś naprawdę strasznym.

W barze rozlegała się kakofonia - brzęk talerzy, gwizd parującego ekspresu do kawy, kostki lodu grzechoczące w pojemniku. Na ławkach wyściełanych czerwonym skajem dokerzy siedzieli w sześciuosobowych grupkach, w ogólnym tumultcie nie było słyhać ich rozmów.

Matylda, kelnerka z krótką fryzurką à la Audrey Hepburn, o smukłej sylwetce w płóciennym fartuchu, niesie tak obciążoną tacę, że butelki na niej zachowują równowagę chyba tylko za sprawą czarodziejskiej różdżki. Z notesem zamówień w kieszeni fartucha biega od

kuchni do kontuaru, od baru do stolików, od sali do okienka, gdzie zwraca się naczynia. Dni wielkiej mgły są dla niej dniami pracy bez wytchnienia, ale w jej codziennej samotności stanowią najprzyjemniejsze chwile. Poblężliwymi uśmiechami, spojrzeniami spod oka, ciętymi odpowiedziami zawsze potrafi podnieść na duchu otaczających ją mężczyzn. Otwierają się drzwi, odwraca głowę i uśmiecha się, bo dobrze zna wchodzącą właśnie kobietę.

- Zofia! Stolik numer pięć! Pospiesz się, jeszcze chwila, a musiałabym chyba wejść na stół, żeby ci go zarezerwować. Zaraz przynoszę kawę.

Zofia siada przy stoliku wraz z majstrem, który nie przestaje zrzędzić.

- Od pięciu lat powtarzam im, że powinni zainstalować wolframowe oświetlenie; zyskalibyśmy rocznie co najmniej dwadzieścia dni pracy. Poza tym normy są zupełnie idiotyczne, moje chłopaki potrafią pracować nawet przy pięciometrowej widoczności, to zawodowcy.

- Manca, trzydzieści siedem procent pańskich pracowników to praktykanci!

- Praktykanci są tu po to, żeby się nauczyć! Nasz zawód przekazujemy sobie z ojca na syna, nikt tutaj nie igra z życiem innych. Na kartę dokera trzeba sobie zapracować, zawsze tak było!

Twarz majstra rozjaśnia się, kiedy Matylda przerywa im, przynosząc zamówienie, dumna ze swej zręczności nabytej w pracy.

- Jajecznica na bekonie dla pana, Manca. A ty, Zofio, jak zwykle nie będziesz jadła. Mimo wszystko przyniosłam kawę, której zapewne nie wypijesz, z mlekiem, bez pianki. Chleb, keczup, proszę, jest wszystko!

Z pełnymi już ustami Manca jej dziękuje. Matylda niepewnym głosem pyta Zofię, czy ma wolny wieczór. Zofia odpowiada, że zaraz po zakończeniu dyżuru przyjedzie po nią. Uspokojona kelnerka znika w zatłoczonym barze, który coraz bardziej się wypełnia. Z głębi sali do wyjścia przepycha się mężczyzna o słusznej postawie. Przystaje obok ich stolika, wita się z majstrem. Manca wyciera usta i unosi głowę na powitanie.

- Co ty tu robisz?

- To co ty, przyszedłem odwiedzić najlepszą jajecznicę w mieście!

- Znasz naszą panią oficer od bezpieczeństwa, porucznika Zofię...?

- Nie mieliśmy przyjemności - przerywa mu Zofia, podnosząc się z miejsca.

- No to przedstawiam pani mojego starego przyjaciela, inspektora George'a Pilguezę z policji w San Francisco.

Wyciągnęła rękę do detektywa, który patrzył na nią ze zdziwieniem, gdy rozdzwonił się beeper przyczepiony do jej paska.

- Coś mi się zdaje, że dzwonią po panią - rzekł Pilguez.

Zofia zerknęła na mały aparacik przy pasku. Nad cyfrą siedem uparcie mrugała dioda. Pilguez spojrział z uśmiechem.

- U was jest aż siedem? Ta robota musi być niezmiernie ważna, u nas jest najwyżej cztery.

- Ta dioda zamrugała po raz pierwszy - odpowiedziała zaniepokojona. - Muszę już iść, bardzo przepraszam.

Pożegnała obu mężczyzn, dała znak Matyldzie, która tego nie dostrzegła, po czym przecisnęła się przez tłum do wyjścia.

Od stolika, przy którym usiadł inspektor Pilguez, majster krzyknął:

- Proszę nie jechać za szybko, przy widoczności poniżej dziesięciu metrów żaden pojazd nie może poruszać się po nabrzeżu!

Ale Zofia już go nie usłyszała; postawiła kołnierz skórzanej kurtki i pobiegła do samochodu. Gwałtownie zamknęła drzwi, włączyła silnik i natychmiast ruszyła. Służbowy ford zatrząsł się i ruszył wzdłuż doków z wyjąca syreną. Zofii nie przeszkadzała nieprzenikniona mgła, która ciągle jeszcze gęstniała. Jechała przez tę upiorną dekorację, przeciskała się niemal pomiędzy żurawiami, zręcznie lawirowała między kontenerami i unieruchomionymi maszynami. Potrzebowała kilku minut, aby dotrzeć do strefy załadunku towarów. Przy wjeździe zwolniła przed punktem kontrolnym, mimo że w taką pogodę droga na pewno jest wolna. Barierek w czerwono-białe pasy była uniesiona. Strażnik nabrzeża 80. wyszedł z budki wartowniczej, ale w tę białą noc niczego nie dostrzegł. Nie można było zobaczyć swojej własnej wyciągniętej ręki. Zofia jechała Trzecią Ulicą, wzdłuż strefy portowej. Minęła Basen Chiński, zaraz potem Trzecia skręcała wreszcie w stronę centrum miasta. Zofia idealnie opanowana jechała pustymi ulicami. Jej beeper znowu zadzwonił. Zaprotestowała głośno.

- Robię, co mogę! Nie mam skrzydeł, a prędkość też ma swoje granice!

Gdy tylko skończyła zdanie, ogromny błysk przemienił się we mgle w świetlną aureolę. Uderzył piorun o niesłychanej sile, zadrżały wszystkie szyby w domach. Zofia szeroko otworzyła oczy, jej stopa nieco mocniej wcisnęła pedał gazu, wskazówka licznika lekko poszła w górę. Jadąc przez Market Street, Zofia zwolniła, z trudem rozróżniała kolor sygnalizacji

światłej, skierowała się w stronę Kearny. Od celu dzieliło ją jeszcze osiem rzędów domów, dziewięć, gdyby zechciała respektować jeden kierunek ruchu, co bez wątpienia uczyni.

Na niewidocznych ulicach ulewa rozdzierała ciszę, ciężkie krople z ogłuszającym pluśkiem rozbijały się na przedniej szybie auta, wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody. W oddali z gęstej chmury okrywającej miasto wyłaniał się tylko wierzchołek najwyższego piętra majestatycznego drapacza w kształcie piramidy, Transamerica Building.

Rozparty w fotelu pierwszej klasy Lucas oglądał przez okienko to szatańskie, ale bosko piękne widowisko. Boeing 767 krążył nad zatoką San Francisco w oczekiwaniu na pozwolenie lądowania. Lucas poklepał z niecierpliwością beeper przyczepiony do paska. Dioda numer siedem nie przestawała mrugać. Podeszła stewardesa, aby poprosić o wyłączenie go i podniesienie oparcia: maszyna zbliżała się do lotniska.

- No to zbliżcie się wreszcie i opuście na ziemię ten cholerny samolot, bo mam mało czasu!

Głos kapitana zaskrzypiał w głośnikach: warunki meteorologiczne na ziemi były stosunkowo trudne, ale niewielka ilość paliwa w zbiornikach zmuszała ich do lądowania. Poprosił personel latający o zajęcie miejsc i wezwał do kabiny pilotów szefową stewardes. Odłożył mikrofon. Wymuszona mina stewardesy z pierwszej klasy zasługiwała na Oscara: żadna aktorka na świecie nie potrafiłaby przybrać uśmiechu à la Charlie Brown, przyklepionego do kącików ust. Siedząca obok Lucasa stara kobieta, która nie potrafiła opanować strachu, złapała go za przegub. Rozbawiła go jej wilgotna dłoń i lekkie drżenie poruszające całą ręką. Kadłubem rzucały coraz gwałtowniejsze wstrząsy. Wydawało się, że metal cierpi tak samo jak pasażerowie. Przez okienko widać było skrzydła samolotu, drgające w maksymalnej amplitudzie przewidzianej przez inżynierów Boeinga.

- Dlaczego wezwano stewardesę? - spytała stara kobieta, prawie płacząc.

- Żeby wrzuciła kapitanowi cukier do kawy! - odpowiedział rozpromieniony Lucas. - Boi się pani?

- I to jak! Pomodłę się za nasze wybawienie!

- Ach, niech pani tego nie robi! Ma pani szczęście, proszę zachować ten strach, to bardzo dobre dla zdrowia! Adrenalina doskonale wszystko oczyszcza. Pobudza krążenie krwi, pracę serca. Zyskuje pani właśnie dwa lata życia! Dwadzieścia cztery miesiące na piękne oczy, czysty zysk, chociaż patrząc na pani wyraz twarzy, muszę powiedzieć, że sytuacja nie zapowiada się najweselej!

Pasażerka tak zaschła w gardle, że nie mogła mówić, więc tylko wytarła wierzchem dłoni krople potu z czoła. Serce jej waliło, oddychała z coraz większym trudem, przed oczami latały niezliczone ilości migocących gwiazdek. Rozbawiony Lucas przyjacielsko poklepał ją po kolanie.

- Jeśli pani mocno zaciśnie powieki, przy maksymalnej koncentracji oczywiście, na pewno pani zobaczy Wielką Niedźwiedzicę.

Wybuchnął śmiechem. Sąsiadka straciła przytomność, jej głowa opadła na boczne oparcie fotela. Pomimo gwałtownych turbulencji stewardesa podniosła się z miejsca. Z trudem przytrzymując się pólek na bagaże, szła w kierunku zemdłej pasażerki. Z kieszeni fartuszka wyjęła mały flakon soli trzeźwiących, otworzyła go i podstawiła nieprzytomnej starszej pani pod nos. Lucas patrzył na nią, jeszcze bardziej rozbawiony.

- Proszę zauważyć, że babcia ma powody, aby nie czuć się dobrze, ten wasz pilot nieźle sobie poczyna. Zupełnie jakbyśmy jechali górską kolejką w wesołym miasteczku. Niech mi pani powie... to oczywiście zostanie między nami, obiecuję... to lekarstwo... to leczy chorobę inną chorobą?...

Nie mógł powstrzymać ponownego wybuchu śmiechu. Szefowa stewardes popatrzyła na niego z oburzeniem: nie widziała niczego zabawnego w tej sytuacji i dała mu to do zrozumienia.

Głęboka dziura powietrzna zepchnęła stewardesę pod drzwi kabiny pilotów. Lucas posłał jej szeroki uśmiech i energicznie poklepał policzek sąsiadki. Kobieta drgnęła i otworzyła jedno oko.

- I znowu jest między nami! Ile mil zrobiła pani w czasie tej króciutkiej podróży?

Pochylił się do jej ucha i wyszeptał:

- Niech się pani nie wstydzi, proszę popatrzeć wokół, wszyscy się modlą, co za komedia!

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo samolot właśnie usiadł na ziemi z ogłuszającym wyciem silników. Pilot przełączył ciąg silników odrzutowych, obfite strumienie wody smagały kadłub. W końcu maszyna stanęła. Pasażerowie oklaskiwali pilotów albo składali ręce, dziękując Bogu za uratowanie. Lucas z irytacją odpiął pas bezpieczeństwa, wznosił oczy ku niebu, popatrzył na zegarek i ruszył w kierunku przednich drzwi.

Deszcz padał ze zdwojoną siłą. Zofia zaparkowała forda przy chodniku otaczającym wieżowiec. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną, zza której wyjęła plakietkę z literami CIA. Wybiegła na rzęsisty deszcz, poszukała monety w kieszeni, jedyną, jaką znalazła, wsunęła do par-

kometru. Potem przebyła plac przed gmachem, potrójne drzwi obrotowe prowadzące do wnętrza majestatycznego budynku w kształcie piramidy. Okrążyła hall. Beeper znowu zawibrował przy jej pasku: wzniosła spojrzenie ku górze.

- Przykro mi, ale mokry marmur jest bardzo śliski! Wszyscy o tym wiedzą oprócz architektów...

Na ostatnim piętrze wieżowca często żartowano, mówiąc, że różnica między architektami a Bogiem jest taka, że Bóg nie uważa się za architekta.

Poszła wzdłuż muru budynku, aż do kamiennej płyty, którą rozpoznała po jaśniejszym odcieniu. Przyłożyła rękę do ściany. Jedna z płyt na fasadzie rozsunęła się, Zofia weszła do środka, płyta natychmiast powróciła na swoje miejsce.

Lucas wysiadł z taksówki i szedł pewnym krokiem po dziedzińcu, który Zofia przed chwilą opuściła. Po przeciwnej stronie wieżowca tak samo jak ona przyłożył rękę do kamiennej ściany. Jedna z płyt, tym razem ciemniejsza niż inne, przesunęła się, Lucas wszedł do zachodniego skrzydła Transamerica Building.

Zofia bez trudu przyzwyczaiła się do półmroku panującego w korytarzu. Po siedmiu zakrętach dotarła do obszernego, wyłożonego białym granitem hallu, z którego odjeżdżały trzy windy. Wysokość sklepienia tego miejsca przyprawiała o zawrót głowy. Dziewięć ogromnych kul, każda innych rozmiarów, zawieszonych na linkach o niewidocznych punktach zaczepienia, świeciło rozproszonym łagodnym światłem.

Każda wizyta w siedzibie Agencji stanowiła dla niej źródło zdziwienia. Panująca tu atmosfera była niezwykła. Przywitała się z portierem, który wyszedł zza swego kontuaru.

- Dzień dobry, Piotrze, co słyhać?

Przywiązanie Zofii do tego człowieka, który od zawsze pilnował wejścia do Centrali, było naprawdę szczere. Każde wspomnienie przejścia przez te tak bardzo upragnione drzwi kojarzyło jej się z jego obecnością. Przecież to właśnie jemu zawdzięczano spokojny nastrój w Przdسیونku Domu, pomimo panującego tu ogromnego ruchu tranzytowego. Nawet w bardzo ruchliwe dni, kiedy setki osób spieszyły w stronę drzwi, Piotr, alias Piotrosz, nigdy nie dopuszczał do bałaganu czy przepychanki. Siedziba CIA nie byłaby tym, czym jest, bez obecności tej zrównoważonej i czujnej istoty.

- Ostatnio mieliśmy dużo pracy - powiedział Piotr. - Czekaają na panią. Może chce się pani przebrać, mam tu gdzieś pani klucz do szatni, zaraz poszukam...

Zaczął grzebać w szufladach recepcyjnej lady i mamrotał:

- Tyle tu kluczy! Gdzie ja mogłem go położyć?

- Nie mam czasu, Piotroszu! - rzekła Zofia, idąc szybkim krokiem w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

Szklane drzwi obróciły się. Zofia poszła w lewo do windy, Piotr przywołał ją do porządku, wskazując palcem ekspresową kabinę pośrodku, tę, która jechała bezpośrednio na najwyższe piętro.

- Jest pan pewien? - spytała zaskoczona.

Piotr przytaknął ruchem głowy, drzwi otworzyły się na dźwięk dzwonka, odbijający się echem od granitowych ścian. Zofia stała kilka chwil, osłupiała ze zdumienia.

- Proszę się pospieszyć, życzę miłego dnia - powiedział z życzliwym uśmiechem.

Drzwi zamknęły się za nią, winda pojechała na najwyższe piętro CIA.

W przeciwległym skrzydle wieży zaskwierczała neonowa lampa starej towarowej windy, na kilka sekund zamigotało światło. Lucas poprawił krawat i otrzepał kłapy marynarki. Krata się otworzyła.

Na powitanie wyszedł mężczyzna w identycznym garniturze. Nie odzywając się ani słowem, szybkim ruchem wskazał miejsce w poczekalni i wrócił za swoje biurko. Wielki brytan o wyglądzie Cerbera, który dotąd spał uwiązany u jego stóp, teraz uniósł jedną powiekę, oblizał się łakomie i zamknął oko; na czarnym mokiecie pozostał ślad śliny.

Hostessa odprowadziła Zofię do przepastnej sofy. Zaproponowała przejrzenie któregoś z magazynów leżących na stoliku. Zanim powróciła za swój kontuar, zapewniła Zofię, że niebawem ktoś po nią przyjdzie.

W tej samej chwili Lucas zamknął jakiś ilustrowany magazyn i spojrział na zegarek: dochodziło południe. Odpiął bransoletę i zapiął ją odwrotnie na przegubie, żeby nie zapomnieć nastawić zegarka po wyjściu. Zdarzało się czasem, że w tak zwanym biurze czas się zatrzymywał, a Lucas nie znosił niepunktualności.

Zofia rozpoznała Michała, gdy tylko ukazał się na końcu korytarza; jej twarz natychmiast się rozpromieniła. Siwiejące włosy, zawsze trochę w nieładzie, głębokie zmarszczki w kącikach oczu, nieco ostre rysy twarzy, i ten zabawny szkocki akcent (niektórzy utrzymują, że zapożyczył go od Seana Connery - nie opuścił żadnego jego filmu) nadawały mu postawę, której elegancji nie odbierze nawet zaawansowany wiek. Zofia uwielbiała sposób, w jaki jej krewny syczał, wymawiając s, ale jeszcze bardziej zachwycał ją niewielki dołek, powstający na brodzie, kiedy się uśmiechał. Od chwili przybycia do Agencji Michał stał się jej mentorem, jej niedośc-

głym wzorem. W miarę jak pokonywała kolejne szczeble hierarchii, towarzyszył jej na każdym kroku i ciągle się starał, aby nic negatywnego nie pozostawało w jej aktach. Dzięki wytrwałym lekcjom i szczerzej trosce zawsze doceniał niezwykle zalety swej ulubienicy. Jego wyrozumiałość, niemająca sobie równej, przytomność umysłu, siła ducha równoważyły sławne już cięte odpowiedzi Zofii, które niekiedy zaskakiwały jej współpracowników. A co do jej sposobu ubierania się... wszyscy tutaj wiedzą, i to od bardzo dawna, że nie suknia zdobi człowieka.

Michał zawsze popierał Zofię, bo od pierwszych chwil rozpoznał w niej doskonałego pracownika i zawsze czuwał, aby ona sama nigdy się o tym nie dowiedziała. Nikt by się nie odważył przeciwstawić jego opinii: ceniono go za naturalny autorytet, mądrość i oddanie. Od zarania Michał był w Agencji postacią numer dwa, prawą ręką samego szefa, którego każdy nazywał tu Panem.

Z aktami pod pachą Michał stanął przed Zofią. Wstała, aby go pocałować.

- Jak miło, że się znów spotykamy! To ty mnie wzywałeś?

- Tak, no może nie całkiem, poczekaj tutaj - odpowiedział. - Za chwilę po ciebie przyjdę.

Wydawał się nieco spięty, a to nie było do niego podobne.

- Co się dzieje?

- Nie teraz, wyjaśnię ci później, i zrób mi przyjemność, wyjmij tego cukierka z ust, zanim...

Recepcjonistka nie pozwoliła mu dokończyć polecenia, bo już na niego czekano. Szybkim krokiem poszedł korytarzem, odwrócił się tylko, żeby uspokoić ją wzrokiem. Przez ścianę słyszał już dochodzące z dużego gabinetu strzępki rozmowy, która stawała się coraz bardziej ożywiona.

- Co to, to nie, tylko nie w Paryżu! Tam cały czas strajkują... to byłoby dla ciebie za łatwe, prawie codziennie są tam manifestacje... Nie nalegaj... to już trwa tyle czasu, nie sądzę, żeby natychmiast przestali, dla naszej przyjemności!

Krótką chwilą ciszy zachęciła Michała do uniesienia ręki i zapukania do drzwi, ale zawahał się, słysząc głos Pana mówiący jeszcze głośniejszym głosem:

- Azja i Afryka też nie!

Michał zgiął palec, ale ręka znieruchomiła kilka centymetrów od drzwi, bo głos znowu się rozległ, tak że słyszalny był w całym korytarzu.

- Nie ma mowy o Teksasie! A dlaczegożby nie w Alabamie?!

Spróbował jeszcze raz, bez większego sukcesu, jednak głos nieco się uspokoił.

- Co myślisz o tym mieście? W końcu to nie najgorszy pomysł... Oszczędzi nam to niepotrzebnych przemieszczeń, a poza tym ileż to już czasu walczyliśmy o ten teren. Niech będzie San Francisco!

Cisza oznaczała, że nadszedł odpowiedni moment. Zofia nieśmiało uśmiechnęła się do Michała, kiedy wchodził do biura Pana. Drzwi się za nim zamknęły, Zofia zwróciła się do recepcjonistki.

- Jest zdenerwowany, prawda?

- Tak, od chwili gdy wstał zachodni dzień - odpowiedziała wykrętnie.

- Dlaczego?

- Dużo różnych rzeczy tu słyszę, ale nie jestem wtajemniczona w sprawy Pana... a poza tym, zna pani zasady, nie powinnam nic mówić, zależy mi na tej pracy.

Za cenę wielkiego wysiłku zdołała zachować milczenie nieco ponad minutę, po czym powiedziała:

- Tak całkiem poufnie, tylko między nami, mogę panią zapewnić, że nie tylko on jest dziś zdenerwowany. Rafael i Gabriel pracowali przez całą zachodnią noc, Michał dołączył do nich o wschodnim zmierzchu, chyba chodzi tu o coś piekielnie ważnego.

Zofię bawiło przedziwne słownictwo używane w Agencji. Ale czy w tym miejscu możliwe jest myślenie w godzinach, skoro każda strefa kuli ziemskiej ma swój własny czas? Jej protektor przypominał przy każdym jej żarcie, że światowe oddziaływanie Centrali oraz różnorodność językowa personelu usprawiedliwiają niektóre wyrażenia i zupełnie inne ich zastosowanie. Zakazane jest na przykład używanie cyfr dla identyfikacji agentów Służby Wywiadowczej. Pan wybrał pierwszych członków swego zarządu, nadając im imiona i ta tradycja przetrwała... W końcu przecież kilka prostych zasad, dalekich od przyjętych z góry ziemskich uprzedzeń, ułatwiało koordynację operacyjną i hierarchiczną CIA. Od zawsze rozpoznawano anioły według ich imion.

... bo tak właśnie funkcjonował od zarania czasów Dom Boży, który nazywany był też CIA (Centrala Inwigilacji Aniołów).

Pan przechadzał się wzdłuż i wszerz, z rękami skrzyżowanymi z tyłu i stroskaną miną. Od czasu do czasu przystawał, aby wyjrzeć przez duże okna biura. Poniżej gęsta pierzyna chmur nie pozwalała dojrzeć ani skrawka ziemi. Niezmierzona błękitna przestrzeń spowijała swą nieskończonością oszklone drzwi balkonowe. Rzucił gniewne spojrzenie na stół konferencyjny, ciągnący się przez całą długość pokoju. Ogromny blat sięgał aż do ściany sąsiedniego

gabinetu. Pan odwrócił się do stołu i odsunął stertę akt. Wszystkie te gesty zdradzały niecierpliwość, nad którą jednak panował.

- Starocie! Wszystko pokryte kurzem! Chcesz, żebym ci powiedział, co o tym myślę? Te kandydatury są odwieczne! I ty chcesz, żebyśmy wygrali?

Michał, który ciągle stał przy drzwiach, teraz podszedł parę metrów.

- To są agenci wyselekcjonowani przez pana Radę...

- Pomówmy o mojej Radzie! Co za brak wyobraźni! Ciągle międlą te same parabole, Rada też się starzeje!

Kiedy byli młodzi, mieli pełno pomysłów na ulepszanie świata. Dzisiaj są nieudolni!

- Ale ich zalety nie wyczerpały się, proszę Pana.

- Nie kwestionuję ich, ale popatrz tylko, co się dzieje!

Jego głos wzleciał ku niebu, aż zatrzęsły się ściany. Michał bał się nade wszystko złości swego pracodawcy. Nie zdarzała się często, ale jej skutki były raczej groźne. Wystarczyło popatrzeć przez okno na pogodę, żeby zorientować się, jaki ma w danej chwili humor.

- Czy w ostatnich czasach decyzje Rady przyczyniły się do postępu ludzkości? - podjął Pan. - Nie ma co się puszyć, prawda? Wkrótce nie będziemy już mieć wpływu na zwykłe trzepotanie skrzydełek motyla... ani On, ani Ja zresztą - powiedział, wskazując na ścianę w głębi pokoju. - Gdyby dostojni członkowie mojego zgromadzenia byli bardziej nowocześni, nie musiałbym przyjmować tak absurdalnego wyzwania! Ale wyzwanie zostało rzucone, więc musimy wymyślić coś nowego, oryginalnego, wspaniałego, a przede wszystkim twórczego! Zaczynamy nową kampanię, stawką jest dalszy los tego przybytku, do Diabła!

Natychmiast ktoś trzy razy zapukał w ścianę, Pan popatrzył na nią z rozdrażnieniem, po czym przesiadł się na drugi koniec stołu. Z przebiegłą miną zwrócił się wreszcie do Michała.

- Pokaż no, co tam chowasz w zanadrzu!

Jego wierny współpracownik, zmieszany, podszedł bliżej i położył przed nim tekturową teczkę. Pan ją otworzył i wyciągnął pierwsze kartki, jego wzrok ożywił się, zmarszczone czoło w miarę czytania zdradzało rosnące zainteresowanie. Podniósł ostatni plik i uważnie oglądał serię dołączonych fotografii.

Z włosami blond, sfotografowana w alejce starego cmentarza w Pradze, brunetka biegnąca nad kanałami Petersburga, ruda, skupiona pod wieżą Eiffla, z krótkimi włosami w Rabacie, długimi rozwianymi przez wiatr w Rzymie, ułożonymi w pukle na placu Europy w Madrycie, bursztynowej barwy na uliczkach Tangeru - zawsze jest czarująca. En face czy z profilu, jej

twarz była po prostu anielska. Pytającym wzrokiem Pan wskazał zdjęcie, na którym ramię Zofii było obnażone: drobny szczegół przykuł jego uwagę.

- To jest dorysowane - szybko powiedział Michał, krzyżując palce. - Para malutkich skrzydełek, odrobina kokieterii, tatuaż... może trochę nowoczesności? Ale można to wymazać!

- Dobrze widzę, że to są skrzydła - zamruczał Pan. - Gdzie ona jest, czy mogę ją zobaczyć?

- Czeka za drzwiami...

- No to niech wejdzie!

Michał opuścił gabinet i poszedł po Zofię. Po drodze wydał serię poleceń. Zofia zaraz spotka się z samym szefem, to jest tak doniosłe wydarzenie, że jej protektor ma tremę, tak jak i ona... ale Zofia powinna opanować swoją w czasie rozmowy. Powinna tylko słuchać, chyba że Pan zada jakieś pytanie i sam nie odpowie. Nie wolno patrzeć mu prosto w oczy. Michał złapał oddech i mówił dalej:

- Zbierz włosy do tyłu i trzymaj się prosto. Aha, jeszcze jedno, jeśli będziesz coś mówić, na końcu każdego zdania powiedz „proszę pana”...

Michał popatrzył na Zofię i uśmiechnął się.

- ... I zapomnij o tym, co mówiłem, bądź sobą! On to najbardziej lubi. Dlatego właśnie zaproponowałem twoją kandydaturę, zapewne też dlatego On cię już wybrał! Jestem wyczerpany, to wszystko już nie na mój wiek.

- Wybrał do czego?

- Zaraz się dowiesz, no, nabierz powietrza i wchodź, to twój wielki dzień... i wypłuj wreszcie tę gumę do żucia, raz na zawsze!

Zofia nie mogła się powstrzymać od zrobienia głębokiego ukłonu.

Z pokrytą zmarszczkami twarzą, szlachetnymi rękami, wspaniałą postawą, poważnym głosem, Bóg wywierał jeszcze większe wrażenie, niż była w stanie to sobie wyobrazić. Dyskretnie wsunęła gumę do żucia pod język i poczuła jakiś nieopisany dreszcz na plecach. Pan poprosił, żeby usiadła. Jest, według słów jej protektora (On wiedział, że tak nazywała Michała) jednym z najlepszych agentów jego Domu, chciał więc powierzyć jej misję - najważniejszą, jaką Agencja miała przeprowadzić, od początku swego istnienia. On na nią popatrzył, ona natychmiast opuściła głowę.

- Michał wyda pani dokumenty i instrukcje niezbędne do prawidłowego przebiegu operacji, za którą wyłącznie pani będzie odpowiedzialna...

Nie ma prawa się pomylić, czas będzie ograniczony... Ma siedem dni, aby należycie spełnić misję.

- ... Proszę dać dowód wyobraźni, talentu, podobno jest pani wszechstronnie uzdolniona, wiem o tym. Proszę zachować najwyższą dyskrecję, pani jest bardzo skuteczna, o tym też wiem.

Wydawał tyle poleceń, bo dotychczas żadna operacja nie narażała Agencji w tak dużym stopniu. Chwilami sam już nie wiedział, w jaki sposób został wciągnięty w to nieprawdopodobne wyzwanie.

- ... Tak, wydaje mi się, że wiem! - dodał.

Ze względu na wagę tej stawki będzie zdawać sprawę wyłącznie Michałowi, a w razie jakiejś nagłej potrzeby, gdyby Michał był nieosiągalny, Jemu osobiście. To, co

Pan teraz powie, nie powinno nigdy wyjść poza te mury. Otworzył szufladę i pokazał jej rękopis, na którym widniały dwa podpisy. Tekst wyszczególniał dyspozycje niezwyklej misji, jaką miała spełnić:

Dwie potęgi ustalające porządek tego świata nie przestają ścierać się ze sobą od zarania dziejów. Stwierdzając, że żadnej z nich nie udaje się wpłynąć zgodnie ze swą wolą na los ludzkości, każda ze stron uważa, że ta druga krzyżuje jej plany w dążeniu do doskonałego urzeczywistnienia swej wizji świata...

Pan przerwał Zofii odczytywanie, by wygłosić komentarz:

- Od dnia, w którym jabłko utkwilo mu w gardle, Lucyfer sprzeciwia się temu, żebym powierzył ziemię człowiekowi. Nieustannie chce pokazać, że moje stworzenie nie jest tego godne.

Dał Zofii znak, żeby czytała dalej, Zofia wzięła do ręki dokument:

... Wszystkie analizy polityczne, ekonomiczne i klimatyczne prowadzą do wniosku, że ziemia zamienia się w piekło.

Michał wyjaśnił Zofii, że ich Rada przeciwstawiła tej przedwczesnej konkluzji Lucyfera opinię, według której obecna sytuacja wynika z ich ciągłej rywalizacji, co hamuje ujawnienie się prawdziwej natury ludzkiej.

Jeszcze za wcześnie, aby się wypowiadać, jedynie pewny jest fakt, że ze światem dzieje się coś niedobrego. Zofia czytała dalej:

Pojęcie „natury ludzkiej” radykalnie się zmienia w zależności od punktu widzenia. Po wiecznych dyskusjach przyjęliśmy opinię, że nadejście trzeciego tysiąclecia powinno być za-

czątkiem nowej ery, wolnej od naszych antagonizmów. Od północy do południa, od zachodu po wschód nadszedł czas, abyśmy zamienili naszą wymuszoną koegzystencję na bardziej skuteczny sposób działania...

- To nie może dłużej trwać - rzekł Pan.

Zofia obserwowała powolne ruchy rąk, towarzyszące Jego mowie.

- Wiek dwudziesty za bardzo dał się nam we znaki. Jak tak dalej pójdzie, w końcu stracimy wszelką kontrolę, zarówno On, jak i ja. Nie możemy do tego dopuścić, rzecz idzie o naszą wiarygodność. We wszechświecie jest nie tylko Ziemia, wszyscy na mnie patrzą. Miejsca święte wywołują wiele wątpliwości, ludzie znajdują w nich coraz mniej odpowiedzi...

Michał z zażenowaniem patrzył w sufit, zakaszłał, Pan poprosił Zofię, aby czytała dalej.

...Dla uzasadnienia prawa do rządzenia światem w ciągu następnego tysiąclecia rzuciliśmy sobie wzajem ostateczne wyzwanie, które brzmi, jak następuje:

Wyślemy na siedem dni między ludzi tę lub tego, którego uważamy za najlepszego z naszych agentów. Kto zdoła przeciągnąć ludzkość w stronę dobra lub w stronę zła, przyniesie zwycięstwo swojemu obozowi, co będzie zapowiedzią fuzji naszych dwóch instytucji. Zwycięzca zyska prawo zarządzania nowym światem.

Rękopis był podpisany ręką Boga i ręką Diabła.

Zofia powoli uniosła głowę. Chciała przeczytać jeszcze raz, od początku, żeby zrozumieć istotę dokumentu, który trzymała w ręku.

- To zupełnie niedorzeczny zakład - rzekł Pan - i trochę niejasny. Ale co się stało, to już się nie odstanie.

Wzięła do ręki dokument, On zrozumiał zdziwienie, jakie zdradzały jej oczy.

- Potraktuj to pismo jako część mojego ostatecznego testamentu. Ja też się starzeję. Po raz pierwszy odczuwam zniecierpliwienie, więc postaraj się, żeby czas bardzo szybko mijał - dodał, wyglądając przez okno. - Nie zapominaj, jak bardzo jest liczony... Zawsze był, to moje pierwsze ustępstwo.

Michał dał Zofii znak, że powinna wstać i opuścić Biuro. Posłuchała natychmiast. Kiedy była już w progu, musiała się jeszcze odwrócić.

- Proszę Pana?

Michał wstrzymał oddech, Bóg odwrócił się do niej, twarz Zofii się rozjaśniła.

- Dziękuję - powiedziała. Bóg uśmiechnął się do niej.

- Siedem dni wobec całej wieczności... liczę na ciebie! Patrzył, jak wychodzi z pokoju.

Na korytarzu Michał ledwo odzyskał oddech, kiedy usłyszał poważny głos przywołujący go ponownie. Zostawił Zofię, zawrócił i wszedł do gabinetu. Pan zmarszczył brwi.

- Kawalek gumy, który przylepiła pod moim stołem pachnie truskawką, prawda?

- Tak, proszę Pana, to zapach truskawki - odpowiedział Michał.

- Jeszcze jedno, kiedy zakończy już swoją misję, będę ci wdzięczny, jeśli zlikwidujesz ten rysunek na jej ramieniu, zanim wszyscy zrobią sobie coś takiego. Trudno uciec przed modą.

- Oczywiście, proszę Pana.

- Ostatnie pytanie: skąd wiedziałeś, że wybiorę właśnie ją?

- Bo już od dwóch tysięcy lat pracuję dla Pana!

Michał zamknął za sobą drzwi. Kiedy Pan został sam, usiadł na końcu długiego stołu i zaczął wpatrywać się w przeciwległą ścianę. Odkasznął i oświadczył czystym, silnym głosem:

- Jesteśmy gotowi!

- My też! - odpowiedział sarkastycznie głos Lucyfera.

Zofia czekała w niewielkiej salce. Wszedł Michał, zbliżył się do okna. Poniżej niebo jaśniało, z gęstej warstwy chmur wynurzało się kilka wzgórz.

- Pospiesz się, nie mamy czasu do stracenia, muszę cię przygotować.

Usiedli przy małym okrągłym stole, we wnęce. Zofia zwierzyła się Michałowi ze swych obaw.

- Od czego mam rozpocząć tę misję, Opiekunie?

- Już na starcie masz fory, moja droga Zofio. Popatrzmy, jak rzeczy się mają, zło jest wszechobecne i prawie tak samo niewidzialne jak my. Grasz w obronie, twój przeciwnik w ataku. Najpierw musisz rozpoznać siły, jakie wytoczy przeciw tobie. Znajdź miejsce, w którym będzie chciał operować. Najpierw pozwól mu działać, a potem rozbijaj jego plany, jak tylko potrafisz. Dopiero kiedy go unieszkodliwisz, będziesz miała możliwość wprowadzenia w życie swojego projektu. Twoim jedynym atutem będzie znajomość terenu. Na miejsce działania wybrali San Francisco... całkiem przypadkowo.

Bujając się na krześle, Lucas kończył zapoznawanie się z tym samym dokumentem pod czujnym okiem swojego Prezesa. Mimo że story były spuszczone, Lucyfer nie zdjął grubych okularów przeciwsłonecznych, maskujących jego spojrzenie. Wszyscy współpracownicy wiedzieli, że najsłabsze nawet światło drażni mu oczy, oparzone niegdyś przez nadmierne promieniowanie.

W otoczeniu członków swego gabinetu, którzy siedzieli przy stole ogromnych rozmiarów (sięgał aż do ściany oddzielającej tę wielką salę od sąsiedniego biura), Prezes oświadczył członkom Rady, że posiedzenie zostało zamknięte. Pospieszani przez szefa komunikacji, niejakiego Błażeja, obecni zmierzali do jedynych drzwi wyjściowych. Prezes, ciągle siedząc, zrobił ruch ręką, aby przywołać Lucasa. Tym samym gestem skłonił go, by bliżej się nachylił, i wyszeptał mu coś do ucha, coś, czego nikt nie słyszał. Przy wyjściu z biura na Lucasa czekał Błażej, który towarzyszył mu aż do windy.

Po drodze dał mu kilka paszportów, dewizy, spory pęk kluczy samochodowych i zamachał mu przed nosem kartą kredytową koloru platyny.

- Proszę uważać z wydatkami, żeby nie były za duże!

Szybkim, pełnym irytacji ruchem Lucas wziął plastikowy prostokącik i zrezygnował z uściśnięcia najtłuszczej ręki w całej organizacji. Przyzwyczajony już do tego Błażej potarł dłoń o wierzch spodni i niezgrabnie włożył ręce do kieszeni. Ukrywanie było jedną z większych specjalności tego osobnika, który wspiał się na zajmowane stanowisko nie dzięki kompetencji, ale drogą oszustw i hipokryzji, wynikającej z ogromnej woli awansu. Błażej pogratulował Lucasowi, powiedział, że naciskał całą swą mocą (litotes, biorąc pod uwagę jego fizjonomię), aby przeforsować jego kandydaturę. Lucas nie uwierzył ani jednemu słowu: Błażej był według niego człowiekiem niekompetentnym, któremu powierzono sprawy wewnętrznych kontaktów wyłącznie z racji więzów rodzinnych.

Lucas nie zadał sobie nawet trudu podania mu ręki, kiedy przyrzekał, że regularnie będzie mu zdawał sprawozdanie z postępów swej misji. W organizacji, która go zatrudniała, mistyfikacja jest najpewniejszym środkiem, jakim dysponują dyrektorzy dla uwiecznienia swej władzy. Aby podobać się Prezesowi, zdarzało się im niekiedy okłamywać siebie nawzajem. Szef od spraw komunikacji błagał Lucasa, aby ten zdradził, co Prezes szeptał mu do ucha. Lucas popatrzył na niego z pogardą i odszedł.

Zofia pocałowała w rękę swego opiekuna i zapewniła, że go nie zawiedzie. Spytała, czy może mu powierzyć pewną tajemnicę. Michał przytaknął skinieniem głowy. Zawahała się chwilę, po czym wyznała, że Pan ma niesamowite oczy, nigdy jeszcze nie widziała takiego błękitu.

- Czasami zmieniają kolor, ale nie wolno ci nikomu opowiadać o tym, co w nich widziałas.

Obiecała i wyszła na korytarz. Odprowadził ją do windy. Zanim zasunęły się drzwi, wyszeptał porozumiewawczo:

- Powiedział, że jesteś urocza.

Zofia zarumieniła się. Michał udał, że tego nie dostrzegł.

- Może dla nich takie wyzwanie jest tylko jeszcze jedną diabelską sztuczką; ale dla nas to kwestia przetrwania. Wszyscy na ciebie liczymy.

Kilka chwil później znowu szła przez duży hall. Piotr rzucił okiem na swoje monitory, droga była wolna. Drzwi w fasadzie wieżowca rozsunęły się i Zofia wyszła na ulicę.

W tej samej chwili Lucas wychodził na drugą stronę wieżowca. Ostatnia błyskawica przecięła niebo w oddali, ponad wzgórzami Tiburon. Przywołał taksówkę, auto zatrzymało się tuż przed nim, wszedł do Yellow Cab.

Na przeciwległym chodniku Zofia biegła w kierunku swego samochodu, policjantka drogowa wypisywała właśnie mandat.

- Jaki ładny dzień, co tam u pani? - spytała Zofia kobietę w mundurze.

Funkcjonariuszka powoli odwróciła głowę, aby upewnić się, czy Zofia sobie z niej nie żartuje.

- Czy my się znamy?

- Nie, chyba nie.

Z powątpiewającą miną obgryzała pióro, przyglądając się Zofii. Wydarła z bloczku kartkę z mandatem.

- A co u pani? - zapytała, wsuwając mandat za wycieraczkę.

- Nie ma pani przypadkiem truskawkowej gumy do żucia? - zapytała Zofia, wyjmując kartkę.

- Nie, miętową.

Zofia grzecznie podziękowała za pastylkę, którą ją poczęstowano. Otworzyła drzwi samochodu.

- Przyjmuje pani ten mandat bez dyskusji?

- Nie, nie.

- Wie pani, że od początku roku kierowcy rządowych samochodów muszą sami płacić mandaty?

- Tak - rzekła Zofia. - Gdzieś chyba o tym czytałam, tak powinno być.

- W szkole zawsze była pani pierwsza? - spytała policjantka Jones.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam już dobrze... Teraz, gdy pani spytała, zdaje mi się, że siadałam tam, gdzie chciałam.

- Pani na pewno czuje się dobrze?

- Dzisiaj będzie wspaniały zachód słońca, niech pani nie przepuści okazji! Musi go pani obejrzeć z rodziną, najlepiej z Presidio Park, to będzie przepiękny spektakl.

Muszę iść, czeka mnie ogrom pracy - powiedziała Zofia, wsiadając do samochodu.

Kiedy ford odjechał, funkcjonariuszka poczuła lekki dreszcz na plecach. Schowała pióro do kieszeni i wyjęła telefon komórkowy.

Zostawiła długą wiadomość na sekretarce telefonicznej swego męża. Prosiła, żeby przesunął o pół godziny początek służby, a ona postara się wrócić wcześniej. Zaproponowała mu spacer po Presidio Park o zachodzie słońca. To będzie wyjątkowy zachód, powiedziała jej to pracownica CIA! Dodała też, że go kocha i że od czasu, gdy mają różne godziny pracy, nawet nie znalazła chwili, aby mu powiedzieć, jak bardzo go jej brakuje. Kilka godzin później, robiąc zakupy na zapowiadany w ostatniej chwili piknik, nie zwróciła nawet uwagi, że guma do żucia, którą wrzuciła do wózka, nie była gumą miętową.

Lucas, uwięziony w korkach w dzielnicy biurowców, przerzucał kartki przewodnika turystycznego. Bez względu na to, co pomyśli Błażej, stawka jego misji usprawiedliwiała znaczny wzrost wydatków: poprosił kierowcę, żeby zawiózł go do Nob Hill. Apartament w hotelu Fairmont, znanym w mieście hotelu-rezydencji, w pełni mu odpowiada. Samochód skręcił w California Street na wysokości Grace Cathedral, po czym podjechał pod majestatyczny dach osłaniający wejście. Zatrzymał się obok aksamitnego czerwonego dywanu, wykończonego złotą nicią. Tragarz chciał wziąć jego niewielką walizeczkę, ale rzucił mu spojrzenie, które zatrzymało go w pewnej odległości. Nie podziękował portierowi, który obrócił dla niego drzwi, i skierował się prosto do recepcji. Recepcjonistka nie znalazła śladu rezerwacji. Lucas podniósł głos, wymyślając kobiecie, że do niczego się nie nadaje. Momentalnie podbiegł do niego sam szef. Przemawiając służalczym tonem, stosowanym zwykle do „nadzwyczaj trudnego klienta”, podał Lucasowi magnetyczną kartę do drzwi i rozpływał się w przeprosinach; wyraził nadzieję, że apartament kategorii „wyższej” pozwoli mu zapomnieć o drobnych przykrościach, wywołanych brakiem kompetencji jednej z pracownic. Lucas zdecydowanym ruchem wziął kartę i poprosił, aby pod żadnym pretekstem mu nie przeszkadzano. Udał, że wsuwa mu banknot do ręki, zapewne tak samo wilgotnej jak dłoń Błażeja, i szybkim krokiem poszedł w kierunku windy.

Szef recepcji odwrócił się z pustymi rękami i rozgniewaną miną. Windziarz uprzejmie spytał rozpromienionego klienta, czy miał dobry dzień.

- A co cię to obchodzi? - odpowiedział Lucas i wyszedł z kabiny.

Zofia zaparkowała samochód tuż przy chodniku. Weszła na schodki niewielkiego wiktoriańskiego domku przy Pacific Heights. Otworzyła drzwi i stanęła twarzą w twarz ze swoją gospodynią.

- Wróciłaś z podróży, bardzo się cieszę - powiedziała Miss Sheridan.

- Przecież wyszłam z domu dziś rano!

- Jesteś pewna? Zdawało mi się, że wczoraj wieczorem też cię nie było. Och, wiem dobrze, że wtrącam się do tego, co nie powinno mnie obchodzić, ale nie lubię, kiedy dom jest pusty.

- Wczoraj późno wróciłam, pani już spała, miałam trochę więcej pracy niż zwykle.

- Za dużo pracujesz! W twoim wieku z twoją urodą powinnaś spędzać wieczory z przyjacielem.

- Muszę pójść się przebrać, ale przed wyjściem do pani przyjdę, Reine, obiecuję.

Uroda Reine Sheridan nigdy nie poddała się upływowi czasu. Jej łagodny, niski głos był nadal przepiękny, pełne blasku spojrzenie świadczyło o intensywnym życiu, z którego zachowała jedynie dobre wspomnienia. Była jedną z pierwszych kobiet, wielkich reporterów przemierzających świat. Ściany jej owalnego salonu pokrywały pożółkłe fotografie, twarze z przeszłości, świadectwa licznych podróży, spotkań. Tam, gdzie jej koledzy po fachu starali się uchwycić to, co wyjątkowe, Reine na gorąco fotografowała codzienność, uwieczniając w niej to co najpiękniejsze, jej doraźność.

Kiedy nogi nie pozwoliły jej już podróżować, osiadła w swym domu przy Pacific Heights. Tu się urodziła, stąd wyjechała 2 lutego 1936 roku, w dniu swych dwudziestych urodzin, aby wsiąść na statek płynący do Europy. Później wróciła, aby tu przeżyć jedyną miłość, czas zbyt krótkotrwałej chwili szczęścia.

Od tamtej pory Reine zamieszkiwała sama w tym wielkim domu, aż do dnia, w którym dała ogłoszenie do „San Francisco Chronicle”. „Jestem pani nową lokatorką”, powiedziała z uśmiechem Zofia, stając w jej drzwiach z samego rana w dniu ukazania się ogłoszenia. Stanowczy głos oczarował Reine, jej nowa lokatorka wprowadziła się jeszcze tego wieczora i w czasie pierwszych tygodni przemieniła życie tej kobiety, która dzisiaj przyznawała, że jest szczęśliwa, odkąd zrezygnowała z samotności. Zofia uwielbiała wieczory spędzane w towarzy-

stwie gospodyni. Kiedy nie wracała zbyt późno, już przez szybę drzwi wejściowych dostrzegła smugę światła w przedpokoju, Miss Sheridan bowiem w ten sposób zapraszała ją do siebie. Pod pretekstem upewnienia się, czy wszystko w porządku, Zofia wsuwała głowę przez drzwi. Duży album fotograficzny leżał otwarty na tapczanie, kilka kawałków placka ułożone było na misternie rzeźbionej paterze przywiezionej z Afryki. Reine czekała w fotelu, siedząc twarzą do drzewka oliwnego rosnącego w atrium. Zofia wchodziła, kładła się na podłodze i zaczynała przewracać kartki któregoś z albumów oprawnych w starą skórę, które zalegały w oszklonych szafkach w pokoju. Nie spuszczać wzroku z drzewka oliwnego, Reine po kolei komentowała fotografie.

Zofia weszła na piętro, przekreśliła klucz w drzwiach do swojego mieszkania, nogą pchnęła drzwi i rzuciła pęk kluczy na konsolę. W przedpokoju zdjęła kurtkę, w małym salonie zdjęła bluzkę, przeszła przez pokój, ściągając spodnie, i weszła do łazienki. Odkręciła krany prysznic, rury zaczęły hałasować. Krótkim ruchem przesunęła gałkę, woda pociekła na włosy. Przez małe otwarte okienko, z którego widać było dachy układające się w kształt ślimaka, opadające aż do portu, dochodził dźwięk dzwonów Grace Cathedral, wybijających godzinę dwiętnastą.

- Jak to, już? - powiedziała.

Wyszła z alkowy ładnie pachnącej eukaliptusem i wróciła do pokoju. Otworzyła szafę, nie była zdecydowana, co ma włożyć: podkoszulek czy męską koszulę o wiele dla niej za dużą, bawełniane spodnie czy stare dżinsy, w końcu zdecydowała się na dżinsy i koszulę, której rękawy zawinęła. Do paska przyczepiła beeper, wsunęła stopy w tenisówki i ruszyła w podskokach do przedpokoju. Wzięła pęk kluczy, postanowiła zostawić otwarte okna i zeszła na dół.

- Dzisiaj wrócę późno. Zobaczymy się jutro, gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dać znać na beeper, dobrze?

Miss Sheridan wymamrotała jakąś litanię, którą Zofia potrafiła doskonale zinterpretować. Coś w rodzaju: „Za dużo pracujesz, moje dziecko, żyje się tylko raz”.

To była prawda, Zofia nieustannie działała dla dobra innych, ciągle pędziła bez wytchnienia, bez najmniejszej przerwy na zjedzenie obiadu czy odświeżenie się, bo aniołowie nigdy się nie posilają. Reine, choć miała intuicję i sporą dozę tolerancji, nie mogła za nic w świecie odgadnąć, czym właściwie było to, co Zofia starała się nazywać „swoim życiem”.

Siódme, ostatnie uderzenie potężnych dzwonów jeszcze nie wybrzmiało. Grace Cathedral, wznosząca się wysoko na szczycie Nob Hill, stała na wprost okien apartamentu Lucasa. Z

rozkoszą ssał kość kurczaka, schrupał chrząstkę na końcu udka i wstał, żeby wytrzeć ręce w zasłonę. Włożył marynarkę, przejrzał się w dużym lustrze przy kominku i wyszedł. Zbiegł na dół głównymi schodami, dominującymi nad hotelowym hallem, i posłał drwiący uśmiezek recepcjonistce, która spuściła głowę, gdy tylko go ujrzała. Przed wejściem portier w liberii natychmiast wezwał taksówkę, Lucas wsiadł, ale nie dał mu napiwku. Miał ochotę na jakiś piękny nowy samochód; jedynym miejscem, w którym można sobie taki wybrać w niedzielę, był port towarowy, bo tam stały przeróżne modele wyładowane ze statków handlowych. Poprosił kierowcę o zawieszenie na nabrzeże 80... Tam ukradnie sobie jakieś auto, takie, jakie mu się spodoba.

- I niech się pan spieszy! Nie mam czasu! - dodał.

Chrysler skręcił w California Street i skierował się w dół miasta. Potrzebowali zaledwie siedmiu minut na przejechanie dzielnicy biurowej. Na każdym skrzyżowaniu szofer coś gderał, odkładając notes; wszystkie światła zmieniały się na zielone, co nie pozwalało mu zapisać celu tego kursu, jak nakazywały przepisy. „Chyba robią to specjalnie”, zamruczał przy szóstym skrzyżowaniu. W lusterku wstecznym dojrzał uśmiech Lucasa, siódme światło otworzyło mu dalszą drogę.

Kiedy zajechali pod bramę prowadzącą do strefy portowej, z chłodnicy zaczęła wydobywać się gęsta para, samochód zakrzusił się i stanął na poboczu.

- Tylko tego brakowało! - westchnął taksówkarz.

- Nie płacę za kurs - powiedział Lucas ostrym tonem. - Jeszcze nie dojechaliśmy do celu.

Wysiadł, zostawiając otwarte drzwi. Zanim kierowca zareagował, maska silnika została wysadzona w powietrze gejzerem rdzawej wody tryskającej z chłodnicy. „Uszczelka głowicy, silnik jest kaput, kochaniutki!”, krzyknął Lucas, oddalając się.

Przy budce pokazał strażnikowi plakietkę, bariera w czerwono-białe paski podniosła się. Pewnym krokiem szedł na parking. Tam dostrzegł cudownego chevroleta camaro kabriolet, bez trudności otworzył go wytrychem. Usiadł za kierownicą, wybrał jeden z kluczy z pęku, który miał u pasa, i kilka sekund później odjechał. Samochód sunął główną aleją, nie omijając żadnej kałuży w dziurach w asfalcie. Opryskał w ten sposób kontenery stojące po jednej i drugiej stronie drogi, ich znaki rejestracyjne stały się nieczytelne.

Kiedy skończył się bruk, szybkim ruchem zaciągnął hamulec ręczny; auto poślizgnęło się, aż stanęło w odległości kilku centymetrów od witryny portowego baru Fisher's Deli. Lucas wysiadł, gwizdząc, wszedł po trzech drewnianych stopniach i pchnął drzwi.

Sala była prawie pusta. Zwykle robotnicy przychodzili tu się napić po długim dniu pracy, ale dzisiaj, z powodu niepogody panującej przez całe przedpołudnie, starali się nadrobić stracone godziny. Tego wieczoru skończą pracę bardzo późno, przekażą maszyny bezpośrednio pracownikom nocnej zmiany, którzy niebawem nadejdą.

Lucas usiadł w bocznej części baru, przyglądał się Matyldzie, wycierającej szklanki za kontuarem. Jego dziwny uśmiezek zaniepokoił ją, od razu podeszła przyjąć zamówienie. Nie miał ochoty na picie.

- A może coś do zjedzenia? - spytała.

Chyba że w jej towarzystwie. Matylda delikatnie odrzuciła propozycję, nie wolno jej siadać na sali w godzinach pracy. Lucas miał czas, nie był głodny, zamierzał więc zaprosić ją w jakieś inne miejsce, nie tak okropnie banalne jak to.

Matylda była zażenowana, urok Lucasa nie pozostawiał jej całkiem obojętną. W tej części miasta, tak jak i w jej życiu, elegancja była rzadkością. Kiedy patrzył na nią swymi przezroczystymi oczami, musiała odwrócić wzrok.

- To miło z pana strony - powiedziała cichutko.

W tej samej chwili usłyszała dwukrotny dźwięk klaksonu.

- Nie mogę - odpowiedziała Lucasowi. - Dziś wieczorem umówiłam się na kolację z przyjaciółką. To właśnie ona trąbi. Może innym razem?

Weszła zdyszana Zofia, skierowała się do baru, gdzie Matylda zajęła swoje miejsce, i usiłowała odzyskać spokój.

- Przepraszam za spóźnienie, ale miałam zwariowany dzień - rzekła Zofia, siadając na wysokim barowym stołku.

Do baru weszło około dziesięciu mężczyzn z nocnej zmiany, co bardzo zirytowało Lucasa. Jeden z dokerów przystanął obok Zofii, zauważył, że bez munduru wygląda uroczo. Podziękowała dźwigowemu za komplement i odwróciła się do Matyldy, wznosząc oczy do nieba. Śliczna kelnerka pochyliła się do przyjaciółki i poprosiła, aby dyskretnie spojrzała na klienta w czarnej marynarce, siedzącego we wnęce, w głębi sali.

- Widziałam... daj spokój!

- Od razu wielkie słowa! - szepnęła Matylda.

- Matyldo, twoja ostatnia przygoda miłosna o mało nie kosztowała cię utraty życia, więc jeśli tym razem mogę ci pomóc uniknąć najgorszego... wolałabym coś lepszego!

- Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz?

- Bo najgorsze, co się może zdarzyć, to właśnie ten rodzaj faceta!

- Jaki rodzaj?

- Jakieś takie mroczne spojrzenie.

- Szybko wyciągasz wnioski, nie ma co! Nawet nie słyszałam, kiedy naładowałaś pistolet!

- Potrzebowałaś aż sześciu miesięcy na odtrucie się z tych wszystkich świństw, którymi tak hojnie cię częstował barman z O'Farrell*. Chcesz zaprzepaścić następną szansę? Masz robotę, mieszkanie, od siedemnastu tygodni jesteś „czysta”. Chcesz się na nowo pograć?

* Ulica w San Francisco z barami i spelunkami.

- Moja krew nie jest czysta!

- Daj sobie trochę czasu i bierz lekarstwa!

- Ten facet wygląda na bardzo sympatycznego.

- Jak krokodyl na widok polędwicy!

- Znasz go?

- Pierwszy raz go widzę!

- To skąd taka przedwczesna ocena?

- Miej do mnie zaufanie, znam się na rzeczy.

Niski głos Lucasa chuchnął coś w kark Zofii, która aż podskoczyła.

- Ponieważ uprzedziła mnie pani w zaplanowaniu wieczoru pani uroczej przyjaciółki, proszę okazać trochę wspaniałości i także przyjąć zaproszenie do którejś z najlepszych restauracji w mieście. W moim kabrioletcie z powodzeniem zmieścimy się we troje!

- Co za intuicja, nie ma nikogo bardziej wspaniałomyślnego niż Zofia! - ciągnęła Matylda w nadziei, że przyjaciółka się zgodzi.

Zofia odwróciła się, żeby mu podziękować i go spławić, ale i ona nie mogła oderwać spojrzenia od oczu, które na nią patrzyły. Wpatrywali się w siebie, nie mogąc wymówić ani słowa. Lucas chciał coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. W milczeniu przyglądał się rysom tej nieznanego mu kobiecej twarzy, budzącej w nim niepokój. Ona nie miała w ustach ani krzty śliny, po omacku szukała jakiegoś napoju, on położył rękę na kontuarze. Ich niezdarne dłonie potrafiły szklanekę, która stoczyła się z cynkowego blatu i rozbiła

na podłodze na siedem odłamków. Zofia schyliła się, aby ostrożnie podnieść trzy kawałki szkła, on uklęknął i zebrał pozostałe cztery. Wstając, nie spuszczała z siebie wzroku.

Matylda patrzyła po kolei to na jedno, to na drugie, w końcu powiedziała z irytacją:

- Zaraz pozamiatam!

- Zdejmuj fartuch i chodźmy, jesteśmy już spóźnione - powiedziała Zofia, odwracając spojrzenie.

Pożegnała Lucasa skinieniem głowy i ruchem nieznośnym sprzeciwu pociągnęła przyjaciółkę do wyjścia. Na parkingu Zofia przyspieszyła. Otworzyła drzwi Matyldzie, po czym sama wsiadła do auta i ruszyła z kopyta.

- Co ci się nagle stało? - spytała Matylda, zupełnie zaskoczona.

- Nic a nic!

Matylda przekręciła lusterko.

- Popatrz na siebie i wyraż inaczej to twoje „nic a nic”!

Samochód jechał wzdłuż portu. Zofia opuściła szybę, lodowate powietrze wpadło do środka, Matylda zatrzęsała się z zimna.

- Ten człowiek jest potwornie poważny! - powiedziała cicho Zofia.

- Znałam już wysokiego, niskiego, ładnego, brzydkiego, chudego, grubego, owłosionego, gładkiego, łysego, ale poważnego... tu muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś!

- No więc proszę cię, miej do mnie zaufanie, nawet sama nie wiem, jak mam to powiedzieć. Jest smutny i wydawał się jakiś niespokojny... jeszcze nigdy nie...

- W takim razie to wymarzony kandydat dla ciebie, bo przecież szalejesz za udręczonymi duszami. Na pewno pęknie nam lewa komora!

- Nie bądź złośliwa!

- Wszystko wywrócone jest do góry nogami! Proszę cię o bezstronny sąd o człowieku, który wydaje mi się zniewalający. Nawet na niego nie patrzysz, ale sprzątasz mi go sprzed nosa jedną strzałą, którą Geronimo sam by wystrzelał. Kiedy w końcu odwracasz głowę, wlepiasz spojrzenie w jego oczy jak przyssawka, która ma odetkać umywalkę w mojej łazience. Ale ja nie mam prawa być złośliwa!

- Poczulaś coś, Matyldo?

- Owszem, „Habit Rouge”, jeśli już chcesz wiedzieć, taki, jaki znaleźć można tylko u Macy'ego*; co do elegancji wydawało mi się, że to raczej dobry znak.

- Nie zauważyłaś, że jego wygląd jest taki jakiś... posepny?

* Sieć luksusowych domów towarowych.

- To na zewnątrz jest posepnie ciemno, zapal reflektory, bo spowodujesz wypadek!

Matylda otuliła szyję kołnierzem kurtki i dodała:

- Dobrze, niech będzie, jego marynarka jest trochę za ciemna, ale ma włoski krój i jest z kaszmiru, ja przepraszam!

- Nie o tym mówię.

- Powiem ci jedno: jestem pewna, że to nie jest typ faceta, który nosi byle jakie kalesony.

Matylda wyjęła papierosa, zapaliła. Otworzyła okno i wydmuchnęła długi kłęb dymu, który wyleciał na zewnątrz.

- Za to my umrzemy na zapalenie płuc! Dobrze, przyznaję ci rację, są kalesony i kalesony!

- W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię! - podjęła Zofia, zaniepokojona.

- Wyobrażasz sobie zmieszanie córki Calvina Kleina, gdy ujrzy nazwisko ojca wydrukowane dużymi literami, kiedy facet się przed nią rozbiera?

- Widziałaś go już kiedyś?

- Chyba w barze u Maria, ale nie mogę przysiąc. W tamtych czasach raczej nieczęsto wyraźnie widziałam...

- Tamto się skończyło, już jest za tobą - rzekła Zofia.

- Wierzysz w déj à vu?

- Chyba tak, dlaczego pytasz?

- Przed chwilą w barze... kiedy szklanka wyleciała mu z rąk... naprawdę miałam wrażenie, że spada w zwolnionym tempie.

- Masz pusto w brzuchu, jedziemy na kolację azjatycką! - ucięła Zofia.

- Mogę ci zadać ostatnie pytanie?

- Oczywiście.

- Nigdy nie jest ci zimno? - spytała Matylda.

- Dlaczego pytasz?

- Bo z patykiem w ustach będę podobna do loda pingwina. Zamknij to okno!

Ford jechał w kierunku dawnej fabryki czekolady przy Ghirardelli Square. Po kilku minutach milczenia Matylda włączyła radio i obserwowała uciekające miasto. Na skrzyżowaniu Columbus Avenue i Bay Street port zniknął jej z oczu.

- Gdyby tak zechciał pan zabrać rękę, abym mógł wytrzeć kontuar!

Szef baru Fisher's Deli wyrwał Lucasa z zamyślenia.

- Słucham?

- Pod pańskimi palcami jest szkło, skaleczy się pan.

- Niech pan się o mnie nie martwi. Kto to był?

- Ładna kobieta, a to raczej tutaj rzadkość!

- Tak, dlatego właśnie lubię tę dzielnicę! - przerwał Lucas oschłym tonem. - Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Interesuje pana moja barmanka? Przykro mi, ale nie udzielam informacji o personelu, proszę przyjść kiedy indziej i porozmawiać z nią, pracuje jutro od dziesiątej.

Lucas uderzył ręką o cynkowy kontuar. Kawałki szklanki pękły na setki drobnych szkiełek. Właściciel baru zrobił krok do tyłu.

- Mam gdzieś pańską barmankę! Zna pan tę młodą kobietę, która z nią wyszła? - spytał Lucas.

- To jedna z jej przyjaciółek, pracuje w służbie bezpieczeństwa portu, tyle mogę panu powiedzieć.

Szybkim ruchem Lucas zerwał ścierkę wiszącą u pasa szefa. Wytarł dłoń, na której, o dziwo, nie było najmniejszego zadrapania. Potem rzucił ścierkę do kosza stojącego za kontuarem. Szef Fisher's Deli zmarszczył brwi.

- Nie bój się, stary - rzekł Lucas, oglądając swoją rękę. - To tak jak z chodzeniem po rozżarzonych węglach, jest na to sposób, zawsze jest jakiś sposób!

Skierował się do wyjścia. Przed budynkiem wyjął malutki odłamek, który utkwiał mu między palcem wskazującym a środkowym.

Podszedł do kabrioletu, nachylił się do środka i spuścił ręczny hamulec. Ukradziony samochód powoli zaczął zsuwać się na skraj nabrzeża, po czym się wywrócił. Gdy tylko maskę przykryła woda, twarz Lucasa ożywił uśmiech, tak szeroki jak uśmiech dziecka.

Moment, w którym woda, wlewając się przez opuszczoną szybę (którą zawsze starał się zostawiać uchyloną), wypełniała kabinę, był dla niego momentem czystej radości. Ale najbar-

dziej podniecały go ogromne bańki, które wypuszczała rura wydechowa tuż przed zgaśnięciem silnika. Gdy wybuchały na powierzchni wody, ich „gul-gul” budziło jego szczerzy śmiech.

Kiedy zebrał się tłumek, który obserwował tylne światła camaro znikające w mętnych portowych wodach, Lucas oddalał się już aleją z rękami w kieszeniach.

- Myślę, że znalazłem rzadką perełkę - mrucał sobie pod nosem. - Jeśli nie wygram, to będzie diabelska sprawka.

Zofia i Matylda jadły kolację nad zatoką, siedziały na przestronnym, oszklonym tarasie z widokiem na Beach Street. „Nasz najlepszy stolik”, zaznaczył eurazjatycki szef sali, z uśmiechem obnażającym wydatne uzębienie.

Widok był wspaniały. Na lewo Golden Gate, dumny ze swych brunatnoczerwonych barw, rywalizował o pierwszeństwo w urodzie z Bay Bridge, srebrzystym mostem o rok starszym. Widać było, jak w obrębie mariny, z dala od wzburzonych fal łagodnie kołyszą się maszty żaglówek. Żwirowe alejki przedziały kwadraty trawnika, ciągnącego się aż do wody. Przechadzali się po nich wieczorni spacerowicze, korzystając z łagodnej wczesnojesiennej temperatury.

Kelner postawił na stole dwa koktajle firmowe i koszyczek krewetkowych chipsów. „Na koszt firmy”, powiedział, podając im jadłospis. Matylda spytała Zofii, czy jest tu stałą bywalczynią. Ceny wydawały jej się bardzo wysokie jak dla skromnej urzędniczki państwowej. Zofia odpowiedziała, że szef ich zaprasza.

- Zwinęłaś kilka mandatów?

- Drobną przysługą, sprzed kilku miesięcy, nic specjalnego, zapewniam cię - odparowała, nieco zmieszana.

- Coś mi się nie podoba to twoje „nic specjalnego"! Co to za przysługa?

Pewnego wieczoru Zofia spotkała właściciela restauracji na nabrzeżu. Chodził wzdłuż basenu portowego, w oczekiwaniu na dostawę porcelany z Chin.

Smutek jego spojrzenia przyciągnął uwagę Zofii; obawiała się najgorszego, kiedy przystanął pochylony nad morską wodą i trwał tak przez dłuższą chwilę. Podeszła do niego i nawiązała rozmowę; w końcu zwierzył się jej, że żona chce go opuścić po czterdziestu trzech latach małżeństwa.

- Ile lat ma jego żona? - spytała zaintrygowana Matylda.

- Siedemdziesiąt dwa lata!

- W wieku siedemdziesięciu dwóch lat myśli się jeszcze o rozwodzie? - Z trudem powstrzymała ogarniający ją śmiech.

- Jeśli mąż chrapie od czterdziestu trzech lat, myślisz o tym często, nawet co noc.

- Naprawiłaś to małżeństwo?

- Przekonałam go, żeby poddał się operacji, że to wcale nie boli. Mężczyźni są tacy wrażliwi na ból.

- Myślisz, że skoczyłby z nabrzeża?

- Wrzucił do wody obrączkę!

Matylda wzniosła oczy do nieba, była oczarowana sufitem restauracji, w całości oszklonym witrażami od Tiffany'ego. Nadawały sali wygląd katedry. Zofia zgodziła się z nią i nałożyła jej jeszcze jeden kawałek kurczaka.

Matylda, zaintrygowana, zanurzyła rękę we włosy.

- To prawda z tym chrapaniem?

Zofia spojrzała na nią rozbawiona.

- Nie!

- Ach tak? No to co dzisiaj opijamy? - spytała Matylda, unosząc kieliszek.

Zofia niejasno opowiedziała o awansie, jaki otrzymała rano. Nie, nie zmieniła miejsca pracy, nie, nie dostała podwyżki, to wszystko nie sprowadza się wyłącznie do korzyści materialnych. Gdyby Matylda przestała się głupkowato śmiać, Zofia wyjaśniłaby jej może, że niektóre działania dają o wiele więcej niż pieniądze czy władzę: jakąś nieuchwytną formę osobistego spełnienia. Jeśli osiągnie się panowanie nad sobą, z korzyścią - a nie ze szkodą - dla innych, może to być bardzo przyjemne.

- Niech się stanie! - zadrwiła Matylda.

- Jedno jest pewne, z tobą, moja droga, nie pójdzie mi łatwo - odpowiedziała Zofia, urażona.

Matylda wzięła do ręki bambusową butelkę sake, aby napełnić kieliszki, w ciągu sekundy twarz Zofii całkiem zmieniła wyraz. Chwyciła przegub przyjaciółki i prawie uniosła ją z fotela.

- Wyjdź stąd, biegnij do wyjścia! - krzyknęła Zofia.

Matylda siedziała nieruchomo. Ludzie przy sąsiednim stoliku, tak samo zdziwieni, patrzyli na wykrzykującą coś Zofię, która kręciła się w kółko, czatując na jakieś niewidzialne niebezpieczeństwo.

- Wychodźcie wszyscy, jak najszybciej możecie, biegnijcie jak najdalej stąd, pospieszcie się!

Zebrani patrzyli na nią z wahaniem, zastanawiając się, co to za ponura farsa tu się odgrywa. Właściciel restauracji podbiegł do Zofii, składając ręce w błagalnym geście, aby ta, którą uważał za przyjaciółkę, przestała zakłócać prawidłowe funkcjonowanie jego zakładu. Zofia energicznie złapała go za ramiona i prosiła, żeby bezzwłocznie kazał ewakuować gości. Powtarzała, że może mieć do niej zaufanie, że to kwestia sekund. Liu Tran nie był mędrce, ale jego instynkt nigdy go nie zawiódł. Dwukrotnie zaklaskał w dłonie, kilka słów wypowiedzianych po kantońsku wystarczyło, aby wzniecić prawdziwy balet zdeterminowanych kelnerów. Mężczyźni w białej liberii wysuwali krzesła spod biesiadujących klientów i pospiesznie prowadzili ich w stronę trzech wyjść z restauracji.

Liu Tran stał na środku pustoszejącej sali. Zofia pociągnęła go za rękę do drzwi, ale on się opierał, bo dostrzegł Matyldę znieruchomiałą w odległości kilku metrów od nich. Nie ruszyła się ani na krok.

- Wyjdę jako ostatni - powiedział Liu, w chwili gdy pomocnik kucharza, krzyżąc wniebogłosy, wybiegał z kuchni.

Wybuch o niespotykanej sile zmiotł wszystko, co zostało... Ogromny żyrandol rozleciał się w drobny mak pod wpływem impetu, który wstrząsnął salą; spadł na podłogę. Meble przemieszczały się, jakby wessane przez taras, którego szyby, stłuczone na małe kawałki, rozsypywały się po biegnącej niżej ulicy. Tysiące malutkich kryształków, czerwonych, zielonych i niebieskich, opadały na gruzy. Gryzący szary dym, który wypełnił salę restauracyjną, teraz unosił się gęstymi kłębamii przez wyrwę w fasadzie. Pomruk, jaki dał się słyszeć po katastrofie, ustąpił miejsca dławiącej ciszy. Poniżej restauracji Lucas zamknął okno w nowym samochodzie, ukradzionym godzinę wcześniej. Serdecznie nienawidził pyłu, a jeszcze bardziej irytował się wtedy, gdy rzeczy nie toczyły się tak, jak przewidział.

Zofia odepchnęła ciężki bufet, który na nią upadł. Masowała kolana, potem przekroczyła wywrócony kredensik pomocniczy. Patrzyła na rozciągające się przed nią pobojuwisko. Pod szkieletem wielkiej lampy, ogołoconej z wszelkich ozdób, leżał restaurator; miał urywany, ciężki oddech. Zofia rzuciła się w jego stronę. Liu wykrzywił twarz, powalony bólem. Krew napływała mu do płuc, uciskając serce przy każdym kolejnym oddechu. Z daleka słyhać już było syreny strażackie, odbijające się echem na ulicach miasta.

Zofia błagała Liu, żeby tylko wytrzymał.

- Pani jest nieoceniona - wyszeptał stary Chińczyk.

Wzięła go za rękę; Liu schwycił jej dłoń i położył sobie na piersi, z której wydobywał się świst, jak z pękniętej opony. Nawet w tak ciężkim stanie jego oczy potrafiły odczytać prawdę. Znalazł w sobie jakąś nadludzką siłę i wyszeptał, że dzięki Zofii jest już spokojny. Wie, że w swym długim wiecznym śnie nie będzie chrapał. Zaśmiał się, co wywołało napad kaszlu.

- Jacy szczęśliwi będą moi przyszli sąsiedzi! Bardzo dużo pani zawdzięczają!

Struga krwi wypłynęła z jego ust, ciekła po policzku, W końcu rozmyła się w czerwieni dywanu. Uśmiech Liu zastygł na ustach.

- Myślę, że powinna pani zająć się przyjaciółką, nie widziałem, żeby wychodziła.

Zofia rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła śladu Matyldy ani żadnego innego ciała.

- Obok drzwi, pod kredensem - błagalnym głosem powiedział Liu i znowu zaczął kaszleć.

Zofia wstała. Liu przytrzymał ją za przegub i utkwiał spojrzenie w jej oczach.

- Skąd pani wiedziała?

Zofia popatrzyła na niego, ostatnie przebłyski życia dobywały się z jego złocistych oczu.

- Za chwilę pan zrozumie.

Twarz Liu rozjaśniła się szerokim uśmiechem, po czym całe ciało się rozluźniło.

- Dziękuję za ten dowód zaufania.

To były ostatnie słowa pana Tran. Jego źrenice stały się tak małe jak główka od szpilki, powieki zatrzepotały, policzek oparł się na dłoni jego ostatniej klientki. Zofia pogłaskała go po czole.

- Proszę mi wybaczyć, że nie będę z panem - powiedziała, delikatnie odsuwając bezwładną głowę restauratora.

Podniosła się, odsunęła małą komodę, leżącą do góry nogami i poszła w stronę przewróconego dużego mebla. Z całych sił odepchnęła go i wtedy ujrzała Matyldę, nieprzytomną, z dużym widelcem do kaczki wbitym w lewą nogę.

Snop światła z latarki strażaka omiół podłogę, jego kroki zachrzęściły na gruzie. Podszedł do kobiet i przez zawieszony na ramieniu radionadajnik natychmiast nadał wiadomość o odnalezieniu dwóch ofiar.

- Jednej! - krzyknęła do niego Zofia.

- Tym lepiej - powiedział mężczyzna w czarnej kurtce, który z daleka oglądał gruzowisko.

Dowódca strażaków wzruszył ramionami.

- To chyba agent federalny. Zwykle pojawiają się tuż przed nami, kiedy gdzieś jest wybuch - zamruczał strażak, zakładając maskę tlenową na twarz Matyldy.

Zwrócił się do jednego ze swych ludzi, który właśnie podszedł:

- Ma złamaną nogę, może też rękę, jest nieprzytomna. Zawiadom służbę medyczną, żeby natychmiast ją zabrali.

Wskazał ciało Trana.

- A ten tam, co z nim?

- Za późno! - odpowiedział człowiek w czarnej kurtce, stojący w głębi sali.

Zofia trzymała Matyldę w ramionach i starała się opanować smutek, ściskając ją za serce.

- To moja wina, nie powinnam była jej tu przyprowadzać.

Przez wybite okno popatrzyła w niebo, drżała jej dolna warga.

- Nie zabierajcie jej teraz! Udało jej się, była na dobrej drodze. Umówiliśmy się, że za kilka miesięcy coś postanowimy. Dała słowo!

Mocno zdziwieni dwaj pielęgniarze, którzy właśnie się zbliżyli, spytali, czy wszystko w porządku. Uspokoila ich zwykłym skinieniem głowy. Zaproponowali tlen, ale nie chciała. Poprosili, żeby się odsunęła, zrobiła kilka kroków do tyłu, po czym położyli Matyldę na noszach i poszli w stronę wyjścia. Zofia podeszła do tego, co pozostało z oszklonej ściany. Nie spuszczała oczu z przyjaciółki, która zniknęła w karetce. Piruety mrugającej czerwonopomarańczowej lampki ambulansu zniknęły wraz z dźwiękiem syreny, oddalającym się w stronę San Francisco Memorial Hospital.

- Proszę się nie obwiniać, wszystkim nam się zdarza być nie w tym miejscu, nie w tym momencie, taki jest los!

Zofia aż drgnęła. Rozpoznała głos człowieka, który tak niezdarnie starał się ją pocieszyć. Lucas podszedł do niej, mrużąc oczy.

- Co pan tu robi? - spytała.

- Myślałem, że dowódca strażaków już to pani powiedział - odrzekł, zdejmując krawat.

- ... Wszystko zdaje się wskazywać, że chodzi tu o zwykły wybuch gazu w kuchni lub w najgorszym razie jakąś sprawkę kryminalną, sympatyczny agent federalny będzie mógł wrócić do domu i pozostawić rzecz medykom. Środowiska terrorystyczne nie mają żadnego interesu w tym, żeby wysadzać w powietrze kaczkę w pomarańczach!

- Chrapliwy i jednocześnie szorstki głos inspektora policji przerwał im rozmowę.
- Z kim mamy przyjemność? - spytał Lucas tonem szyderczym, który zdradzał irytację.
- Z inspektorem Pilguezem z policji w San Francisco - odpowiedziała Zofia.
- Cieszę się, że wreszcie pani mnie rozpoznaje! - rzekł Pilguez do Zofii, całkiem lekce-

ważąc obecność Lucasa.

- Przy okazji, może wyjaśni mi pani ten dzisiejszy wybryk.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli wyjaśniać sobie okoliczności naszych pierwszych spotkań, żeby ochronić Matyldę - dodała Zofia. - Plotki rozchodzą się szybciej niż nadmorska mgła.

- Obdarzyłem panią zaufaniem, gdy wypuściłem ją wcześniej, niż to było przewidziane, więc będę pani wdzięczny, jeśli odpłaci mi pani tym samym. Poczucie taktu zdarza się też i w policji! Biorąc więc pod uwagę stan tej małej, może lepiej by było pozwolić jej odbyć tę karę.

- Piękna definicja taktu, inspektorze! - wtrącił Lucas, kłaniając się obojgu.

Wyszedł przez wybity otwór, w którym leżały pozostałości wielkich podwójnych drzwi, sprowadzonych z Azji za niemałą sumę.

Zanim poszedł do samochodu, Lucas odezwał się do Zofii z ulicy.

- Przykro mi z powodu pani przyjaciółki.

Kilka chwil później jego czarny Chevrolet zniknął za skrzyżowaniem z Beach Street.

Zofia nie mogła niczego wyjaśnić inspektorowi. Jakieś straszne przeczucie kazało jej skłonić wszystkich obecnych do opuszczenia restauracji. Pilguez zauważył, że jej wyjaśnienia były trochę niepełne, jak na liczbę osób, którym uratowała życie. Zofia nie miała nic do dodania. Może podświadomie wyczuła zapach gazu, ulatniającego się przez okap w kuchni. Pilguez okazał niezadowolenie: w ostatnich latach jakoś niefortunnie miał do czynienia z „wariackimi zeznaniami”, w których dochodzi do głosu podświadomość.

- Proszę mnie zawiadomić, kiedy już pan wyciągnie wnioski z pańskiego śledztwa, muszę wiedzieć, co tu się wydarzyło.

Pozwolił jej wyjść. Zofia poszła do samochodu. Przednia szyba pękła na całej długości, karoseria, zwykle barwy kasztanowej, teraz była równomiernie pokryta szarym pyłem. Po drodze do szpitala minęła kilka samochodów strażackich, które jechały na miejsce tragedii. Zaparkowała forda, minęła parking i weszła do izby przyjęć. Pielęgniarka wyszła jej na spotkanie i powiedziała, że Matylda jest w sali badań. Zofia podziękowała i usiadła na wolnej ławce w poczekalni.

Lucas dwukrotnie zatrafił, z niecierpliwością. Siedzący w budce strażnik nacisnął guzik, nie odrywając oczu od ekranu telewizora: Jankesi mieli ogromną przewagę. Bariera podniosła się, Chevrolet ruszył ze zgaszonymi światłami i pojechał aż do końca nabrzeża. Lucas otworzył okno i wyrzucił niedopałek papierosa. Dźwignię biegów zostawił na luzie; wysiadł, nie gasząc silnika. Kopnięciem w tylny zderzak pchnął samochód; taki impuls wystarczył, aby auto podjechało do przodu i spadło z nabrzeża. Oparłszy ręce na biodrach, z zachwytem przyglądał się tej scenie. Kiedy pękła ostatnia bańka na wodzie, odwrócił się i radosnym krokiem poszedł w stronę parkingu. Oliwkowa honda jakby czekała tylko na niego. Sforsował zamek, otworzył klapę silnika, wyrwał trąbkę alarmu i rzucił gdzieś daleko. Wsiadł i z niewielkim entuzjazmem zaczął oglądać plastikowe obicia. Wyjął pęk kluczy, wybrał ten, który, jak mu się zdawało, będzie najlepiej pasował. Silnik zaczął pracować, był bardzo głośny.

- Zielony japończyk, tego jeszcze nie było! - narzekał, zwalniając ręczny hamulec.

Lucas spojrział na zegarek; był już spóźniony, więc przyspieszył. Siedzący na słupie cumowniczym kłozard o imieniu Julian wzruszył ramionami, patrząc na oddalający się samochód, ostatnie „gul” zamarło na powierzchni wody.

- Wyjdzie z tego?

Po raz trzeci tego wieczoru głos Lucasa tak ją zaskoczył, że aż drgnęła.

- Mam nadzieję - odpowiedziała, oglądając go od stóp do głów. - Kim pan właściwie jest?

- Lucas. Przykro mi i miło jednocześnie - rzekł, podając jej rękę.

Teraz dopiero Zofia poczuła ogarniające ją zmęczenie. Wstała i podeszła do automatu z kawą.

- Napije się pan?

- Nie pijam kawy - odrzekł.

- Ja też nie - powiedziała, oglądając dwudziestocentówkę, którą obracała w dłoni. - Co pan tu robi?

- To, co pani, przyszedłem dowiedzieć się o jej stan.

- Dlaczego? - spytała Zofia, chowając monetę do kieszeni.

- Bo muszę sporządzić raport, a na razie w rubryce „ofiary” napisałem tylko cyfrę jeden, więc muszę sprawdzić, czy mam coś dopisać, czy nie. Staram się oddawać sprawozdania jeszcze tego samego dnia, nienawidzę opóźnień.

- Zauważyłam!

- Lepiej było przyjąć moje zaproszenie na kolację, wszystko potoczyłoby się inaczej!
- Dobrze, że przed chwilą mówił pan coś o takcie, musi pan się na tym dobrze znać!
- Wyjdzie ze szpitala dopiero późnym wieczorem, taki widelec do kaczki robi prawdziwe spustoszenie, kiedy wbija się go w ludzki filet. Zaszycie tego zajmie im kilka godzin, mogę zaprosić panią do baru naprzeciwko?

- Nie, naprawdę pan nie może!

- Jak pani chce, w takim razie poczekajmy tutaj, może nie jest tak miło, ale jeśli pani woli... Szkoda!

Siedzieli obok siebie na ławce od ponad godziny, gdy wreszcie na końcu korytarza pojawił się chirurg. Nie strzelił rękawicami przy ich zdejmowaniu (od zawsze chirurdzy pozbywają się lateksowych rękawic po wyjściu z bloku operacyjnego i wrzucają je do specjalnie w tym celu ustawionych kubełków). Matyldzie nic nie grozi, tętnica jest nienaruszona. Tomografia nie wykazała żadnych śladów urazu czaszki. Kręgosłup jest nietknięty.

Matylda ma tylko dwa złamania bez przemieszczenia, nogi i ręki, oraz kilka założonych szwów. Właśnie nakładają jej gips. Zawsze mogą wystąpić komplikacje, ale lekarz jest raczej dobrej myśli. Woli jednak, żeby poleżała nieruchomo przez najbliższe godziny, więc z góry podziękował za powiadomienie jej bliskich, by do rana nie składali żadnych wizyt.

- Z tym nie ma problemu - powiedziała Zofia - ma tylko mnie.

Podawała dyżurnej pielęgniarce numer swojego beepera. Wychodząc, przeszła obok Lucasa, nawet na niego nie spojrzawszy, poinformowała go, że nie musi niczego przekreślać w swoim sprawozdaniu. Zniknęła w obrotowych drzwiach. Lucas dogonił ją na pustym parkingu; szukała kluczy.

- Byłabym panu bardzo wdzięczna, gdyby wreszcie przestał pan mnie straszyć - rzekła.

- Myślę, że źle zaczęliśmy - podjął Lucas łagodnym głosem.

- Zaczęliśmy co? - odparowała. Lucas zawahał się chwilę:

- Powiedzmy, że niekiedy jestem trochę zbyt bezpośredni w tym, co mówię, ale naprawdę się cieszę, że pani przyjaciółka jest w dobrym stanie.

- Przynajmniej to jedno uczucie dzisiaj podzielamy, okazuje się, że wszystko jest możliwe! A teraz proszę pozwolić mi otworzyć drzwi samochodu...

- A może podzielilibyśmy się też kawą... no proszę... Zofia nic nie mówiła.

- Co za upór! - ciągnął Lucas. - Pani kawy nie pija, ja też nie! No to jakiś soczek? Tam naprzeciwko mają bardzo dobre soki.

- Dlaczego tak bardzo panu zależy, żeby zaspokoić pragnienie w mojej obecności?

- Dlatego, że dopiero co przyjechałem do miasta i tak naprawdę nikogo nie znam. Przeżyłem trzy lata całkowitej samotności w Nowym Jorku, nie ma w tym nic niezwykłego. Wielkie Jabłko* uczyniło mnie mało elokwentnym, ale postanowiłem się poprawić.

* Tak Amerykanie nazywają Nowy Jork.

Zofia przechyliła głowę i uważnie przyglądała się Lucasowi.

- Dobrze, zacznę wszystko od początku - powiedział. - Proszę zapomnieć o Nowym Jorku, mojej samotności i całej reszcie. Nie wiem, dlaczego mam tak wielką ochotę gdzieś z panią wstąpić. Nie chodzi o picie czegokolwiek, chciałbym panią poznać. Proszę bardzo, powiedziałem całą prawdę. To będzie z pani strony dobry uczynek, jeśli powie pani „tak”.

Zofia spojrzała na zegarek, wahała się kilka chwil. Potem uśmiechnęła się i przyjęła zaproszenie. Przeszli na drugą stronę ulicy, usiedli w Krispy Kreme. Mały lokal dobrze pachniał ciepłymi jeszcze wypiekami, blacha z pączkami opuszczała właśnie piec. Wybrali stolik przy oszklonej ścianie. Zofia nic nie jadła, lecz patrzyła na Lucasa z niepewnością. W niespełna dziesięć minut pochłonął siedem lukrowanych pączków.

- Ze wszystkich grzechów głównych najmniej przejął się pan łakomstwem, jak widzę? - powiedziała, spoglądając drwiąco.

- Śmieszna sprawa z tymi opowieściami o grzechach... - rzekł, oblizując palce - jakieś wymysły mnichów. Jeden dzień bez pączka to gorsze niż słoneczny dzień!

- Nie lubi pan słońca? - spytała ze zdziwieniem.

- Ależ uwielbiam! Powoduje oparzenia i raka skóry; ludzie umierają z gorąca, uduszeni własnymi krawatami; kobiety umierają ze strachu, że rozpułynie im się makijaż, wszyscy w końcu ciężko chorują z powodu klimatyzatorów, które dziurawią warstwę ozonu; wzrasta zanieczyszczenie powietrza, zwierzęta zdychają z pragnienia, nie mówiąc już o starszych osobach, które się duszą. Ach nie, przepraszam bardzo! Słońce wcale nie jest wymysłem tego, któremu się to powszechnie przypisuje.

- Dziwnie ujmuje pan te rzeczy.

Zofia bardziej zainteresowała się słowami Lucasa, kiedy poważnym tonem powiedział, że trzeba być uczciwym podczas definiowania zła i dobra. Zaintrygowała ją kolejność słów.

Lucas kilkakrotnie umieścił zło przed dobrem... zwykle ludzie wymieniają te dwa pojęcia w odwrotnej kolejności.

Przyszła jej do głowy pewna myśl. Zaczęła podejrzewać, że jest Aniołem-Weryfikatorem, mającym pilnować prawidłowego przebiegu jej misji. Często już takich spotykała podczas mniej ambitnych operacji. Im dłużej Lucas mówił, tym bardziej ta hipoteza wydawała jej się prawdopodobna, tak bardzo był prowokujący. Kończąc jedzenie dziewiątego pączka, oświadczył z pełnymi ustami, że marzyłby o następnym z nią spotkaniu. Zofia uśmiechnęła się. Uregulował rachunek i wyszli.

Gdy już byli na opustoszałym parkingu, Lucas uniósł głowę.

- Jest trochę chłodno, ale niebo cudowne, prawda?

Zgodziła się pójść z nim na kolację następnego dnia. Jeśli jakimś przedziwnym trafem oboje pracują dla jednej firmy, ten, który chce ją przetestować, dostanie za swoje: miała zamiar użyć sobie do woli. Zofia wsiadła do auta i pojechała do domu.

Zaparkowała przed domem, starała się nie robić hałasu, idąc po schodach. W sieni nie paliło się światło, drzwi do pokoju Reine Sheridan były zamknięte.

Zanim weszła do domu, spojrzała w górę, na firmamencie nie zobaczyła ani gwiazd, ani obłoków.

I tak upłynął wieczór i poranek...

Dzień drugi

Matylda obudziła się o świcie. W nocy przeniesiono ją do osobnej sali; tam zaczęło ogarniać ją przygnębienie. Od piętnastu miesięcy jej wyjątkowa aktywność była jedynym sposobem na wyrwanie się z bagna tamtego życia, w którym mieszanina rozpaczy i narkotyków niemal ją pokonała. Neonowa lampa, która skwierczała jej nad głową, przypominała długie godziny walki z narkotycznym głodem, w owym czasie przeżerającym jej wnętrze w niewysłowionym bólu. Wspomnienie dantejskich dni, gdy Zofia, którą nazywała swoim aniołem stróżem, musiała przytrzymać jej rękę. Żeby przeżyć, kaleczyła sobie ciało, drapała paznokciami, wrywając kawały skóry. Te nowe rany łagodziły jakoś nieznośne kary za minione rozkosze.

Czasami miała wrażenie, że czuje jeszcze w tyle głowy rwący ból krwiałków powstałych po licznych uderzeniach, jakie sama sobie zadawała w otchłani nocy wypełnionych najwyższym cierpieniem. Patrzyła na zgięcie łokcia; stygmaty ukłuć zniknęły tydzień po tygodniu, jakby na znak odpokutowania. Przetrwał jedynie ostatni mały sinawy punkcik, na cieniu żyły, jak przypomnienie miejsca, przez które powoli wchodziła śmierć. Zofia otworzyła drzwi do sali.

- Przyszłam w odpowiednim momencie - powiedziała, kładąc na nocnym stoliku bukiet piwonii.

- Dlaczego „w odpowiednim momencie”? - spytała Matylda.

- Kiedy wchodziłam, zobaczyłam twoją minę, prognoza na twoje samopoczucie zapowiadała aurę raczej zmienną, ze skłonnością do burz. Pójdę do pielęgniarek po wazon.

- Zostań ze mną - powiedziała Matylda zgaszonym głosem.

- Piwonie są prawie tak niecierpliwie jak ty, potrzebują dużo wody, nie ruszaj się, zaraz wracam.

Gdy została sama, Matylda przypatrywała się kwiatom. Zdrową ręką pogładziła jedwabiste korony. Płatki piwonii przypominały w dotyku kocią sierść, Matylda uwielbiała koty. Zofia przerwała jej rozmarzenie, weszła, niosąc wiadro wody.

- Tylko to miały, nic nie szkodzi, kwiaty nie są snobami.

- To moje ulubione.

- Wiem.

- Gdzie je znalazłaś o tej porze roku?

- Tajemnica!

Zofia patrzyła na zagipsowaną nogę przyjaciółki, potem na szynę unieruchamiającą rękę. Matylda dostrzegła jej spojrzenie.

- Ale dałaś popalić, poszłaś na całość! Co tam się właściwie stało? Prawie nic nie pamiętam. Rozmawialiśmy, ty wstałaś, ja nie, a potem już tylko ogromna czarna dziura.

- Nie... gaz ulatniał się w okapie w kuchni! Jak długo będziesz musiała tu zostać?

Lekarze daliby zgodę na wyjście Matyldy ze szpitala już jutro, ale nie miała środków na zapłacenie opieki w domu, a jej stan uniemożliwiał samodzielne poruszanie się. Kiedy Zofia miała już wychodzić, Matylda wybuchnęła płaczem.

- Nie zostawiaj mnie tu, oszaleję od tego zapachu dezynfekcji. Już dostałam za swoje, przysięgam. Nie wytrzymam dłużej. Tak bardzo się boję znowu w to wpaść, udaję tylko, że biorę środki uspokajające, które mi tu przynoszą. Wiem, że jestem dla ciebie ciężarem, ale zabierz mnie stąd, Zofio, już teraz!

Zofia zawróciła i podeszła do łóżka przyjaciółki, pogłaskała ją po twarzy, żeby rozproszyć coraz bardziej ogarniające ją przygnębienie. Obiecała, że zrobi, co będzie mogła, i jak najszybciej postara się znaleźć jakieś rozwiązanie. Przyjdzie znowu wieczorem.

Po wyjściu ze szpitala Zofia pojechała do portu, dzień zapowiadał się pracowicie. Czas szybko uciekał: miała do spełnienia misję, a także kilka zobowiązań wobec swych podopiecznych, których pod żadnym pozorem nie mogła zaniedbać. Pojechała odwiedzić starego bezdomnego przyjaciela. Julian odsunął się od świata, ale nigdy nie uświadomił sobie drogi, jaka doprowadziła go pod przeszło nr 7, gdzie osiadł - jednak nie na stałe... To po prostu ciąg przykrych figli zesłanych przez los. Redukcja personelu wyznaczyła koniec jego kariery zawodowej. Najzwyklejszy list powiadomił go, że nie ma już dla niego miejsca w wielkiej korporacji, która była całym jego życiem.

W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat człowiek jest jeszcze bardzo młody... ale chociaż firmy kosmetyczne przysięgają, że pod sześćdziesiątkę mamy jeszcze życie przed sobą, pod warunkiem, że dbamy o swój kapitał cielesny, ich własne działy kadr nie są o tym za bardzo przekonane, kiedy modyfikują zawodowe plany własnych pracowników. W ten właśnie sposób Julian Minsky pozostał bez pracy. Ochroniarz odebrał mu identyfikator przy wejściu do budynku, w którym spędził więcej czasu niż we własnym domu. Bez jednego słowa człowiek w mundurze zaprowadził go do jego gabinetu. W ogniu milczących spojrzeń kolegów miał spakować swoje rzeczy. I tak w pewien ponury dżdżysty dzień Julian odszedł stamtąd z kartonowym pudłem pod pachą, stanowiącym cały jego bagaż po trzydziestu dwóch latach wiernej służby.

Życie Juliana Minsky'ego, statystyka i pasjonata matematyki stosowanej, sprowadzało się jednak do bardzo niedoskonałej arytmetyki: dodawanie - weekendy spędzane nad papierami kosztem życia prywatnego; dzielenie - umacnianie pozycji tych, którzy go zatrudniali (jesteśmy dumni, że dla nich pracujemy, przecież stanowimy jedną wielką rodzinę, w której każdy ma do odegrania swoją rolę, pod warunkiem że należycie wywiązuje się ze swoich obowiązków); mnożenie - upokorzeń, pomysłów całkowicie ignorowanych przez niektórych nieprawowitych zwierzchników, sprawujących władzę nabytą w bardzo różny sposób; i wreszcie odejmowanie - pozbawianie prawa do godnego zakończenia kariery. Podobna do kwadratury koła egzystencja Juliana sprowadzała się do równania nierozwiązywalnych niesprawiedliwości.

W czasach swego dzieciństwa Julian lubił włóczyć się w pobliżu złomowiska, gdzie ogromna prasa rozplaszczała szkielety starych samochodów. Dla rozproszenia samotności, doskwierającej mu zwłaszcza nocami, często wyobrażał sobie życie młodego dobrze sytuowanego urzędnika, który zrujnował jego własne życie: „wycenił” go jako nadającego się tylko na złom. Jego karty kredytowe straciły ważność na jesieni, konto bankowe opróżniło się w ciągu zimy, na wiosnę musiał opuścić swój dom. W lecie poświęcił wielką miłość, zabierając swą dumę w ostatnią podróż. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, niejaki Julian Minsky, pięćdziesiąt osiem lat, wybrał sobie niestałe miejsce zamieszkania pod przęsłem numer 7, przy osiemdziesiątym nabrzeżu portu handlowego w San Francisco. Niedługo będzie obchodził dziesiątą rocznicę pobytu pod gołym niebem. Lubiał opowiadać przypadkowym słuchaczom, że w dzień odejścia od świata tak naprawdę z niczego sobie nie zdawał sprawy.

Zofia spostrzegła otwartą ranę pod rozdartymi tweedowymi spodniami w jodełkę.

- Julian, musi pan założyć opatrunek na nogę!

- Oj, nie zaczynaj od nowa, proszę cię, noga jest w porządku.

- Jeśli nie oczyści się rany, za niecały tydzień będzie gangrena, dobrze pan wie!

- Przeżyłem już najgorszą z gangren, moja miła, więc jedna więcej czy jedna mniej!...

Poza tym od pewnego czasu proszę Boga, żeby po mnie przysłał, więc muszę dać mu szansę. Gdybym leczył się za każdym razem, kiedy coś jest nie tak jak trzeba, nie miałoby sensu błaganie go, żeby zabrał mnie z tego cholernego padołu! Więc sama widzisz, ta rana jest moim biletem wstępu do tamtego świata.

- Kto panu nawkładał do głowy takie głupie pomysły?

- Nikt, ale kręci się tu taki młodzieniec, który całkowicie się ze mną zgadza. Bardzo lubię z nim rozmawiać. Kiedy go widzę, mam wrażenie, że to moje odbicie w lustrze przeszłości.

Nosi garnitury w takim samym stylu, jak ja nosiłem kiedyś, zanim krawiec dostał zawrotu głowy, gdy zauważył przepastne dziury w kieszeniach. Wygłaszam do niego parę miłych słów, on do mnie mniej miłe, czasem prowadzimy jakiś drobny handel wymienny i to są moje rozrywki.

Ani czterech ścian, ani dachu, nikogo, kto by mógł być przedmiotem nienawiści, nie więcej jedzenia przed drzwiami niż prętów kraty, które chciałoby się przepiłować...

Kondycja Juliana Minsky'ego była gorsza od położenia więźnia. Marzenia są luksusem, kiedy walczy się o przeżycie. Za dnia trzeba szukać pożywienia na śmietnikach, w zimie nieustannie chodzić, aby zmagać się ze śmiertelną mieszanką senności i chłodu.

- Julianie, zawiozę pana do ambulatorium!

- Myślałem, że pracujesz w służbie bezpieczeństwa portu, a nie w Armii Zbawienia!

Zofia z całych sił pociągnęła kloszarda za rękę, żeby pomóc mu wstać. Nie ułatwił jej zadania, ale w końcu, chcąc nie chcąc, poszedł za nią do samochodu. Otworzyła mu drzwi, Julian z wahaniem pogładził się po brodzie. Zofia przyglądała mu się w milczeniu. Głębokie zmarszczki wokół błękitnych oczu stanowiły przystań dla duszy bogatej w emocje. Wokół pełnych uśmiechniętych warg zarysowywały się inne jeszcze znaki, przejawy egzystencji, w której nędza była tylko powierzchownym śladem.

- Zepsuję ci powietrze w tej twojej bryczce. Z moją cholerną nogą nie mogłem nawet pójść pod prysznic przez ostatnie dni!

- Julian, mówi się przecież, że pieniądze nie śmierdzą, to dlaczego odrobina biedy miałaby brzydko pachnieć? Niech pan przestanie dyskutować, proszę wsiadać!

Powierzyła swego pasażera opiece lekarskiej, po czym pojechała na nabrzeże. Po drodze wstąpiła odwiedzić Miss Sheridan: chciała ją prosić o wielką przysługę. Spotkała się z nią w drzwiach. Reine miała do załatwienia kilka sprawunków, a w tym mieście, znanym ze spadzi-stych ulic, gdzie każdy krok stanowi wyzwanie dla starszego człowieka, spotkanie z Zofią o tej niezwyklej godzinie graniczyło z cudem. Zofia poprosiła, żeby wsiadła do auta, a sama pobiegła na chwilę do mieszkania. Weszła, rzuciła okiem na automatyczną sekretarkę, na której nie było żadnej wiadomości, po czym zeszła na dół. Po drodze opowiedziała wszystko Reine, która zgodziła się przyjąć pod swój dach Matyldę do czasu wyzdrowienia. Trzeba tylko wymyślić jakiś sposób wniesienia jej na piętro i znaleźć kilka par silnych ramion, żeby znieść ze strychu metalowe łóżko.

Wygodnie usadowiony w barze przy Market Street 666, Lucas gryzmołił jakieś cyfry na fornirowanym stoliku, dostał bowiem pracę w jednej z większych agencji handlu nieruchomości.

ściami w Kalifornii. Maczał właśnie siódmego rogalika w filiżance kawy z mlekiem, pochylony nad pasjonującym artykułem, w którym nakreślono rozwój Silicon Valley: *Szeroki pas ziemi stał się w ciągu trzydziestu lat najbardziej strategiczną strefą zaawansowanej technologii, nazywany jest teraz informatycznymi płucami świata*. Dla takiego specjalisty od zmiany tożsamości zatrudnienie się w firmie było czymś nieprawdopodobnie prostym, już teraz znajdował ogromną przyjemność w przygotowywaniu swego makiawelicznego planu.

Poprzedniego dnia w samolocie lecącym z Nowego Jorku lektura artykułu w „San Francisco Chronicle” na temat agencji nieruchomości A&H ożywiła spojrzenie Lucasa: tłuściutka fizjonomia jej wiceprezesa wystawiała się, w całej okazałości, do obiektywu fotografa. Ed Heurt, litera H z A&H, celował w sztuce puszenia się w wywiadach i na konferencjach prasowych, bez wytchnienia wychwalając niezmierny wprost wkład jego firmy w gospodarczy rozwój regionu. Człowiek, który od dwudziestu lat dąży do kariery deputowanego, nie omija żadnej oficjalnej uroczystości. Przygotowywał się właśnie do oficjalnego otwarcia sezonu połowów kraba. Przy tej okazji Lucas znalazł się na drodze Eda Heurta.

Imponujący notes z adresami wpływowych osób, z którymi Lucas zwykle podtrzymywał konwersację, przyniósł mu stanowisko doradcy wiceprezesa, specjalnie dla niego stworzone. Mechanizm oportunisty nie miał najmniejszych tajemnic dla Eda Heurta, umowa została zawarta, jeszcze zanim drugi człowiek firmy skończył przełykanie szczypców kraba, obficie skąpanego w szafranowym majonezie, który tak samo obficie poplamiał mu plastron smokinga.

Była jedenasta rano, za godzinę Ed przedstawi Lucasa swojemu wspólnikowi, Antoniowi Andricowi, prezesowi spółki.

A z A&H rządził żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce wielką siecią handlową, którą przez lata potrafił rozwinąć. Wrodzone wyczucie obrotu nieruchomościami, niezrównana wytrwałość w pracy pozwoliły Antoniowi Andricowi zbudować ogromne imperium, które zatrudniało ponad trzystu agentów i prawie drugie tyle prawników, księgowych i sekretarek.

Lucas zawahał się chwilę, zanim zrezygnował z ósmego ciastka. Strzelił palcami, żeby zamówić cappuccino. Gryząc czarny flamaster, wertował kartki i rozmyślał. Statystyki, które wypożyczył z działu informatycznego A&H, były bardzo wymowne.

Zafundował sobie w końcu bułeczkę z czekoladą, doszedł do wniosku, że w obrębie całej doliny nie da się wynająć, sprzedać ani kupić najmniejszego nawet mieszkanie czy skrawka ziemi bez pośrednictwa firmy, która zatrudniała go od wczorajszego wieczoru. Reklamowa pla-

kietka i jej niesamowity slogan: „Inteligentne nieruchomości” pozwoliły mu do końca obmyślić plan działania.

Firma A&H była tworem o dwóch głowach; jej pięta achillesowa to połączenie dwóch szych hydry. Wystarczyło, że obydwaj mózgi organizmu pragnęły oddychać tym samym powietrzem - od razu dusiły się nawzajem. Gdyby Andric i Heurt wyrywali sobie ster, firma natychmiast zaczęłaby dryfować. Gwałtowne zatonięcie imperium A&H szybko wzmogłoby apetyty wielkich właścicieli nieruchomości, co pociągnęłoby za sobą zachwianie rynku nieruchomości w dolinie, gdzie czynsze były głównym filarem życia gospodarczego. Nie trzeba by długo czekać na reakcję wielkiej finansjery, a miejscowe firmy szybko zostałyby zduszone.

Lucas przejrzał niektóre dane dla potwierdzenia swych hipotez: najbardziej prawdopodobna z nich była taka, że duża liczba tych firm nie przetrwałaby podwyżki czynszów i spadku notowań na giełdzie. Najbardziej pesymistyczne obliczenia Lucasa pozwalały przypuszczać, że co najmniej dziesięć tysięcy osób straci pracę: wystarczająco dużo, by wywołać implozję gospodarczą całego regionu i najwspanialszy zator, jaki można sobie wyobrazić, zator informatycznego płuca świata.

Przejęciowa pewność środowisk finansowych dorównuje ich permanentnej zmienności, tak więc miliardy stawiane na Wall Street na firmy zaawansowanej technologii ulotnić się mogą w kilka tygodni, powodując spektakularny „zawał” w kraju.

- Globalizacja ma jednak swoje dobre strony! - rzekł Lucas do kelnerki, która przyniosła mu tym razem gorącą czekoladę.

- Skąd panu to przyszło do głowy, może jakimś koreańskim środkiem do czyszczenia chce pan zmyć to paskudztwo? - spytała z powątpiewaniem, patrząc na bazgrały na stoliku.

- Zanim wyjdę, wszystko wyczyszczę! - zamruczał pod nosem, powracając do wątku swych myśli.

Dowiedziano już, że zwykłe trzepotanie skrzydeł motyla może wzniecić cyklon, Lucas wykaże więc, że to twierdzenie można zastosować także w ekonomii. Kryzys amerykański szybko odbije się w Europie i w Azji. A&H będzie jego motylem, Ed Heurt jego trzepotaniem skrzydełkami, a tutejsze doki mogłyby stać się widownią jego zwycięstwa.

Po starannym wydrapaniu widelcem forniru stolika Lucas wyszedł z kawiarni i okrążył budynek. Dostrzegł na ulicy chryslera coupé, otworzył go wytrychem. Stojąc na światłach, przyciśnięciem guzika opuścił składany dach. Kiedy zjeżdżał na parking swego nowego biura, wyjął telefon komórkowy. Zatrzymał się tuż przy portierze pilnującym samochodów, przyjaź-

nie dał mu znak ręką, żeby zaczekał, bo musi skończyć rozmowę. Ostentacyjnie opowiadał wyimaginowanemu rozmówcy, że słyszał, jak Ed Heurt przekonywał uroczą dziennikarkę, że prawdziwą głową firmy jest on, a jego wspólnik tylko nogami! Lucas głośno się roześmiał, powoli otworzył drzwi auta i podał klucze młodzieńcowi, który zauważył uszkodzenie zamka.

- Wiem - rzekł Lucas ze zmartwioną miną. - Nigdzie już nie można czuć się bezpiecznie!

Młody człowiek, który nie uronił ani słowa z jego rozmowy, patrzył za nim, kiedy oddalał się w hallu budynku. Fachowo i pewnie zaparkował kabriolet... tylko jemu i nikomu więcej osobista sekretarka Antonia Andrica powierzała codziennie parkowanie swego samochodu. Plotka potrzebowała dwóch godzin, aby wspiąć się na dziewiąte, ostatnie piętro budynku pod numerem 666 przy Market Street, otoczonej już nimbem siedziby spółki A&H: przerwa obiadowa na chwilę wstrzymała jej drogę do celu. O godzinie trzynastej siedemnaście dziko rozwścieczony Antonio Andric wszedł do biura Eda Heurta, o trzynastej dwadzieścia dziewięć ten sam Antonio wyszedł z biura wspólnika, trzaskając drzwiami. Jeszcze na schodach wykrzykiwał, że „nogi” idą się rozluźnić na polu golfowym, a „mózg” będzie - zamiast niego - przewodniczyć comiesięcznym obradom komitetu dyrektorów handlowych.

Zabierając kabriolet, Lucas porozumiewawczo spojrział na parkingowego. Dopiero za godzinę miał spotkanie ze swym chlebodawcą, mógł więc udać się na jakąś krótką przejażdżkę. Miał ogromną ochotę na zmianę samochodu, a gdyby zechciał zaparkować na swój sposób ten, w którym właśnie siedział - do portu nie było daleko.

Zofia zawiozła Reine do fryzjera i obiecała, że przyjedzie po nią za dwie godziny. Tyle czasu zajmą jej wykłady z historii, jakie prowadzi w ośrodku kształcenia dla osób niedowidzących. Uczniowie wstali z miejsc, kiedy Zofia przekroczyła próg klasy.

- Bez kokieterii, jestem tu najmłodsza z was wszystkich, siadajcie, proszę!

Zebrani zrobili, o co prosiła, Zofia podjęła lekcję w tym miejscu, w którym przerwała ostatnim razem. Otworzyła pisaną alfabetem Braille'a książkę, która leżała na biurku, i zaczęła czytać na głos. Zofia lubiła to pismo, w którym zdania formowały się przy dotyku, a teksty nabierały życia za pomocą dłoni. Ceniła ten niedowidzący świat, tak bardzo tajemniczy dla tych, którym się zdaje, że wszystko widzą, mimo że często nie dostrzegają istoty rzeczy. Równie z dzwonkiem zakończyła lekcję i umówiła się z uczniami na następny czwartek. Wsiadła do samochodu i pojechała po Reine, żeby odwieźć ją do domu. Potem znowu wyjechała na miasto, aby zawieźć Juliana do portowego ambulatorium. Zabandażowana noga nadawała mu wygląd flibustiera, nie ukrywał dumy, kiedy Zofia zwróciła mu na to uwagę.

- Wyglądasz, jakbyś miała jakieś zmartwienie - rzekł Julian.

- Nie, po prostu mam za dużo zajęć.

- Zawsze masz dużo zajęć. Słucham.

- Julian, przyjąłam takie dziwne wyzwanie. Gdyby miał pan zrobić coś nadzwyczaj dobrego, coś, co zmieniłoby bieg tego świata, co by pan wybrał?

- Gdybym był utopistą albo gdybym wierzył w cuda, to chyba wypłeniłbym z tego świata głód, wypędziłbym wszystkie choroby, zabroniłbym uwłaczania godności dziecka. Doprowadziłbym do pojednania wszystkich religii, posłałbym na ziemię potężnego ducha tolerancji, myślę też, że zlikwidowałbym wszelką nędzę. Tak, to wszystko bym zrobił... gdybym był Bogiem!

- A zastanawiał się pan dlaczego On tego nie robi?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że to wszystko nie zależy od Jego woli, ale od woli ludzi, którym On powierzył ziemię. Nie można uzmysłwić sobie niezmiernego dobra, Zofio, po prostu dlatego, że w przeciwieństwie do zła, dobro jest niewidoczne. Nie da się go skalkulować ani opowiedzieć, bo wtedy traci swą elegancję i cały swój sens. Dobro składa się z nieskończonej liczby drobnych przysług, które, połączone ze sobą, zdołają być może zmienić świat. Poproś kogokolwiek, żeby wymienił pięć osób, które zmieniły na lepsze bieg ludzkości. Sam nie wiem, może pierwszy demokrat, wynalazca antybiotyków albo czyniący pokój. Może to się wydaje dziwne, ale niewiele osób ci to powie, natomiast bez problemu wymienią pięciu dyktatorów. Znamy wszystkie nazwy ciężkich chorób, a nie znamy nazwisk tych, którzy je zwalczyli. Apogeum zła, którego się obawiamy, nie jest niczym innym jak końcem świata, ale nie wiemy chyba, że apogeum dobra już było... w dzień Stworzenia.

- Julianie, co byś więc zrobił, żeby zaprowadzić dobro, żeby je umocnić?

- Robiłbym dokładnie to, co ty robisz! Tym, których spotykam, dawałbym nadzieję, że wszystko jest możliwe. Przed chwilą wymyśliłaś coś wspaniałego, nawet sobie tego nie uświadamiając.

- Co takiego?

- Kiedy przechodziłaś pod moim przesłaniem, uśmiechnęłaś się do mnie. Trochę później ten detektyw, który często tu je obiad, przejeżdżał samochodem i popatrzył na mnie z tą swoją wiecznie skrzywioną miną. Nasze spojrzenia spotkały się, posłałem mu twój uśmiech i kiedy odchodził, widziałem, że miał go na swoich ustach. Tak więc jest nadzieja, że przekaże go temu lub tej, z którą ma się spotkać. Zdajesz sobie teraz sprawę z tego, co robisz? Wymyśliłaś coś w rodzaju szczepionki przeciw chwilom złego samopoczucia. Gdyby wszyscy tak robili, choćby

raz na dzień posyłali zwykły uśmiech, wyobrażasz sobie, jak by było zaraźliwe takie przekazywanie sobie szczęścia na ziemi? Wtedy wywiązałybyś się z tego twojego wyzwania.

Stary Julian zakaszłał.

- No dobrze. Powiedziałem, że nie jestem utopistą. Więc poprzestanę na tym, że ci podziękuję za przywiezienie mnie tutaj.

Kloszard wysiadł z samochodu i poszedł do swego schronienia. Obejrzał się, zrobił szybki ruch ręką:

- Bez względu na to, jakie pytania sobie stawiasz, zdaj się na swój instynkt i dalej rób to, co robisz.

Zofia patrzyła na niego pytająco.

- Julianie, co pan robił, zanim się pan tu zjawił? Zniknął pod przesłaniem, nie odpowiadając.

W Fisher's Deli Zofia zobaczyła się z Mancą; była już pora posiłku, po raz drugi tego dnia musiała prosić kogoś o przysługę. Przed majstrem stał nietknięty talerz. Usiadła przy jego stoliku.

- Nie je pan jajecznicę?

Manca pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Bez Matyldy tutejsze jedzenie nie ma żadnego smaku.

- Właśnie o niej chciałabym z panem porozmawiać.

Pół godziny później Zofia opuściła port w towarzystwie majstra i czterech jego dokerów. Przejeżdżając obok przesła numer 7, gwałtownie zahamowała. Rozpoznała mężczyznę w eleganckim garniturze: palił papierosa, stojąc obok Juliana. Dwaj dokerzy, którzy jechali w jej samochodzie, i dwaj inni, jadący za nią półciężarówką, spytali, dlaczego tak gwałtownie zahamowała. Przyspieszyła bez odpowiedzi i pojechała do Memorial Hospital.

Światła nowiutkiego lexusa zapaliły się, gdy samochód wjechał do podziemi. Lucas poszedł szybkim krokiem do drzwi prowadzących na schody. Popatrzył na zegarek, miał jeszcze dziesięć minut.

Drzwi windy otworzyły się na dziewiątym piętrze. Nadłożył drogi, żeby przejść koło drzwi sekretarki Antonia Andrica, wszedł do pokoju i usiadł na skraju jej biurka. Nie podniosła głowy, nie przestała uderzać palcami w klawisze komputera.

- Jest pani całkowicie oddana swej pracy, prawda?

Elżbieta uśmiechnęła się do niego i dalej wykonywała swoje obowiązki.

- Czy pani wie, że w Europie czas pracy jest określony ustawowo? We Francji - mówił Lucas - uważa się nawet, że praca dłuższa niż trzydzieści pięć godzin tygodniowo stanowi przeszkodę w rozwoju jednostki.

Elżbieta wstała i naląła sobie filiżankę kawy.

- A gdyby ktoś chciał popracować dłużej? - spytała.

- Nie wolno! Francja kultywuje sztukę życia!

Elżbieta wróciła przed ekran komputera i powiedziała do Lucasa chłodnym tonem.

- Mam czterdzieści osiem lat, jestem rozwiedziona, dwójka moich dzieci studiuje na uniwersytecie, jestem właścicielką małego mieszkania w Sausalito i ładnego małego kondominium na brzegu jeziora Tahoe, które skończę spłacać za dwa lata. Jeśli mam być szczerą, nie liczę czasu tutaj spędzanego. Lubię to, co robię, o wiele bardziej niż włóczyć się po sklepach, aby się przekonać, że za mało pracuję i nie mogę sobie kupić tego, na co mam ochotę. Co do Francuzów, przypominam panu, że oni jedzą ślimaki! Pan Heurt jest w swoim biurze, mają panowie spotkanie o czternastej... bardzo dobrze się składa, bo jest właśnie punkt czternasta!

Lucas skierował się ku drzwiom. Zanim wyszedł na korytarz, odwrócił się.

- Chyba nigdy jeszcze nie skosztowała pani czosnkowego maselka, w przeciwnym razie tak by pani nie mówiła!

Zofia załatwiła wcześniejsze wyjście Matyldy ze szpitala. Matylda zgodziła się podpisać odpowiedni papier, a Zofia przysięgła, że przy najmniejszym niepokojącym objawie natychmiast przywiezie ją na ostry dyżur. Ordynator zgodził się pod warunkiem, że badanie wyznaczone na godzinę piętnastą nie wykaże niczego, co mogłoby stanowić przeszkodę na drodze do polepszenia stanu zdrowia pacjentki.

Czterej dokerzy zaopiekowali się Matyldą już na szpitalnym parkingu. Żartowali na temat kruchości ładunku: zabawiali się, przytaczając całe jakże bogate słownictwo portowej obsługi towarowej - Matylda odgrywała rolę kontenera. Z największą ostrożnością ułożyli ją na noszach zaimprovizowanych w tylnej części półciężarówki. Zofia prowadziła tak powoli, jak tylko się dało, ale najmniejszy podskok wywoływał u Matyldy ostry ból nogi, podchodzący aż do pachwiny. Dojechanie do celu zajęło im aż pół godziny.

Dokerzy znieśli ze strychu metalowe łóżko, postawili je w salonie Zofii, Manca przysunął je do okna, obok ustawił taboret, który miał pełnić rolę nocnego stolika. Dokerzy zaczęli powoli wnosić Matyldę na piętro pod dowództwem Manki. Przy każdym kolejnym stopniu Zofia zaciskała palce, słysząc, jak Matylda krzyczy ze strachu. Mężczyźni odpowiadali śpiewem

na całe gardło. Śpiew przemienił się w śmiech, gdy wreszcie minęli zakręt na klatce schodowej. Jak najostrożniej położyli swoją ulubioną kelnerkę na jej nowym łóżku.

Zofia chciała zaprosić wszystkich na obiad, żeby jakoś im podziękować. Manca mówił, że nie trzeba, że Matylda bardzo dbała o nich w Deli, więc teraz mogą odplacić jej tym samym. Zofia odwiozła ich do portu. Kiedy samochód odjechał, Reine przygotowała dwie filiżanki kawy i ułożyła kilka kawałków placka na srebrnej paterze, po czym weszła na piętro.

Odjeżdżając z nabrzeża 80., Zofia postanowiła zboczyć nieco z drogi. Włączyła radio i tak długo szukała stacji, aż w aucie rozległ się głos Louisa Armstronga. *What a wonderful world*, to była jedna z jej ulubionych piosenek. Nucąc, wtórowała staremu bluesmanowi. Ford skręcił na tyły magazynów i pojechał w kierunku przęsła, stojących wzdłuż szeregu żurawi. Zofia przyspieszyła; gdy przejeżdżała przez „leżących policjantów”, samochód zaczął podskakiwać. Uśmiechnęła się i opuściła szybę do końca. Wiatr rozwiewał jej włosy, nastawiła radio jeszcze głośniej. Rozpromieniona, zabawiała się, jadąc slalomem pomiędzy słupkami bezpieczeństwa... aż do siódmego przęsła. Gdy ujrzała Juliana, zamachała do niego ręką, on zrobił to samo. Był sam... Zofia zgasiła radio, zamknęła okno i skręciła w kierunku bramy wyjazdowej.

Heurt opuścił salę konferencyjną żegnany nieszczerymi oklaskami dyrektorów zaskoczonych obietnicami, jakie właśnie usłyszeli. Pewny swej praktycznej biegłości w komunikacji Ed zamienił posiedzenie handlowe w parodię konferencji prasowej, opowiadając szczegółowo, bez opamiętania, o swoich megallo-ekspansjonistycznych wizjach. W windzie, która wiozła go na dziewiąte piętro, Ed był w siódmym niebie: zarządzanie ludźmi nie jest w końcu tak bardzo skomplikowane a jeśli będzie trzeba, przecież sam może decydować o dalszym losie firmy. Nie posiadając się z radości, podniósł zaciśniętą pięść na znak zwycięstwa.

Pileczka golfowa potrafiła chorągiewkę i poleciała dalej. Antonio Andric strzelił właśnie wspaniały „dołek”. Nie posiadając się z radości, podniósł zaciśniętą pięść na znak zwycięstwa.

Lucas, zachwycony, opuścił pięść na znak zwycięstwa: wiceprezes zdołał posiąć zamęt bez precedensu wśród kierujących jego imperium i tak namieszał im w głowach, że wcześniej czy później ów chaos rozprzestrzeni się na niższych piętrach.

Ed czekał przy automacie z napojami; na jego widok rozłożył ręce.

- Jakie wspaniałe zebranie, prawda? Zdaję sobie sprawę, że zbyt często oddalam się od moich ludzi! Muszę to zmienić, à propos, chciałbym poprosić pana o drobną przysługę.

Ed jeszcze tego wieczoru ma spotkać się z pewną dziennikarką, która chce napisać o nim artykuł w lokalnym dzienniku. Zamierza choć raz scedować swoje obowiązki wobec prasy na

swych wiernych współpracowników. Zaprosił na kolację szefa działu rozwoju, dyrektora marketingu i czterech dyrektorów handlowych. Z uwagi na drobne starcie z Antoniem wolałby nie informować wspólnika o tej inicjatywie i pozwolić mu korzystać z wieczornego odpoczynku, którego tak bardzo potrzebuje. Gdyby Lucas zgodził się udzielić wywiadu za niego, oddałby mu nieocenioną przysługę; tym bardziej że pochwały osoby postronnej zawsze okazują się bardziej przekonujące. Ed liczył na skuteczność swego nowego doradcy, zachęcił go przyjacielskim klepnięciem po ramieniu. Stolik jest zarezerwowany od godziny dwudziestej pierwszej, u Simbada, w restauracji rybnej na Fisherman's Wharf: oprawa troszeczkę romantyczna, wyśmienite kraby, przyzwoite ceny, dobrze byłoby, żeby w wywiadzie szczegółowo potraktować temat.

Po przewiezieniu Matyldy do domu Zofia wróciła do Memorial Hospital, tym razem na inny oddział. Weszła do pawilonu numer trzy na trzecie piętro.

Oddział pediatryczny był jak zwykle przepełniony. Gdy tylko mały Tomasz rozpoznał jej kroki w głębi korytarza, twarz mu się rozpromieniła. Dla niego wtorki i piątki były dniami pogodniejszymi niż inne. Zofia pogłaskała go po policzku, usiadła na skraju łóżka, złożyła pocałunek na rękę, a potem zdmuchnęła go w kierunku chłopca (to był ich znak porozumiewawczy) i zaczęła mu czytać na głos, zaczynając od założonej strony. Nikomu nie wolno było tknąć książki, którą po skończonej wizycie zawsze odkładała do szuflady nocnego stolika. Tomasz pilnował tej książki jak jakiegoś skarbu. Nawet sam nie pozwalał sobie na przeczytanie choćby jednego słowa podczas nieobecności Zofii. Ten mały człowieczek z ogoloną głową znał lepiej niż ktokolwiek inny wartość magicznych chwil. Tylko Zofia mogła mu czytać na głos bajkę. Nikt mu nie odbierze nawet jednej minuty z fantastycznych opowieści o króliku Teodorze. Swoją intonacją sprawiała, że każda linijka nabierała wyjątkowego charakteru. Czasami Zofia wstawała, chodziła po pokoju tam i z powrotem, a każdy jej wielki krok, któremu towarzyszył szeroki ruch rąk i odpowiednia mimika, natychmiast wywoływał nieopanowany śmiech chłopca. W owych czarownych chwilach, gdy postaci z bajki ożywiały się w pokoju chorego, życie brało górę. Nawet kiedy otwierał oczy, Tomasz zapominał o czterech szpitalnych ścianach, o strachu, o bólu.

Zamknęła książkę, odłożyła na miejsce i popatrzyła na chłopca, który marszczył brwi.

- Nagle zacząłeś się czymś martwić?

- Nie - odpowiedziało dziecko.

- Coś ci umknęło z tej opowieści?

- Tak.

- Co? - spytała, biorąc go za rękę.

- Dlaczego mi ją czytasz?

Zofia nie znalazła odpowiednich słów, żeby sformułować odpowiedź, więc Tomasz się uśmiechnął.

- A ja wiem - powiedział.

- No to powiedz.

Zarumienił się, wsunął między palce fałdę bawełnianego prześcieradła. Szepnął:

- Bo mnie kochasz!

Tym razem zarumieniły się policzki Zofii. - Masz rację, właśnie tego słowa szukałam - rzekła cicho.

- Dlaczego dorośli nie zawsze mówią prawdę?

- Myślę, że czasami się jej boją.

- Ale ty nie jesteś taka jak oni, prawda?

- Powiedzmy, że robię, co mogę, żeby nie być, Tomeczku.

Uniosła podbródek dziecka i pocałowała go. Zatopił się w jej ramionach i mocno ją uściskał. Gdy pieszczoty się skończyły, Zofia poszła w stronę drzwi, ale Tomasz jeszcze raz ją zawołał.

- Czy ja umrę?

Tomasz patrzył na nią, Zofia długo wpatrywała się w głębokie spojrzenie chłopczyka.

- Może.

- Ale nie wtedy, kiedy ty tu jesteś, no to do piątku - powiedział.

- Do piątku - rzekła Zofia, zdmuchując całusa z dłoni.

Pojechała z powrotem do portu, żeby sprawdzić, jak odbywa się wyładunek z jednego ze statków. Podeszła do pierwszego stosu palet, jakiś szczegół przyciągnął jej uwagę: uklękła, by zobaczyć winietę sanitarną, wskazującą na respektowanie przepisowej temperatury produktu. Płytką była koloru czarnego. Zofia natychmiast złapała walkie-talkie i przestawiła na kanał 5. Dział służby weterynaryjnej nie odpowiadał. Samochód-chłodnia, który czekał na końcu pomostu, niebawem wywiezie towar nienadający się do spożycia i dostarczy go do licznych restauracji w mieście. Musiała temu jakoś zapobiec i to jak najszybciej. Przystawiła pokrętło na kanał 3.

- Manca, tu Zofia, gdzie pan teraz jest? Odbiornik zatrzeszczał.

- Na bocianim gnieździe - odpowiedział Manca - i tu jest bardzo ładnie, jakby pani chciała wiedzieć! Prawie widać chińskie wybrzeże!

- Trwa wyładunek statku „Vasco da Gama”, może pan tu szybko do mnie przyjechać?

- Jakiś problem?

- Wolałabym porozmawiać z panem na miejscu - odpowiedziała i wyłączyła aparat.

Czekała na Mancę u stóp dźwigu wyładującego palety ze statku na ziemię; zjawił się po kilku minutach, za kierownicą fenwicka.

- Co mogę dla pani zrobić? - spytał Manca.

- Na końcu tego dźwigu jest dziesięć palet krewetek nienadających się do spożycia.

- I co?

- Jak pan sam widzi, nie ma tu żadnej służby sanitarnej, nie mogę się z nimi porozumieć.

- Mam w domu dwa psy i chomika, ale weterynarzem nie jestem. A co, pani zna się na skorupiakach czy co?

Zofia pokazała mu czujnik.

- Krewetki nie mają dla mnie tajemnic! Jeśli nie zajmiemy się tą sprawą, lepiej nie idźmy dziś wieczór do restauracji...

- Zgoda, ale co ja miałbym zrobić, mogę tylko zjeść w domu kotleta.

- ... Lepiej też, żeby dzieci jutro nie jadły w stołówce!

To zdanie zabrzmiało groźnie. Manca nie mógł znieść, kiedy cokolwiek zagrażało dzieciom, dzieci były dla niego świętością. Patrzył na nią przez chwilę, pocierając brodę.

- Dobrze! - rzekł, biorąc do rąk nadajnik Zofii.

- Zmienił zakres fal, żeby skontaktować się z dźwigowym.

- Samy, zatrzymaj się nad wodą!

- To ty, Manca? Mam na końcu liny trzysta kilo, nie można zaczekać?

- Nie!

Wysięgnik dźwigu powoli zmienił kierunek, wprawiając ładunek w ruch wahadłowy. Zatrzymał się pionowo nad wodą.

- Dobra! - krzyknął Manca do mikrofonu. - Teraz rozmawiasz z szefową bezpieczeństwa, która wykryła poważną nieprawidłowość w twoim ładunku. Ona zaraz każe ci go spuścić, żebyś nie brał na siebie odpowiedzialności, a ty zaraz jej posłuchasz, bo to jest właśnie jej zawód!

Podał Zofii słuchawkę i szeroko się uśmiechnął. Zofia zawahała się chwilę, odchrząknęła, zanim wydała polecenie. Dał się słyszeć suchy trzask, hak puścił. Palety ze skorupiakami wpadły do portowych wód. Manca wsiadł do swego fenwicka. Zapomniał, że zostawił ciągnik na wstecznym biegu, i kiedy ruszał, wywrócił stos palet wyładowanych już na ziemię. Zatrzymał się obok Zofii.

- Jeśli dziś w nocy ryby zachorują, to będzie pani problem, nie chcę nawet o tym słyszeć!
O dokumentach ubezpieczeniowych także nie!

Ciągnik bezgłośnie odjechał po asfalcie.

Zbliżał się wieczór. Piekarnia, która sprzedawała ulubione makaroniki Matyldy, znajdowała się na północnym krańcu Richmond, przy Czterdziestej Piątej Ulicy. Jadąc przez miasto, Zofia przy okazji załatwiła kilka sprawunków.

Wróciła do domu godzinę później, z rękami pełnymi zakupów weszła na piętro. Nogą pchnęła drzwi, niewiele przed sobą widziała, poszła bezpośrednio do kuchennej lady. Odechnęła głęboko, stawiając brunatne pakunki na drewnianym blacie, i podniosła głowę: Reine i Matylda przyglądały jej się z dziwnymi minami.

- Ja też mogę się pośmiać z tego, co was tak rozbawiło? - spytała Zofia.

- My się nie śmiejemy! - zapewniła Matylda.

- Jeszcze nie... ale wasze buźki mówią mi, że to zaraz nastąpi.

- Dostałaś kwiaty! - wyszeptała Reine przez zęby. Zofia patrzyła po kolei to na jedną, to na drugą.

- Reine zaniósła je do łazienki! - dodała Matylda ze ściśniętym gardłem.

- Dlaczego do łazienki? - Zofia była podejrzliwa.

- Ze względu na wilgotność, jak sędzę! - odpowiedziała wesoło Matylda.

Zofia odsunęła zasłonkę prysznicową i usłyszała jeszcze słowa Reine:

- Ten rodzaj roślin potrzebuje dużo wody.

We wszystkich pokojach zapanowała cisza. Kiedy Zofia spytała, kto jest na tyle wytworny, że przysyła jej nenufara, z salonu doleciał śmiech Reine, a zaraz potem Matyldy. Reine zdołała się jakoś opanować i dodała, że na brzegu umywalki jest liścik. Z miną pełną wątplenia Zofia otworzyła go.

Bardzo żałuję, ale nieprzewidziana zawodowa komplikacja zmusza mnie do przełożenia naszej kolacji. Chyba mi pani wybaczy, gdy zaproszę panią na godzinę 19.30 do baru Hyatt Embarcadero, wypijemy tam aperitif. Proszę przyjść, towarzystwo pani jest mi niezbędne.

Mały kartonik, napisany w telegraficznym skrócie, nosił podpis Lucasa. Zofia zgmiotła go i wrzuciła do kosza. Wróciła do salonu.

- Kto to był? - spytała Matylda, wycierając policzki.

Zofia podeszła do szafy i energicznie ją otworzyła. Włożyła rozpinany sweter, złapała klucze leżące na stoliku w przedpokoju, odwróciła się przed wyjściem, powiedziała Reine i Matyldzie, że bardzo się cieszy, że przypadły sobie do gustu. Na ladzie w kuchni jest wszystko, co potrzebne do kolacji. A ona ma pracę i musi iść. Matylda i Reine usłyszały jeszcze z klatki schodowej oziębłe „miłego wieczoru” i zaraz potem trzaśnięcie drzwi. Odgłos silnika forda ucichł po kilku sekundach. Matylda popatrzyła na Reine, nie kryjąc szczerego uśmiechu.

- Sądzi pani, że jest zła?

- Chyba nigdy jeszcze nie dostałaś nenufara! Reine otarła łzy w kącikach oczu.

Zofia prowadziła ostro. Włączyła radio i coś mruczała.

- Potraktował mnie jak żabę!

Na skrzyżowaniu Trzeciej Alei wściekłym ruchem skręciła kierownicę, niespodziewanie naciskając klakson. Przed maską jakiś przechodzień nieeleganckim gestem pokazywał, że jest czerwone światło. Zofia wysunęła głowę przez okno i krzyknęła:

- Przykro mi, płazy są daltonistami!

Z dużą prędkością jechała w kierunku nabrzeża.

- Nieprzewidziana komplikacja, tralala, za kogo on się uważa!

Kiedy Zofia przyjechała na nabrzeże 80., strażnik wyszedł z budki. Miał dla niej wiadomość od Manki, który natychmiast chciał z nią rozmawiać. Popatrzyła na zegarek i podjechała pod biuro majstrów. Weszła do pokoju i już po minie Manki domyśliła się, że zdarzył się jakiś wypadek: Manca potwierdził, że jeden z ładowaczy o nazwisku Gomez spadł z dużej wysokości. Przyczyną upadku była prawdopodobnie koślawa drabina. Towar przewożony w ładowni luzem trochę złagodził upadek, mężczyznę w oplakanyim stanie zabrano do szpitala. Przyczyny wypadku wywołały złość kolegów ofiary. W chwili wypadku Zofii nie było na służbie, niemniej czuła się za to w jakimś stopniu odpowiedzialna. Od tego momentu rosło napięcie, w dokach 96 i 80 krążyły już pogłoski o ewentualnym strajku. Aby uspokoić wzburzone umysły, Manca obiecał, że wyda zakaz wyjścia statku z portu. Jeśli śledztwo potwierdzi jego podejrzenia, związek zawodowy wystąpi w charakterze oskarżyciela z powództwa cywilnego i wytoczy proces armatorowi. Na razie, dla przedyskutowania słuszności strajku, Manca zaprosił na kola-

cję, jeszcze tego wieczoru, przywódców trzech sekcji Związku Dokerów. Z poważną miną nabazgrał adres restauracji na skrawku papieru wyrwanym z notesu.

- Nie byłoby źle, gdybyś do nas dołączyła, zamówiłem stół na dziewiątą.

Podał jej kartkę. Zofia wyszła.

Zimny wiatr wiejący na nabrzeżu smagał jej policzki. Nabrała w płuca lodowatego powietrza i powoli wydychała. Na skrzypiącej przy każdym ruchu linie cumowniczej usiadła mewa. Ptak przechylił głowę i wpatrywał się w Zofię.

- To ty, Gabrielu? - zapytała nieśmiało. Mewa wzleciała w górę, wydając głośny krzyk.

- Nie, to nie ty...

Gdy szła wzdłuż nabrzeża, ogarnęło ją uczucie, którego dotąd nie знаła, tak jakby spowił ją woal smutku, zmieszany z nadmorską mżawką.

- Coś nie tak?

Głos Juliana przestraszył ją.

- Nie słyszałam pana kroków.

- A ja twoje usłyszałem - powiedział starszy mężczyzna, podchodząc bliżej. - Co ty tu robisz o tak późnej porze, przecież służbę już skończyłaś!

- Przyszłam pomedytować na temat dnia, w którym wszystko dryfowało.

- Nie wierz pozorom, przecież wiadomo, że często mylą.

Zofia wzruszyła ramionami i usiadła na pierwszym stopniu kamiennych schodów, prowadzących do wody. Julian usadowił się obok niej.

- Noga już pana nie boli? - spytała.

- Nie zajmuj się moją nogą! No więc, co ci dziś źle poszło?

- Myślę, że jestem zmęczona.

- Ty nigdy nie jesteś zmęczona... słucham!

- Nie wiem, co mi jest, Julianie... czuję się trochę osłabiona...

- Aha, wszystko jasne!

- Dlaczego pan tak mówi?

- Tak sobie! Skąd nagle taka chandra?

- Nie mam pojęcia.

- Nigdy nie widać tego małego skarabeusza smutku, nagle przychodzi i potem nagle odchodzi, nie wiadomo jak.

Usiłował wstać, podała mu rękę, żeby mógł się na niej oprzeć. Kiedy się podnosił, miał grymas na twarzy.

- Jest piętnaście po siódmej... chyba muszę już iść.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Przestań ciągle pytać! Powiedzmy, że to dlatego, że zrobiło się późno. Dobranoc, Zofio. Szedł, nie kulejąc. Zanim zniknął pod swoim przeszłem, odwrócił się i spytał:

- Ten twój smutek jest blondynem czy brunetem? Julian zniknął w mroku, zostawiając ją samą na parkingu.

Pierwszy obrót kluczyka nie pozostawiał nadziei: reflektory forda ledwo oświetlały dziób statku. Rozrusznik wydał mniej więcej taki dźwięk jak kartoflane purée ubijane gołą ręką. Zofia wysiadła, mocno trzaskając drzwiami i poszła w stronę budki strażnika.

- Cholera! - powiedziała, podnosząc kołnierz.

Kwadrans później taksówka przywiozła ją do Embarcadero Center. Po ruchomych schodach zbiegła do wielkiego atrium hotelowego centrum. Tu wsiadła do windy, która bez zatrzymywania jechała na ostatnie piętro.

Panoramiczny bar powoli obracał się wokół swojej osi. Przez pół godziny można więc było podziwiać wyspę Alcatraz na wschodzie, Bay Bridge na południu, przedmieścia bankowo-finansowe na zachodzie. Spojrzenie Zofii mogłoby równie dobrze ogarnąć majestatyczny Golden Gate, który łączy zieleniejące ziemie Presidio ze stromym brzegiem porośniętym miętą, dominującym nad Sausalito... pod warunkiem że siedziałyby przodem do szyby, ale Lucas zajął najlepsze miejsce...

Zamknął kartę koktajli i przywołał kelnera, strzelając palcami. Zofia opuściła głowę. Lucas wypluł w dłoń pestkę, którą starannie wyczyścił językiem.

- Ceny tutaj są zupełnie niedorzeczne, ale widok zupełnie wyjątkowy - powiedział, wkładając do ust następną oliwkę.

- Tak, ma pan rację, widok jest dość ładny - rzekła Zofia. - Myślę nawet, że dostrzegam malutki kawałek Golden Gate w wąskim pasku lustra naprzeciw mnie. Chyba że to odbicie drzwi do toalety, one też są czerwone.

Lucas wysunął język i zezował, próbując dojrzeć jego koniec, zdjął z niego wylizaną pestkę, położył ją na tacce do chleba i podsumował:

- Tak czy inaczej, jest ciemno, prawda?

Drżącą ręką kelner postawił na stoliku martini dry, dwa pucharki krabów, po czym oddalił się szybkim krokiem.

- Nie uważa pan, że jest trochę spięty? - spytała Zofia.

Lucas czekał na stolik jakieś dziesięć minut i trochę zbeształ kelnera.

- Biorąc pod uwagę ceny, chyba można mieć wymagania!

- Ma pan zapewne złotą kartę kredytową? - spytała, odcinając się.

- Oczywiście! Skąd pani wie? - zapytał z miną jednocześnie zdziwioną i zachwyconą.

- Takie karty często czynią człowieka aroganckim... Niech mi pan wierzy, rachunki nie mają nic wspólnego z pensją pracowników tej restauracji.

- To ciekawa uwaga - wyraził przekonanie Lucas, przeżuując którąś już z kolei oliwkę.

Od tej chwili, za każdym razem gdy zamawiał migdały... następny kieliszek... czystą serwetkę... robił duży wysiłek, aby wydusić z siebie jakieś podziękowanie, które, jak się wydawało, parzyło mu gardło. Zofia zaniepokoiła się, co mu jest, a on wybuchnął gromkim śmiechem. Wszystko toczyło się w najlepsze na tym najlepszym ze światów. Lucas był naprawdę szczęśliwy, że udało mu się ją spotkać. Po siedemnastu oliwkach uregulował rachunek, ale nie zostawił napiwku. Wychodząc z lokalu, Zofia dyskretnie wsunęła pięć dolarów do ręki portiera w liberii, który poszedł po samochód.

- Może panią odwieźć?

- Nie, dziękuję, wezmę taksówkę.

Szerokim gestem otworzył drzwi od strony pasażera.

- Proszę wsiąść, odwiozę panią!

Kabriolet jechał z dużą prędkością. Lucas przegazowywał silnik, włożył płytę kompaktową do odtwarzacza wmontowanego w deskę rozdzielczą. Z szerokim uśmiechem na ustach wyjął z kieszeni kartę kredytową Platinum i obracał ją między małym a wskazującym palcem.

- Musi pani przyznać, że mają same wady!

Zofia patrzyła na niego przez kilka sekund. W mgnieniu oka wyjęła mu z palców ten kawałek plastiku i wyrzuciła na zewnątrz.

- Podobno mogą ją odtworzyć w dwadzieścia cztery godziny! - powiedziała.

Samochód zahamował z piskiem opon, Lucas wybuchnął śmiechem.

- Poczucie humoru to zaiste rzecz nieodparta u kobiety!

Kiedy auto stanęło przy postoju taksówek, Zofia przekręciła kluczyk, żeby uciszyć ogłuszający huk silnika. Wysiadła i delikatnie zamknęła drzwi.

- Na pewno nie chce pani, żebym panią odwiózł do domu? - spytał Lucas.

- Dziękuję, ale mam jeszcze spotkanie. Muszę za to pana o coś poprosić.

- Co tylko pani zechce!

Zofia pochyliła się do okna od strony kierowcy.

- Mógłby pan poczekać, aż zniknę za rogiem ulicy, zanim znowu uruchomi pan tę superkosiarkę do trawy?

Cofnęła się o krok, on złapał ją za rękę.

- Spędziłem boskie chwile - powiedział.

Prosił, żeby zgodziła się na następne, bardziej udane spotkanie. Pierwsze chwile takich spotkań zawsze są dla niego trudne, bo jest nieśmiały. Powinna dać im obojgu szansę, żeby mogli się lepiej poznać. Zofia była zaskoczona jego definicją nieśmiałości.

- Nie można osądzać ludzi po pierwszym wrażeniu, prawda?

W tonie, jakim wypowiedział te słowa, była odrobina wdzięku... Przyjęła propozycję obiadu, nic ponadto! Po chwili odwróciła się i pobiegła do taksówki, stojącej na początku postoju. V12 Lucasa warczało już za jej plecami.

Taksówka stanęła przy chodniku. Dzwony Grace Cathedral dźwięczały jeszcze dziewiątym uderzeniem. Zofia weszła do Simbada, była punktualna co do minuty. Zamknęła jadłospis, podała kelnerce i wypila łyk wody, postanowiła bowiem od razu przystąpić do tematu, który przywiódł ją do tego stołu. Musiała przekonać przywódców związku zawodowego, aby powstrzymali falę złego nastroju w dokach.

- Nawet jeśli udzielicie im swego poparcia, wasi dokerzy nie wytrzymają ani tygodnia bez płacy. Jeśli ustanie praca, statki będą musiały zacumować po drugiej stronie zatoki. W ten sposób wykończycie nasze doki - oznajmiła pewnym głosem.

Działalność handlowa była zagrożona konkurencją Oakland, sąsiedniego portu. Kolejna blokada mogłaby spowodować wycofanie się przedsiębiorstw transportowych. Apetyty inwestorów budowlanych, którzy od sześciu lat liczyli na najpiękniejsze tereny miasta, były już tak bardzo wyostrzone, że nie należało bawić się z nimi w Czerwonego Kapturka, z posmakami strajku dobywającym się z koszyka.

- Tak stało się w Nowym Jorku i w Baltimore, teraz może stać się i u nas - podjęła, całkowicie przekonana o słuszności sprawy, której broniła. - Jeśli doki towarowe będą musiały zamknąć podwoje, konsekwencje okażą się bolesne nie tylko dla dokerów. Nieprzerwany strumień ciężarówek, przemierzających codziennie mosty, bardzo szybko spowoduje ostateczne

zaczopowanie dojazdu do półwyspu. Ludzie będą musieli wyjeżdżać z domu do pracy jeszcze wcześniej, a wracać o wiele później. Nie minie sześć miesięcy, a wielu z nich postanowi przenieść się bardziej na południe.

- Chyba się pani nieco zapędziła z tymi korkami? - odezwał się jeden z mężczyzn. - Wystarczy przecież renegocjować premie za pracę w trudnych warunkach. Myślę też, że nasi koledzy z Oakland będą z nami solidarni.

- To się właśnie nazywa teoria trzepotania skrzydełkami motyla - ciągnęła Zofia, rozdzierając skraj papierowego obrusa.

- A co do tego mają motyle? - spytał Manca.

Mężczyzna w czarnym garniturze, który jadł kolację tuż za nimi, odwrócił się, żeby wtrącić swój komentarz do ich rozmowy. Zofia poczuła, że krew ścina jej się w żyłach: rozpoznała Lucasa.

- To podstawowa zasada geofizyki; według niej ruch skrzydeł motyla w Azji wywołuje ruch powietrza, który może przeobrazić się, poprzez kolejne odbicia, w cyklon pustoszący wybrzeża Florydy.

Przedstawiciele związków zawodowych popatrzyli na siebie w milczeniu, z lekkim powątpiewaniem. Manca umoczył kawałek chleba w majonezie, głośno sapnął i krzyknął:

- Wyglupiliśmy się w Wietnamie, powinniśmy byli przynajmniej to wykorzystać dla siarkowania gąsienic, wtedy wszystko miałoby jakiś sens!

Lucas uklonił się Zofii i odwrócił się w stronę dziennikarki, która przy sąsiednim stoliku przeprowadzała z nim wywiad. Twarz Zofii przybrała barwę piwonii. Jeden ze związkowców spytał ją, czy może jest uczulona na skorupiaki, nie tknęła przecież swojego dania. Jest jej trochę niedobrze, tłumaczyła, prosząc, żeby jej porcję podzielili między siebie. Błagała, by zastanowili się, zanim popełnią nieodwracalny błąd, potem przeprosiła: naprawdę nie czuła się dobrze.

Wszyscy wstali, kiedy odchodziła od stolika. Nachyliła się do młodej kobiety i popatrzyła na nią przeciągle. Tamta, zaskoczona, cofnęła się, o mało nie upadła z krzesłem. Zofia uśmiechnęła się do niej w sposób wymuszony.

- Musi mu się pani cholernie podobać, skoro usadził panią twarzą do szyby! No tak, jest pani blondynką! Życzę wam miłego wieczoru... w sprawach zawodowych... wam obojgu!

Zdecydowanym krokiem poszła do szatni. Lucas rzucił się w jej stronę, przytrzymał ją za ramię i zmusił do obejrzenia się.

- Co się pani stało?

- Zawodowe, wszystko jasne, prawda...?

- To dziennikarka!

- Tak, ja też jestem dziennikarką: co niedzielę przepisuję notatki z całego tygodnia do mojego pamiętnika.

- Ale Amy jest prawdziwą dziennikarką!

- I władze są teraz w wielkim kłopotcie, bo nie mogą połączyć się z Amy!

- Oczywiście, ale niech pani nie mówi tak głośno, bo pani spali moje alibi!

- Alibi dla jej pisma? Niech pan jej zafunduje jakiś deser, widziałam w karcie, że są takie, które kosztują mniej niż sześć dolarów!

- Alibi dla mojej misji, psiakrew!

- A to coś naprawdę nowego! Kiedyś, jak zostanę babcią, będę opowiadać wnukom, że pewnego wieczoru piłam aperitif z Jamesem Bondem! Na emeryturze będzie pan już mógł odsłonić tajemnice tej obronnej taktyki?

- No dobrze, wystarczy! Nie spędzała pani wieczoru z trzema przyjaciółkami z liceum, jak mi się zdaje!

- Czarujące, jest pan naprawdę czarujący, pana towarzyszka także. Cudownie trzyma głowę na ładnej ptasiej szyi. Szczęściara: za czterdzieści osiem godzin dostanie piękną klatkę z plecionej wikliny!

- Czegoś tu nie rozumiem! Mój nenufar nie spodobał się pani?

- Wręcz przeciwnie! Bardzo mi pochlebia, że nie przysłał pan akwarium i do tego małej drabiny! Niech się pan pospieszy, wygląda na przygnębioną! To straszna rzecz dla kobiety, kiedy musi się nudzić przy stoliku mężczyzny, proszę mi wierzyć na słowo, wiem, co mówię.

Zofia szybko wyszła, drzwi restauracji zamknęły się za nią. Lucas wzruszył ramionami, rzucił okiem na grono współbiedniaków, które Zofia właśnie opuściła, i wrócił do swojej towarzyszki.

- Kto to był? - spytała zniecierpliwiona dziennikarka.

- Przyjaciółka.

- Może wtrącam się do czegoś, co mnie nie obchodzi, ale wcale na to nie wygląda.

- Rzeczywiście, wtrąca się pani do tego, co nie powinno panią obchodzić!

Przez całą kolację Lucas nie przestawał wychwalać zasług swego chlebodawcy. Wyjaśniał, że wbrew obiegowym opiniom właśnie Edowi Heurtowi firma zawdzięcza taki dyna-

miczny rozwój. Wyjątkowa wierność współnikowi i jego legendarna już skromność sprawiły, że wiceprezes zadowala się tytułem osoby numer dwa, bo dla Eda Heurta liczy się tylko sprawa. Jednak prawdziwą istotą myślącą w tym tandemie jest on, wyłącznie on! Dziennikarka stuknęła jedną zwinną ręką w klawiaturę laptopa. Lucas specjalnie poprosił ją, żeby w swym artykule nie wspominała pewnych jego rozważań, którymi przed chwilą poufnie się z nią podzielił, bo błękit jej oczu jest doprawdy tak czarujący, że nie można mu się oprzeć. Nachylił się, żeby nalać jej wina, ona zaproponowała, żeby powierzył jej jeszcze inne tajemnice alkowy, tak wyłącznie po przyjacielsku, oczywiście. Roześmiał się głośno i dodał, że nie jest aż tak pijany. Poprawiając ramiączko jedwabnej bluzeczki, Amy spytała, co mogłoby wywołać u niego stan upojenia.

Zofia cichutko weszła po schodach do domu. Mimo późnej pory drzwi do pokoju Reine były jeszcze uchylone. Pchnęła je lekko palcem. Nie było albumu rozłożonego na dywanie, nie było patery z ciasteczkami, Miss Sheridan czekała, siedząc w fotelu. Zofia weszła.

- Ten młody człowiek podoba ci się, prawda?

- Kto taki?

- Nie udawaj głupiej, ten od nenufara, ten, z którym spędziłaś wieczór!

- Wypiliśmy tylko szklaneczkę. A o co chodzi?

- Bo on mi się nie podoba, o to chodzi.

- Muszę panią uspokoić, mnie też nie. Jest wstrętny.

- No przecież mam rację, on ci się podoba!

- Ależ nie! Jest wulgarny, zadufany w sobie i wyniosły.

- Mój Boże, ona już jest zakochana! - krzyknęła Reine, wznosząc ręce do nieba.

- Naprawdę nie! To jest ktoś, kto nie lubi siebie samego; myślałam, że będę mogła mu pomóc.

- Jest gorzej, niż sądziłam! - rzekła Reine, znowu unosząc ręce.

- O co w końcu chodzi?

- Nie mów tak głośno, obudzisz Matyldę.

- Przecież ciągle mi pani powtarza, że powinnam mieć kogoś w życiu.

- Moja droga, wszystkie żydowskie matki mówią to swoim dzieciom przed ślubem. Od dnia, w którym przyprowadzają kogoś do domu, matki powtarzają tę samą śpiewkę, ale ustawiają słowa odwrotnie.

- Reine, przecież pani nawet nie jest Żydówką!

- No to co?

Reine wstała i wzięła z kredensu metalową puszkę, wyjęła z niej trzy biszkopty, które ułożyła na srebrnej paterze. Kazała Zofii zjeść choć jednego i to bez dyskusji, wycierpiała się już wystarczająco, czekając na nią przez cały wieczór!

- Siadaj i wszystko mi opowiedz! - poprosiła Reine, zagłębiając się w fotelu.

Słuchała uważnie, nie przerywając, usiłowała zrozumieć zamiary mężczyzny, który tyle już razy stanął na drodze Zofii. Patrzyła badawczym wzrokiem, przerwała milczenie, które sobie narzuciła, tylko raz, gdy poprosiła o podanie biszkopta. Zwykle jadła słodczyce po posiłku, ale okoliczności usprawiedliwiały tak szybkie spalanie cukrów prostych.

- Opisz mi go jeszcze raz - poprosiła Reine po zjedzeniu kawałka ciastka.

Zofię szczerze bawiło zachowanie gospodyni. Biorąc pod uwagę późną porę, mogłaby położyć kres tej rozmowie i wyjść, ale miała niezły pretekst, żeby rozkoszować się takimi cennymi chwilami, gdy pieszczota głosu jest o wiele bardziej urzekająca niż dotyk dłoni. Odpowiadając jak najbardziej szczerze swej rozmówczyni, zdała sobie sprawę, że nie może przypisać żadnej zalety mężczyźnie, z którym spędziła część wieczoru, może z wyjątkiem odrobiny inteligencji, w której niepodzielnie rządzi logika.

Reine czule poklepała kolano Zofii.

- To spotkanie nie jest dziełem przypadku! Jesteś w niebezpieczeństwie i nawet o tym nie wiesz!

Starsza pani zdała sobie sprawę, że intencja jej słów nie trafiła do Zofii; umościła się głębiej w fotelu.

- Masz go już we krwi, dojdzie aż do serca. Zabierze emocje, które kultywowałaś z taką starannością. Potem będzie cię mamił nadzieją. Miłosne zdobywanie jest najbardziej egoistyczną kruczają.

- Reine, mam nadzieję, że pani się myli!

- Nie, niebawem ty się pomylisz. Wiem, że masz mnie za starą nudziarę, ale wkrótce się przekonasz. Co dzień, w każdej godzinie, będziesz się pozbywać swoich oporów, przyzwyczajęń, nawyków, ale chęć przebywania z nim będzie silniejsza niż narkotyki. Więc nie daj się oszukać samej sobie, tylko o to cię proszę. On opanuje twój umysł i nic cię od tego nie uwolni. Ani rozum, ani nawet czas, który stanie się twoim najgorszym wrogiem. Jedynie myśl o zobaczeniu go, takim jak go sobie wyobrażasz, pozwoli ci przezwyciężyć najgorszy z lęków: lęk

przed opuszczeniem... z jego strony, z twojej strony. To najbardziej delikatny, trudny wybór, do jakiego zmusza nas życie.

- Reine, dlaczego pani mi to wszystko mówi?

Reine patrzyła w kierunku półki na grzbiet okładki jednego z albumów. Coś w rodzaju tęsknoty pojawiło się w jej oczach.

- Bo mam już życie za sobą! Więc nie rób nic albo zrób wszystko! Żadnych oszustw, żadnego udawania, a przede wszystkim żadnych kompromisów!

Zofia zaplatała palcami frędzle dywanu. Reine popatrzyła na nią czule i pogłaskała ją po włosach.

- No dobrze, nie rób takiej miny, podobno od czasu do czasu historie miłosne dobrze się kończą! Dostyc już wyświechtanych słów, nawet nie mam odwagi spojrzeć na zegarek.

Zofia cicho zamknęła drzwi i weszła na górę. Matylda spała jak suseł.

Dwie margarity stuknęły się z kryształowym dźwiękiem. Lucas siedział zagłębiony na kanapie swego hotelowego apartamentu i przechwalał się, że potrafi przygotować koktajle jak nikt inny. Amy uniosła kieliszek do ust i spojrzeniem przyznała mu rację. Głosem niesamowicie łagodnym wyznał, że jest zazdrosny o ziarenka soli pozostałe na jej wargach. Zgryzła je zębami, oblizała językiem, język Lucasa przesunął się po ustach Amy, po czym wśliznął się głębiej, dużo głębiej.

Zofia nie zapalała światła. Przeszła przez pokój w ciemności, zbliżyła się do okna i ci-chutko je otworzyła. Usiadła na parapecie i patrzyła na morze, okalające brzeg. Napełniła płuca wilgotnym powietrzem, które oceaniczna bryza przywiewała nad miasto, i z rozmarzeniem patrzyła na niebo. Na niebie nie było gwiazd.

I tak upłynął wieczór i poranek...

Dzień trzeci

Lucas chciał podciągnąć wyżej kapę, ale ręka na próżno jej szukała. Otworzył jedno oko i potarł zarost; poczuł własny oddech i stwierdził, że papierosy i alkohol nie są chyba najlepszym połączeniem. Radio-budzik wskazywał szóstą dwadzieścia jeden. Obok niego wygnieciona poduszka była opustoszała. Wstał i poszedł do saloniku, zupełnie goły. Amy, zawinięta w kapę z łóżka, chrupała czerwone jabłko wydobyte z koszyka napełnionego owocami.

- Obudziłam cię? - spytała.

- Pośrednio, tak! Czy w tym przybytku jest jakaś kawa?

- Pozwoliłam sobie zamówić w *room service*. Biorę prysznic i zmywam się.

- Jeśli ci to nie przeszkadza - odpowiedział - wolałbym raczej, żebyś wzięła prysznic w domu, bo jestem już bardzo spóźniony!

Amy osłupiała ze zdumienia. Natychmiast poszła do sypialni i pozbierała porzucane części swojej garderoby. Ubrała się w pośpiechu, chwyciła buty i małym korytarzem ruszyła do drzwi wyjściowych. Lucas wystawił głowę z łazienki.

- Nie wypijesz kawy?

- Nie, kawę też wypiję w domu, dziękuję za jabłko!

- Nie ma za co, chcesz jeszcze jedno?

- Nie, wystarczy, było miło, dobrego dnia.

Zdjęła łańcuch z drzwi i przekręciła gałkę. Lucas podszedł do niej.

- Mogę zadać ci jedno pytanie?

- Słucham!

- Jakie są twoje ulubione kwiaty?

- Lucas, masz dużo gustu, ale przeważnie złego! Twoje ręce są bardzo sprawne, naprawdę spędziłam z tobą piekielną noc, ale niech tak już zostanie!

Kiedy wychodziła, stanęła twarzą w twarz z kelnerem, niosącym tacę ze śniadaniem. Lucas popatrzył na Amy.

- Na pewno nie chcesz kawy, skoro już ją przyniesiono?

- Na pewno!

- Bądź miła, jak to jest z tymi kwiatami?

Amy wzięła głęboki oddech, wyraźnie zirytowana.

- Osoby zainteresowanej nie pyta się o takie rzeczy, bo to psuje cały urok, jeszcze tego nie wiesz w twoim wieku?

- Naturalnie, że wiem - odpowiedział Lucas głosem małego obrażonego chłopczyka - ale to nie ty jesteś tą zainteresowaną!

Amy odwróciła się na pięcie i wyszła; o mało nie potrafiła kelnera, który ciągle czekał na progu apartamentu. Obaj panowie stali bez ruchu, nagle usłyszeli głos Amy dochodzący z głębi korytarza: „Kaktus, i możesz sobie na nim usiąść!”. W milczeniu wiedli za nią wzrokiem. Usłyszeli dzwonek windy, która właśnie przyjechała. Zanim zamknęły się drzwi, Amy dodała: „Jeszcze jeden szczegół, Lucas, jesteś całkiem goły!”.

- Przez całą noc nie zmrużyłaś oka.

- Zawsze śpię krótko...

- Zofia, czym cię martwisz?

- Niczym!

- Przyjaciółka słyszy to, czego druga osoba nie mówi.

- Mam zbyt dużo pracy, Matyldo, nie wiem, od czego zacząć. Boję się, że nie będę umiała stanąć na wysokości zadania, jak tego ode mnie oczekują.

- Po raz pierwszy w życiu widzę, że masz jakieś wątpliwości.

- To znaczy, że właśnie zostajemy prawdziwymi przyjaciółkami.

Zofia poszła do kuchni. Stanęła przy ladzie i napełniła wodą elektryczny czajnik. Ze swego łóżka w salonie Matylda mogła obserwować, jak dzień wstaje nad zatoką, w drobnej porannej mżawce. Smutne chmury przyciemniały niebo.

- Nienawidzę października - powiedziała Matylda.

- Co ci zrobił?

- To miesiąc, który uśmierca lato. W jesieni wszystko jest marne: dni są coraz krótsze, nie ma nigdy słońca, wkrótce nadejdą chłody, patrzemy na swetry, nie wkładając ich jeszcze. Jesień jest paskudną ociężałą porą, tylko wilgoć, deszcz i deszcz.

- A mówisz, że to ja źle spałam!

Czajnik zaczął się trząść. Ciche stuknięcie przerwało szmer wrzącej wody. Zofia zdjęła przykrywkę z blaszanej puszki, wyjęła torebkę earl greya, wlała gorący płyn do dużej filiżanki i zostawiła, żeby herbata naciągnęła. Na tacy ustawiła śniadanie dla Matyldy, podniosła gazetę, którą Reine wsunęła pod drzwi, jak co rano, i wszystko razem zaniósła przyjaciółce. Pomogła

jej podciągnąć się wyżej, ułożyła poduszki i poszła do pokoju. Matylda otworzyła okno. Późnojesienna wilgoć przeniknęła aż do nogi, wywołując przeszywający ból, chora skrzywiła się.

- Wczoraj wieczorem widziałam się z tym od nenufara! - krzyknęła Zofia z łazienki.

- W ogóle się już nie rozstajecie! - Matylda odkrzyknęła równie głośno.

- Co ty! Po prostu był w tej samej restauracji.

- Z kim?

- Z blondynką.

- Jaki typ kobiety?

- Blondynka.

- I co jeszcze?

- Coś w rodzaju „co mi zrobisz, jak mnie złapiesz, przyjdzie ci to łatwo, mam wysokie obcasy!”.

- Rozmawialiście?

- Tak ogólnie. Coś bredził, że ona jest dziennikarką, a on udziela jej wywiadu.

Zofia weszła pod prysznic. Odkręciła stare rzeżące krany i dwukrotnie trąciła sitko prysznic, które dwa razy prychnęło: woda trysnęła na twarz i ciało. Matylda rozłożyła „San Francisco Chronicle”, jakieś zdjęcie przyciągnęło jej uwagę.

- Nie kłamał! - krzyknęła.

Zofia, która właśnie obficie lała szampon na włosy, otworzyła jedno oko. Wierzchem dłoni usiłowała zetrzeć mydło, bo bardzo szczypało, a wywołała skutek odwrotny.

- Tylko że ona jest raczej szatynką... - dodała Matylda - i to całkiem niezłą!

Ucichł szum prysznic, Zofia natychmiast zjawiała się w salonie. Była opasana ręcznikiem, na włosach miała pełno piany.

- Co ty opowiadasz?

Matylda przyglądała się przyjaciółce.

- Masz naprawdę ładne piersi!

- Święci zawsze są piękni, w przeciwnym razie nie byliby świętymi!

- To właśnie co rano przed lustrem powtarzam moim piersiom.

- O czym ty właściwie mówisz, Matyldo?

- O twoich jabłuszkach! Chciałabym, żeby moje były tak wyniosłe.

Zofia zakryła ramieniem piersi.

- O czym mówiłaś przedtem?

- Prawdopodobnie o tym, co kazało ci wyjść spod prysznic i nie wytrzeć się! - zauważyła, machając gazetą.

- W jaki sposób ten artykuł mógł się już ukazać?

- Aparaty cyfrowe i internet! Udzielasz wywiadu, kilka godzin później jesteś na pierwszej stronie gazety, a następnego dnia służysz do zawijania ryby!

Zofia chciała wziąć dziennik z rąk Matyldy, lecz ta się sprzeciwiła.

- Nie dotykaj! Jesteś cała mokra.

Matylda zaczęła czytać na głos pierwsze linijki artykułu, zajmującego dwie kolumny. WIELKI SUKCES SPÓŁKI A&H: prawdziwy panegiryk na cześć Eda Heurta, w trzydziestu wierszach dziennikarka wychwala karierę człowieka, który bezspornie przyczynił się do wspólnego rozwoju gospodarczego całego regionu. Tekst zakończony był konkluzją, że mała firma z lat pięćdziesiątych, która urosła do rozmiarów gigantycznej spółki, dzisiaj opiera się wyłącznie na jego barkach.

Zofia w końcu wzięła do ręki gazetę i dokończyła lekturę artykułu opatrzonego małym kolorowym zdjęciem. U dołu widniał podpis Amy Steven. Zofia złożyła gazetę, nie mogła opanować uśmiechu.

- Jest blondynką! - powiedziała.

- Zobaczycie się jeszcze?

- Zgodziłam się pójść z nim na obiad.

- Kiedy?

- We wtorek.

- O której godzinie we wtorek?

Lucas ma po nią przyjechać około dwunastej, odpowiedziała. Matylda, kiwając głową, wskazała palcem drzwi do łazienki.

- Przecież to już za dwie godziny!

- Dzisiaj jest wtorek? - spytała Zofia, w pośpiechu zbierając swoje rzeczy.

- Tak jest napisane w gazecie!

Zofia wyszła z garderoby kilka minut później. Miała na sobie dzinsy i sweter robiony grubym ścięciem, stanęła przed przyjaciółką w oczekiwaniu na ewentualny komplement. Matylda spojrzała na nią i znowu zagłębiła się w lekturze.

- Coś nie tak? Kolory nie pasują do siebie? Może zmienić dzinsy? - pytała Zofia.

- Porozmawiamy, kiedy spleciesz włosy - odpowiedziała Matylda, przewracając strony z programem telewizyjnym.

Zofia przejrzała się w lustrze, stojącym na kominku. Zdjęła sweter i z opuszczonymi ramionami wróciła do łazienki.

- Po raz pierwszy widzę, jak przejmujesz się tym, co na siebie wkładasz... Spróbuj opowiedzieć mi, że on ci się nie podoba, że to nie jest twój typ mężczyzny, że jest zbyt „poważny”..., żebyś sama usłyszała, jak to mówisz! - dodała Matylda.

Ciche drapanie w drzwi poprzedziło wejście Reine. Ręce miała obładowane koszem ze świeżymi warzywami i kartonowym pudłem, którego smakowitą zawartość zdradzała ozdobna wstążka.

- Zdaje się, że pogoda nie może zdecydować o jej dzisiejszym ubraniu - powiedziała, wykładając ciasteczka na talerz.

- Zdaje się, że nie tylko pogoda - odrzekła Matylda.

Reine odwróciła się, gdy Zofia wychodziła z łazienki, tym razem z puszystymi włosami. Zapięła spodnie i poprawiła sznurowadła tenisówek.

- Wychodzisz? - spytała Reine.

- Idę na obiad - odpowiedziała Zofia, całując ją w policzek.

- Dotrzymam towarzystwa Matyldzie. Jeśli mnie zechce! Nawet gdyby ją to miało nudzić, bo ja sama nudzę się jeszcze bardziej tam na dole!

Na ulicy rozległa się seria sygnałów klaksonem. Matylda popatrzyła przez okno.

- Na pewno dziś wtorek! - powiedziała.

- To on? - zapytała Zofia, pozostając w pewnej odległości od okna.

- Nie, to Federal Express! Teraz dostarczają paczki kabrioletem porsche. Od czasu gdy zatrudnili Toma Hanksa, nie cofają się przed niczym!

Rozległ się dwukrotny dźwięk dzwonka. Zofia pocałowała Reine i Matyldę, wyszła z mieszkania i szybko zbiegła po schodach.

Lucas siedział za kierownicą, uniósł okulary słoneczne i uśmiechnął się do niej szeroko. Gdy tylko Zofia zamknęła za sobą drzwi, kabriolet wyrwał do przodu i popędził w kierunku wzgórz Pacific Heights. Samochód przejechał przez Presidio Park i skręcił na nitkę autostrady, prowadzącą do Golden Gate. Po drugiej stronie zatoki wzgórza Tiburon z trudem wyłaniały się z mgły.

- Zabieram panią na obiad nad samą wodą! - krzyknął Lucas pod wiatr. - Najlepsze kraby w okolicy! Lubi pani kraby, prawda?

Zofia przytaknęła z grzeczności. Kiedy człowiek w ogóle się nie odżywia, korzyść z tego jest taka, że można bez trudu wybrać to, czego i tak się nie zje.

Powietrze było łagodne, asfaltowa szosa uciekała jak ciągła linia spod kół samochodu, muzyka płynąca z radia była zachwycająca. Obecna chwila łudząco przypominała szczęście, które koniecznie chciałoby się z kimś dzielić. Samochód zjechał z autostrady, skręcił w zwykłą drogę, której odnogi biegły aż do rybackiego portu w Sausalito. Lucas stanął na parkingu tuż obok mola. Obszedł samochód i otworzył Zofii drzwi.

- Może zechciałaby pani pójść ze mną.

Podał jej rękę i pomógł wysiąść. Szli chodnikiem, nad samym morzem. Po drugiej stronie ulicy jakiś człowiek, ciągnięty na smyczy przez dorodnego golden retrievera o sierści barwy piaskowej, przechodząc obok nich, popatrzył na Zofię i z impetem wpadł na latarnię.

Chciała przejść na drugą stronę, żeby natychmiast mu pomóc, ale Lucas przytrzymał ją za ramię: ta rasa psów jest wyspecjalizowana w ratownictwie. Wprowadził ją do restauracji. Hostessa wzięła dwie karty dań i wskazała im stół na tarasie. Lucas poprosił, aby Zofia usiadła na ławce, przodem do morza. Zamówił białe musujące wino. Urwała kawałek chleba, rzucała go mewie, która siedziała na balustradzie i nie spuszczała Zofii z oczu. Ptak złapał chleb w locie i zerwał się w górę; powoli machając skrzydłami, poleciał nad zatokę.

Kilka kilometrów stąd, na drugim brzegu, Julian spacerował po porcie. Podeszedł do wody, kopnął szybkim ruchem kamyk, który siedem razy odbił się od powierzchni, zanim zatonął. Włożył ręce do kieszeni starych tweedowych spodni i patrzył na linię przeciwległego brzegu, odcinającą się na wodzie. Jego mina była tak ponura jak ta woda, nastrój tak samo wzburzony. Samochód inspektora Pilguez, który odjeżdżał z Fisher's Deli i z wyjącą syreną pędził w kierunku miasta, wyrwał Juliana z zamyślenia.

Jakaś bijatyka w Chinatown przekształciła się w zamieszki, więc wszystkie jednostki zostały wezwane na pomoc. Julian zmarszczył brwi. Coś zamruczał i wrócił pod swoje przeszło. Usiadł na drewnianej skrzynce, rozmyślał: coś go niepokoiło. Jedna kartka z gazety unoszonej przez wiatr opadła do kałuży, tuż obok niego. Przesiąkła wodą, stopniowo wyłaniało się zdjęcie Lucasa, prześwitujące z drugiej strony. Julian nie czuł się dobrze, dreszcz przebiegł mu po plecach.

Kelnerka postawiła na stole dymiący kociołek, z którego wystawały szczypce krabów. Lucas nałożył Zofii na talerz i rzucił okiem na śliniaki, leżące obok miseczek z wodą do obmywania palców. Podał jej jeden ze śliniaków, Zofia odmówiła, więc on też zrezygnował z zawiązywania go sobie na szyi.

- Muszę przyznać, że śliniaczek nie jest zbyt twarzowym rekwizytem. Nie je pani? - spytał.

- Chyba nie, nie.

- Pani jest wegetarianką!

- Jedzenie zwierząt wydaje mi się pomysłem dość dziwnym.

- Taki jest porządek rzeczy, nie ma w tym nic dziwnego.

- A jednak trochę jest!

- Wszystkie stworzenia na ziemi jedzą inne stworzenia, żeby przeżyć.

- Tak, ale kraby nic mi nie zrobiły. Przykro mi, przepraszam - powiedziała, odsuwając delikatnie talerz, który najwyraźniej budził w niej wstręt.

- Nie ma pani racji, to prawa natury. Gdyby pająki nie żywiły się owadami, owady porząłyby nas.

- No właśnie, kraby są takimi dużymi pająkami, trzeba więc je zostawić w spokoju!

Lucas odwrócił się i przywołał kelnerkę. Poprosił o kartę deserów i bardzo uprzejmie dał jej do zrozumienia, że już skończyli jeść.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan jadł - powiedziała Zofia, rumieniąc się.

- Pozyskała mnie pani dla sprawy skorupiaków! Otworzył kartę deserów i palcem wskazał piankę czekoladową.

- Myślę, że tu nikomu nie zrobimy krzywdy, najwyżej sobie samym. Coś takiego ma chyba z tysiąc kalorii!

Postanowiła przetestować swoją intuicję na Aniołach Weryfikatorach, więc spytała Lucasa, jakie jest właściwie jego stanowisko w pracy; uchylił się od odpowiedzi. Było tyle innych tematów, o wiele ciekawszych, które chciałby z nią poruszyć, na początek może powiedziałyby, co jeszcze robi w życiu oprócz czuwania nad bezpieczeństwem portu handlowego. Jak spędza wolne chwile? Nawet w liczbie pojedynczej, powiedziała, to wyrażenie jest jej zupełnie obce. Po godzinach, które spędza w dokach, działa w różnych stowarzyszeniach, uczy w instytucie niedowidzących, zajmuje się osobami starszymi i chorymi dziećmi w szpitalach. Lubi ich towarzystwo, łączy ją z nimi coś magicznego. Tylko dzieci i osoby starsze widzą to, czego wielu

ludzi nie wie, że dorosłość to czas stracony. Jej zdaniem zmarszczki starych ludzi to najpiękniejsze pismo życia, pismo, na którym dzieci mogą się uczyć odczytywania marzeń.

Lucas patrzył na nią jak urzeczony.

- Naprawdę, pani to wszystko robi?

- Tak!

- Ale po co?

Zofia nie odpowiedziała. Lucas przełknął ostatni łyk kawy, żeby choć trochę nad sobą zapanować, po czym zamówił następną filiżankę. Pił bez pośpiechu, nie przejmując się tym, że napój stygnie, ani tym, że szarość nieba coraz bardziej ciemnieje. Pragnąłby, żeby ta rozmowa nigdy się nie skończyła, nie tak szybko, nie teraz. Zaproponował Zofii, żeby przeszli się brzegiem morza. Otuliła szyję kołnierzem swetra i wstała. Podziękowała za piankę czekoladową, po raz pierwszy w życiu spróbowała czekolady, odkryła jej nadzwyczajny smak. Lucas sądził, że sobie z niego żartuje, ale słysząc jej wesołą odpowiedź, stwierdził, że chyba nie kłamie. Inna rzecz zaskoczyła go o wiele bardziej: w tej właśnie chwili dojrzał coś niewypowiedzianego w głębi oczu Zofii - ona nigdy nie kłamie! Po raz pierwszy ogarnęła go jakaś niepewność i aż otworzył usta z przejęcia.

- Lucas, nie wiem, co takiego powiedziałam, ale mimo że tu nie ma pajaków, dużo pan ryzykuje!

- Słucham?

- Jeśli będzie pan miał usta tak szeroko otwarte, w końcu połknie pan muchę!

- Nie jest pani zimno? - spytał, wyprężając się, jakby połknął kij.

- Nie, nie bardzo, ale lepiej chodźmy na spacer.

Wybrzeże było prawie opustoszałe. Ogromna mewa jakby biegła po wodzie w poszukiwaniu punktu, z którego mogłaby się odbić do lotu. Jej nóżki oderwały się od powierzchni, unosząc trochę piany z grzbietu fali. Ptak wzniósł się wreszcie, powoli zakręcił i oddalił się opieszale w promieniu światła przebijającego warstwę chmur. Trzepot skrzydeł rozmył się w plusku fal. Zofia pochyliła się, walcząc z wiatrem, który dmuchał gwałtownymi porywami i unosił piasek. Lekki dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

Lucas zdjął marynarkę i okrył Zofii ramiona. Powietrze nasiąknięte morską mżawką smagało policzki. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, jakby ostatni szaniec przed ogarniającym ją śmiechem, śmiechem bez pretekstu, bez żadnego powodu.

- Dlaczego pani się śmieje? - spytał Lucas, zaciekawiony.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.
- No to proszę nie przestawać, bo bardzo pani z tym do twarzy.
- Każdemu z tym do twarzy.

Zaczął padać drobny deszcz, plaża pokryła się tysiącami małych kraterków.

- Proszę popatrzeć, zupełnie jak na Księżycu, nie uważa pani?
- Trochę tak!
- Pani nagle posmutniała.
- Chciałabym, żeby czas się zatrzymał. Zofia spuściła oczy i ruszyła naprzód.

Lucas odwrócił się do niej twarzą. Szedł teraz tyłem, wyprzedzając kroki Zofii, która bawiła się, stawiając stopy na jego śladach.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - rzekła z miną małego dziecka.
- Więc proszę nic nie mówić.

Wiatr zwiewał włosy Zofii na twarz, odrzucała je do tyłu. Cienkie pasemko zaplątało się w jej długie rzęsy.

- Mogę? - Wyciągnął rękę.
- Zabawne, ma pan teraz nieśmiałą minę.
- Nie zdawałem sobie z tego sprawy.
- No to niech tak zostanie... bardzo panu z tym do twarzy.

Lucas przybliżył się do niej i wtedy im obojgu zmienił się wyraz twarzy. W głębi piersi poczuła coś, czego zwykle nie było: jakieś nieznaczne tętnienie, które pulsowało aż do skroni. Palce Lucasa lekko drżały, niosąc w sobie obietnicę delikatnej pieśczozy; pogłaskał Zofię po policzku.

- No już - rzekł, odsłaniając jej oczy.

Błyskawica przecięła pociemniałe niebo, rozległ się grzmot i zaczął lać rzęsisty deszcz.

- Chciałbym jeszcze się z panią spotkać - powiedział Lucas.
- Ja też, żeby tylko było bardziej sucho, ale ja też - rzekła Zofia.

Wziął ją pod rękę i biegnąc, pociągnął w stronę restauracji. Taras z jasnego drewna był pusty. Schronili się pod daszkiem z siwych dachówek i razem patrzyli na wodę wypływającą z rynny. Na balustradzie siedziała tłusta mewa, najwyraźniej nie przejmowała się ulewą; patrzyła na nich. Zofia pochyliła się i podniosła kawałek zmoczonego chleba. Osączyła go i rzuciła jak najdalej. Ptak wzleciał ku morzu z pełnym dziobem.

- Jak się spotkamy? - spytał Lucas.

- Z jakiego świata pan przybywa? Zawahał się.

- To coś w rodzaju piekła!

Teraz Zofia zawahała się i popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Tak mówią często ci, którzy tu przyjeżdżają, a mieszkają na Manhattanie.

Burza rozszalała się na dobre, trzeba było niemal krzyczeć, żeby cokolwiek usłyszeć.

Zofia wzięła Lucasa za rękę i powiedziała cicho:

- Najpierw pan się ze mną skontaktuje. Zapyta pan, co u mnie słychać, i w trakcie rozmowy poprosi o spotkanie. Wtedy odpowiem, że mam dużo pracy i że jestem zajęta; zaproponuje pan inny dzień, a ja powiem, że to mi w pełni odpowiada, bo właśnie coś przełożyłam na inny termin.

Następna błyskawica rozdarła zygzakiem czarne już niebo. Na plaży wiatr wiał teraz silnymi podmuchami. Wydawało się, że to koniec świata.

- Może schowalibyśmy się głębiej? - sugerowała Zofia.

- Jak się pani czuje? - zamiast odpowiedzieć, spytał Lucas.

- Dobrze! Dlaczego pan pyta? - zdziwiła się.

- Dlatego, że bardzo chciałem, by spędziła pani ze mną popołudnie... ale pani nie ma czasu, ma pani pracę i jest pani zajęta. Może dziś wieczorem zjemy razem kolację?

Zofia uśmiechnęła się. Odchylił płaszcz, żeby ją osłonić i tak poszli do samochodu. Wzburzone morze podchodziło aż do wyludnionego trotuaru. Lucas pomógł Zofii przejść. Walczył z drzwiami zablokowanymi podmuchami wiatru. Ogłuszający ryk sztormu ucichł, gdy tylko znaleźli się w aucie i ruszyli w ulewnym deszczu. Lucas wysadził Zofię przed stacją obsługi samochodów, tak jak prosiła. Zanim się rozstali, popatrzył na zegarek. Pochyliła się do okna.

- Byłam umówiona na kolację dziś wieczorem, ale spróbuję odwołać to spotkanie. Zadzwoń do pana na komórkę.

Uśmiechnął się, ruszył, Zofia patrzyła za nim tak długo, aż samochód zniknął w tłoku na Van Ness Avenue.

Poszła zapłacić za naładowanie akumulatora i holowanie samochodu. Kiedy znalazła się na Broadwayu, burza już przechodziła. Z tunelu wyjechała w sam środek rozgrzanej dzielnicy miasta. Na przejściu dla pieszych zauważyła kieszonkowca, który właśnie czał się do skoku na swą ofiarę. Zaparkowała, wysiadła z forda i pobięła w jego stronę.

Nawymyślała mu bez ogródek, a on cofnął się o krok: wyglądała groźnie.

- Bardzo zły pomysł - rzekła Zofia i wskazała palcem oddalającą się kobietę z teczką-dyplomatką.

- Jesteś gliną?

- Nie w tym rzecz!

- No to spadaj, głupia babo!

I popędził w stronę swojej ofiary. Kiedy już był przy niej, wykrzywiła mu się noga w kostce i runął na ziemię jak długi. Młoda kobieta, która wsiadła właśnie do tramwaju, niczego nie zauważyła. Zofia poczekała, aż kieszonkowiec wstanie, po czym wróciła do samochodu.

Gdy otwierała drzwi, przygryzła dolną wargę, była z siebie niezadowolona. Coś powstrzymywało jej dobre intencje. Cel został osiągnięty, ale nie tak, jak by sobie tego życzyła: przywołać napastnika do porządku - to nie wystarczy. Ruszyła w drogę i skierowała się do portu.

- Czy mam zaparkować pański samochód?

Lucas drgnął i podniósł głowę; patrzył na parkingowego, który przyglądał mu się z jakąś dziwną miną.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

- Od dobrych pięciu minut siedzi pan nieruchomo w samochodzie, więc pomyślałem...

- Co pan pomyślał?

- Pomyślałem, że może pan nie czuje się dobrze, zwłaszcza wtedy, gdy oparł pan głowę na kierownicy.

- No to lepiej niech pan nie myśli, oszczędzi to panu wielu rozczarowań!

Lucas wysiadł z kabrioletu i rzucił klucze młodemu człowiekowi. Kiedy otworzyły się drzwi windy, stanął twarzą w twarz z Elżbietą, która pochyliła się, żeby powiedzieć mu dzień dobry. Lucas natychmiast zrobił krok do tyłu.

- Mówiła mi już pani dzisiaj dzień dobry, Elżbieto - rzekł, krzywiąc się.

- Miał pan rację z tymi ślimakami, to wyśmienite! Miłego dnia!

Drzwi windy rozsunęły się na dziewiątym piętrze, kobieta zniknęła gdzieś w korytarzu. Ed przywitał Lucasa z otwartymi ramionami.

- To prawdziwe błogosławieństwo losu, że pana widzę, drogi Lucacie!

- Można to tak nazwać - rzekł Lucas, zamykając drzwi do biura.

Podszedł do wiceprezesa i usiadł w fotelu. Heurt zaszeleścił „San Francisco Chronicle”.

- Razem dokonamy wielkich rzeczy.

- Nie wątpię.

- Czy pan nie czuje się dobrze?

Lucas westchnął. Ed poczuł jego irytację. Jeszcze raz wesoło potrząsnął stroną dziennika, na której figurował wywiad Amy.

- Rewelacja, ten artykuł! Nie zrobiłbym tego lepiej.

- Już się ukazał?

- Dziś rano! Tak jak mi obiecała. Ta Amy jest cudowna, prawda? Pracowała nad tym chyba całą noc.

- Coś w tym rodzaju.

Ed wskazał palcem zdjęcie Lucasa.

- Niemądry jestem, bo powinienem był dać panu moje zdjęcie przed tą rozmową, ale trudno, pan też jest niezły.

- Dziękuję.

- Na pewno z panem wszystko w porządku?

- Tak, panie prezesie, doskonale się czuję!

- Może moja intuicja mnie myli, ale jakoś dziwnie pan wygląda.

Ed otworzył kryształową karafkę, nalał Lucasowi szklanek wody i dodał z udawanym współczuciem:

- Jeśli ma pan jakieś kłopoty, nawet natury osobistej, może pan zawsze na mnie liczyć. Jesteśmy dużą firmą, ale przede wszystkim wielką rodziną!

- Chciał pan ze mną rozmawiać, panie prezesie?

- Proszę do mnie mówić Ed!

Heurt opowiadał w zachwycie o wczorajszej kolacji, która przeszła wszelkie jego oczekiwania. Poinformował swoich współpracowników o zamiarze stworzenia w firmie działu, który zostanie nazwany Działem Innowacji. Celem tej jednostki będzie uruchomienie nowatorskich inicjatyw handlowych dla podbicia nowego rynku. Ed stanie na czele tego działu: takie doświadczenie będzie dla niego jakby kuracją odmładzającą. Brakowało mu działania. Już teraz wicedyrektorzy cieszą się na myśl, że będą stanowić nową gwardię przyboczną przyszłego prezesa. Zapewne Judasz nigdy się nie zestarzeje... potrafi nawet się zwielokrotnić, pomyślał Lucas. Kontynuując swój wykład, Heurt podsumował, że drobna konkurencja wobec współnika nigdy nie zaszkodzi, wręcz przeciwnie, łyk tlenu jest zawsze korzystny.

- Podziela pan moje zdanie?

- Całkowicie - odpowiedział Lucas, kiwając głową.

Lucas był w siódmym niebie: intencje Heurta wybiegały daleko poza jego oczekiwania i pozwalały przypuszczać, że jego projekt odniesie sukces. Pod numerem 666 przy Market Street wcześniej czy później powiew władzy ulegnie rozrzedzeniu. Mężczyźni rozmawiali o reakcji Antonia. Bardzo możliwe, że wspólnik sprzeciwi się jego najnowszemu pomysłu. Dla stworzenia nowego działu wystarczy jakiś strzał w dziesiątkę, ale skonstruować coś naprawdę na wielką skalę nie jest sprawą łatwą, no i wymaga dużo czasu, przypomniał Heurt. Wiceprezes marzył o rozległym rynku, który by uwierzytelnił władzę, jaką chciałby zdobyć. Lucas wstał i położył przed Edem teczkę, którą dotąd trzymał pod pachą. Otworzył ją i wyciągnął jakiś gruby dokument:

Strefa portowa San Francisco ma wiele kilometrów, ciągnie się właściwie przez całe wybrzeże tego miasta. Nieustannie ulega przemianom. Praca portu handlowego ciągle wre, na co niechętnym okiem patrzy świat obrotu nieruchomości, który zdecydowanie walczy o rozbudowę portu jachtowego i całkowite przekształcenie terenów nadmorskich, najwyżej cenionych w mieście. Niewielkie jachty kotwiczą w drugiej marinie, co jest zwycięstwem tych samych inwestorów, którzy zdołali przesunąć pole bitwy nieco na północ. Stworzenie takiej jednostki rezydencjalnej było przedmiotem pożądania środowisk biznesowych, a domy stojące nad samą wodą wrywano sobie po bardzo wysokich cenach. Wcześniej natomiast wzniesiono ogromne terminale, przyjmujące wielkie statki pasażerskie. Fala wysiadających z nich pasażerów płynie niedawno urządzoną promenadą, która prowadzi do nabrzeża numer 39. W strefie turystycznej powstało wiele sklepów i restauracji. Ożywiony ruch na nabrzeżu stanowił źródło przeogromnych zysków, a więc i ostrych walk o interesy. Od dziesięciu lat dyrektorzy do spraw nieruchomości w strefie portowej zmieniali się w rytmie jeden na piętnaście miesięcy, co było doskonałym wskaźnikiem w walkach o wpływy, toczących się nieustannie wokół nabywania i eksploatacji wybrzeży miejskich.

- Do czego pan zmierza? - spytał Ed.

Lucas uśmiechnął się drwiąco i rozłożył plan: na dole widniał napis „Port w San Francisco, Dok 80”.

- Do ataku na ten ostatni bastion!

Wiceprezes pragnął tronu, Lucas ofiarował mu sakrę!

Rozsiadł się wygodnie, by wyłożyć swój plan. Sytuacja doków jest niepewna. Praca, bardzo ciężka, bywa często niebezpieczna, a temperament dokerów gwałtowny. Strajk mógłby

się tam rozprzestrzeń szybciej niż wirus. Lucas już zrobił, co trzeba, żeby tamtejsza atmosfera stała się wybuchowa.

- Nie wiem, do czego byłoby to nam potrzebne - rzekł Ed, ziewając.

Lucas mówił dalej obojętnym głosem:

- Dopóki przedsiębiorstwa logistyczne i transportowe wypłacają im pensję i pokrywają koszty mieszkania, nikt nie waży się ich zmuszać do opuszczenia miejsca. Ale to może bardzo szybko ulec zmianie. Wystarczy sparaliżować pracę.

- Dyrekcja portu nigdy na to nie pójdzie. Napotkamy o wiele większy opór.

- To zależy od kierunku wpływów - powiedział Lucas.

- Być może - ciągnął Heurt, kiwając głową - ale przy zamierzeniu na tak wielką skalę będziemy potrzebować poparcia na samym szczycie.

- Panu chyba nie muszę tłumaczyć, jak się pociąga za sznurki lobbingu! Tylko patrzeć, jak zmieni się portowy dyrektor do spraw nieruchomości. Jestem pewien, że premia na odchodne bardzo by go zainteresowała.

- Nie wiem, o czym pan mówi!

- Ed, byłby pan zdolny wynaleźć klej do kopert, które krążą pod stołami!

Wiceprezes wyprostował się w fotelu; nie wiedział, że powinien odczuwać dumę po takiej uwadze. Idąc już w kierunku drzwi, Lucas powiedział z naganą w głosie:

- W niebieskiej okładce znajdzie pan też dokładne informacje na temat naszego kandydata do bardzo wysokiej emerytury. Wszystkie weekendy spędza nad jeziorem Tahoe, tonie w długach. Niech pan zrobi wszystko, żeby jak najszybciej zorganizować mi spotkanie z nim. Proszę wyznaczyć jakieś ustronne miejsce, a ja już zrobię resztę.

Heurt nerwowo wertował dokumentację. Patrzył na Lucasa w osłupieniu i marszczył brwi.

- W Nowym Jorku zajmował się pan polityką? Drzwi się zamknęły.

Winda była na piętrze, Lucas odesłał ją pustą. Wyjął telefon komórkowy, włączył go i wybrał numer poczty głosowej. „Nie masz nowych wiadomości”, dwukrotnie powtórzył głos o intonacji robota. Naciskał klawisz, aby wyświetliły się SMS-y: nie było nic nowego. Wyłączył telefon i wszedł do windy. Kiedy znalazł się w podziemnym parkingu, poczuł, że niepokoi go coś, czego nie potrafił określić: jakieś nieznaczące tętnienie, które pulsowało aż do skroni.

Obrady trwały od ponad dwóch godzin. Następstwa upadku Gomeza na dno ładowni statku „Valparaiso” przybrały niepokojące rozmiary. Docker ciągle leżał na oddziale intensyw-

nej terapii. Manca co godzinę telefonował do szpitala, by dowiedzieć się o jego zdrowie: lekarze na razie nie chcieli się wypowiadać. Jeśli ładowacz umrze, nikt nie zapanuje nad gniewem, który już głucho grzmi na nabrzeżu. Przywódca związków zawodowych zachodniego wybrzeża przyjechał, aby wziąć udział w zebraniu. Wstał i nalał sobie filiżankę kawy. Zofia to wykorzystała i dyskretnie opuściła salę obrad. Wyszła z budynku, oddaliła się o kilka kroków, przystanąła w cieniu kontenera. Z dala od wścibskich spojrzeń wybrała numer. Wiadomość poczty głosowej była krótka: „Lucas”, a zaraz potem „bip”.

- Tu Zofia, jestem wolna dzisiaj wieczorem, proszę do mnie zadzwonić, chciałabym wiedzieć, gdzie się spotkamy. Do zobaczenia.

Przed wyłączeniem popatrzyła na swój telefon komórkowy i nie wiedząc dlaczego, uśmiechnęła się.

Późnym popołudniem delegaci jednogłośnie odroczyli podjęcie decyzji. Potrzebują czasu, aby spojrzeć na sprawę z dystansem. Dopiero wieczorem komisja śledcza wyda orzeczenie na temat przyczyny tragedii, a San Francisco Memorial Hospital czeka na poranne orzeczenie lekarskie, zanim wypowie się na temat szansy przeżycia dokera. W rezultacie obrady zostały zamknięte, przełożono je na następny dzień. Gdy tylko Manca dostanie do rąk oba raporty, zwoła członków zarządu i wtedy odbędzie się zebranie.

Zofia musiała zaczerpnąć świeżego powietrza. Pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia i poszła pospacerować po nabrzeżu. Kilka kroków od niej kołysał się przycumowany zardzewiały dziób statku „Valparaiso”; był uwiązany jak jakaś złowrózba zjawa. Cień wielkiego statku odbijał się chwilami na oleistych plamach, które falowały na powierzchni wody. Po wąskich korytarzach statku kręcili się ludzie w mundurach, dokonując wszelkiego rodzaju inspekcji. Kapitan obserwował ich, oparty o balustradę swego mostku. Sądząc po sposobie, w jaki wyrzucił za burtę papierosa, można było się obawiać, że nadchodzące godziny będą bardziej mętne niż wody, w których zgasł niedopałek. Głos Juliana zmącił ciszę tego miejsca, przerywaną jedynie krzykiem mew.

- Któż zechciałby tu nurkować? Chyba ktoś wyjątkowo odważny.

Zofia odwróciła się i popatrzyła na niego z czułością. Jego niebieskie oczy były wyblakłe, broda zmierzwiona, ubranie nieświeże, ale ten nędzny wygląd w najmniejszym stopniu nie pomniejszał jego ogromnego uroku. Ten człowiek elegancję nosił w sercu. Julian wsunął ręce do kieszeni starych tweedowych spodni w jodełkę.

- Ta jodełka już trochę przywidła, ale tyle czasu minęło...

- A jak pana noga?

- Powiedzmy, że ciągle jeszcze jest w pobliżu drugiej, a to już całkiem niezłe.

- Był pan na zmianie opatrunku?

- A ty, jak się miewasz?

- Trochę mnie boli głowa, to zebranie trwa bez końca...

- A serce?

- Serce dobrze. Dlaczego pan pyta?

- Dlatego, że pora twoich wizyt tutaj w ostatnich czasach nie wskazuje na to, że przyjeżdżasz się opalać.

- Wszystko w porządku, Julianie, musiałam po prostu zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

- I najświeższe powietrze znalazłaś tutaj, nad basenem portowym, który śmierdzi zdechłą rybą. Ale przypuszczam, że masz rację: doskonale się czujesz!

Mężczyźni, którzy przeprowadzali inspekcję na starym statku, zeszli po trapie. Wsiedli do dwóch czarnych fordów (których drzwi zamknęły się bezszelestnie) i powoli odjechali w stronę bramy prowadzącej do strefy portowej.

- Jeśli chciałaś wziąć jutro wolny dzień, raczej na to nie licz! Obawiam się, że będzie jeszcze więcej do roboty niż zwykle.

- Też się tego obawiam.

- O czym to mówiliśmy? - podjął Julian.

- O tym, że zaraz zaczniemy się kłócić, bo zabieram pana na zmianę opatrunku! Niech pan tu poczeka, idę po samochód.

Zofia szybko odeszła, nie dając mu czasu na wytoczenie argumentów.

- Ale zagranie! - zamruczał sobie w brodę.

Po odwiezieniu Juliana Zofia ruszyła w stronę domu. Jedną ręką prowadziła, drugą szukała telefonu komórkowego. Na pewno schował się gdzieś na dnie przepastnej torby, nie mogła go znaleźć, światło zmieniło się na czerwone. Wtedy wysypała wszystko na siedzenie po prawej stronie i z samego środka stosu drobnych przedmiotów wyciągnęła telefon.

Lucas zostawił wiadomość, przyjedzie pod jej dom o siódmej trzydzieści. Spojrzała na zegarek, miała dokładnie czterdzieści siedem minut na dojechanie, ucałowanie Matyldy i Reine i przebranie się. No, raz może sobie na to pozwolić... pochyliła się, otworzyła schowek i pod przednią szybą ustawiła urządzenie alarmowe. Z wyjącą syreną pędziła Trzecią Ulicą.

Lucas szykował się do wyjścia z biura. Zdjął z wieszaka gabardynowy płaszcz i zarzucił na ramiona. Zgasił światło, za oszkloną ścianą ukazało się miasto w czerni i bieli. Już chciał zamknąć za sobą drzwi, gdy zabrzączał telefon. Wrócił, żeby odebrać. Ed informował go, że spotkanie, o które Lucas zabiegał, odbędzie się dokładnie o siódmej trzydzieści. W półmroku zanotował adres na karteczce.

- Zadzwoń do pana, gdy tylko osiągnę jakiś punkt porozumienia z naszym rozmówcą. Lucas odłożył słuchawkę bez zbędnych uprzejmości i podszedł do oszklonej ściany. Patrzył na ulice w dole. Z tej wysokości białe i czerwone świetliste smugi kreślone przez reflektory samochodów tkwały gigantyczną pajęczynę, mieniającą się w ciemności. Wokół jego ust utworzył się obłoczek pary, Lucas oparł czoło o szybę, w centrum miasta mrugało małe niebieskie światełko. W Pacific Heights słychać było dochodzącą z daleka syrenę. Lucas westchnął, wsadził rękę do kieszeni płaszcza i wyszedł.

Zofia wyłączyła syrenę alarmową i schowała lampę; przed domem było wolne miejsce, natychmiast tam zaparkowała. Wbiegła na górę po cztery schody na raz, weszła do mieszkania.

- Ilu ich jest, tych, co cię gonią? - spytała Matylda.

- Słucham?

- Wcale nie jesteś zdyszana, żebyś zobaczyła swoją minę!

- Muszę się przebrać, jestem już bardzo spóźniona! Jak minął ci dzień?

- W porze obiadowej odbyłam niewielki wyścig z Carlem Lewisem i pokonałam go!

- Bardzo się nudziłaś?

- Twoją ulicą przejechały sześćdziesiąt cztery samochody, w tym dziewiętnaście zielonych!

Zofia podeszła do niej i przysiadła obok łóżka.

- Zrobię wszystko, co się da, żeby jutro wrócić wcześniej.

Matylda kątem oka spojrzała na niewielki zegar stojący na stoliku i pokiwała głową.

- Nie chcę się mieszać do tego, co mnie nie powinno obchodzić...

- Wychodzę dzisiaj wieczorem, ale nie wrócę późno. Jak nie będziesz spała, możemy porozmawiać - powiedziała Zofia, wstając.

- Ty czy ja? - mruknęła Matylda, patrząc na Zofię znikającą w garderobie.

Dziesięć minut później zjawiała się w salonie. Na mokrych włosach miała ręcznik, drugi na biodrach. Postawiła na skraju kominka małą płócienną kosmetyczkę i podeszła do lustra.

- Idziesz na kolację „z młodym Liu”? - zapytała Matylda.

- Dzwonił?
- Nie! W żadnym razie!
- No to skąd wiesz?
- Tak sobie, znikąd.

Zofia odwróciła się, oparła ręce na biodrach i stanęła twarzą w twarz z Matyldą, przybierając bardzo stanowczą minę.

- Tak sobie domyśliłaś się, że idę na kolację z Lucasem?
- Jeśli się nie mylę, to wydaje mi się, że to, co trzymasz w prawej ręce, nazywa się tusz do rzes, a to co w lewej - szczoteczka do tuszu!

- Nie widzę żadnego związku!
- Chcesz, żebym ci dała wskazówkę? - spytała Matylda ironicznie.
- Będę doprawdy szczęśliwa! - odpowiedziała Zofia, lekko zirytowana.
- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, już od ponad dwóch lat...

Zofia przekrzywiła głowę. Twarz Matyldy rozpromienił uśmiech.

- ... a po raz pierwszy w życiu widzę, jak się malujesz! Zofia nie odpowiedziała i odwróciła się w stronę lustra.

Matylda nonszalanckim ruchem wzięła dodatek z programem telewizyjnym i zaczęła go czytać, po raz szósty tego dnia.

- Nie mamy telewizora! - powiedziała Zofia, delikatnie rozprawdzając palcem trochę błyszczycyku na ustach.

- To dobrze się składa, nienawidzę telewizji! - odcięła się Matylda, przewracając kartkę.

Telefon zadzwonił w torbie, którą Zofia zostawiła na łóżku Matyldy.

- Chcesz, żebym odebrała? - spytała niewinnym głosem.

Zofia rzuciła się na torbę, zagłębiła w niej rękę. Wyciągnęła aparat i poszła w drugi koniec pokoju.

- Nie, nie chcesz! - mruknęła Matylda, zabierając się do czytania programu TV na następny dzień.

Lucas niezmiernie żałował, miał duże spóźnienie i nie mógł po nią przyjechać. Zarezerwowany stolik czeka na nich od ósmej trzydzieści na ostatnim piętrze budynku Bank of America przy California Street. Trzygwiazdkowa restauracja, wysoko nad miastem, ze wspaniałym widokiem na Golden Gate. Niech Zofia przyjdzie tam bezpośrednio. Odłożyła telefon, poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Matylda usłyszała grobowy głos przyjaciółki:

- Na co miałybyś największą ochotę? Mam trochę czasu, żeby ci zrobić kolację.

- Omlet, sałata, jogurt.

Nieco później Zofia wyjęła z szafy płaszcz, ucałowała Matyldę i cicho zamknęła drzwi mieszkania.

Wsiadła do forda. Zanim ruszyła, opuściła osłony od słońca i przez kilka sekund przeglądała się w lusterku. Z miną wyrażającą powątpiewanie zamknęła okno i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Kiedy samochód zniknął na końcu ulicy, zasłona w oknie Reine powoli opadła.

Zofia zostawiła auto przy wjeździe na parking i podziękowała człowiekowi w czerwonej liberii, który podał jej kwit.

- Chciałbym być tym panem, z którym idzie pani na kolację! - powiedział młodzieniec.

- Dziękuję bardzo - rzekła, cała czerwona, ale szczęśliwa.

Drzwi się obróciły i Zofia weszła do hallu. Po zamknięciu biur tylko bar na parterze i panoramiczna restauracja na ostatnim piętrze były otwarte. Gdy pewnym krokiem szła w kierunku windy, nagle poczuła jakąś dziwną suchość rozchodzącą się w ustach. Po raz pierwszy miała pragnienie. Sprawdziła godzinę na zegarku. Było dziesięć minut przed czasem, przez witrynę baru zobaczyła kontuar i nagle zmieniła kierunek. Chciała właśnie tam wejść, kiedy dostrzegła profil Lucasa, siedzącego przy stoliku, pogrążonego w rozmowie z dyrektorem działu nieruchomości portu. Wycofała się zakłopotana i poszła do windy.

Po pewnym czasie szef sali przyprowadził Lucasa do stolika, przy którym czekała Zofia. Podniosła się z miejsca, on pocałował ją w rękę i poprosił, żeby usiadła twarzą do szyby widokowej.

W czasie kolacji zadawał tysiące pytań, na które Zofia odpowiadała tysiącem innych. Chwalił tutejszą kuchnię, ona nie tknęła żadnego dania, delikatnie odsuwała jedzenie na skraj talerza. Przerwy spowodowane podejściem kelnera trwały, jak im się zdawało, długie minuty. Kiedy podszedł po raz kolejny, niosąc zmiotkę do okruszków, podobną do owłosionego sierpa, Lucas usiadł obok Zofii i z całych sił dmuchnął na obrus.

- No i już jest czysto! Może pan odejść, bardzo dziękuję! - rzekł do kelnera.

Natychmiast powrócili do rozmowy. Ramię Lucasa znalazło oparcie na poręczy kanapy, Zofia poczuła ciepło jego ręki, tak blisko jej szyi.

Kelner znowu podszedł, co wywołało gniew Lucasa. Położył przed nimi dwie łyżeczki i podał piankę czekoladową. Obrócił talerzyk, żeby zaprezentować piankę ze wszystkich stron, wyprostował się, jakby połknął kij, i z dumą zaanonsował, co przyniósł.

- Dobrze, że nam pan powiedział - rzekł Lucas z irytacją - moglibyśmy pomyśleć, że to suflet z marchwi!

Kelner dyskretnie odszedł. Wtedy Lucas pochylił się do Zofii.

- Nic pani nie jadła.

- Jem bardzo mało - odpowiedziała, opuszczając głowę.

- Proszę spróbować, niech mi pani zrobi tę przyjemność, czekolada to jak kawałek raju w ustach.

- I piekło dla bioder! - dodała.

Nie pozostawił jej wyboru, przekroił piankę na pół, uniósł łyżeczkę do ust Zofii i zostawił czekoladę na jej języku. W piersi Zofii serce waliło mocniej; swój strach ukrywała w oczach Lucasa.

- To jest jednocześnie ciepłe i zimne, takie delikatne - powiedziała.

Taca, którą niósł starszy kelner, lekko się przekrzywiła, kieliszek z koniakiem się ześlizgnął. Kiedy uderzył o posadzkę, rozbił się na siedem kawałków, siedem identycznych kawałków. Sala zamilkła, Lucas odkaslnął, Zofia przerwała ciszę.

Miała jeszcze do niego dwa pytania, ale chciała, żeby jej obiecał, że odpowie na nie bez wykrętów; zgodził się.

- Co pan robił w towarzystwie dyrektora działu nieruchomości portowych?

- Dziwne, że pani mnie o to pyta.

- Miało być bez wykrętów!

Lucas wpatrywał się w Zofię; położyła rękę na stole, on zbliżył swoją.

- To było spotkanie zawodowe, tak jak ostatnim razem.

- To nieprawdziwa odpowiedź, ale wyprzedził pan moje następne pytanie. Jaki jest pana zawód? Dla kogo pan pracuje?

- Powiedzmy, że mam do spełnienia pewną misję. Palce Lucasa nerwowo bębniły po obrusie.

- Co to za misja? - ciągnęła Zofia.

Oczy Lucasa na chwilę przestały wpatrywać się w Zofię, jakieś inne spojrzenie odwróciło jego uwagę: rozpoznał Błażeja, siedzącego w głębi sali z przebiegłym uśmiechem na ustach.

- Co się stało? - spytała. - Nie czuje się pan dobrze?

Lucas nagle się zmienił. Zofia nie mogła rozpoznać człowieka, z którym spędziła ten wieczór, tak pełen niewypowiedzianych uczuć.

- Proszę nie zadawać mi żadnych pytań - powiedział. - Niech pani idzie do szatni, weźmie płaszcz i wróci do domu. Jutro się z panią skontaktuję, teraz nic nie mogę wyjaśnić, bardzo mi przykro.

- Co się panu nagle stało? - powtórzyła z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Niech pani już idzie!

Wstała i przeszła przez salę. Do jej uszu dochodziły najdrobniejsze szmery: odgłos spadającego talerza, stuk kieliszków, starszy człowiek wycierający górną wargę chusteczką prawie tak starą jak on, źle ubrana kobieta, która chciwym wzrokiem pożera ciastka, jakiś biznesmen, który gra sobie samego, czytając gazetę, i w przejściu pomiędzy stolikami ta para, która zamilkła, w chwili gdy Zofia podniosła się z miejsca. Przyspieszyła kroku, wreszcie drzwi windy zamknęły się za nią. Była teraz pełna sprzecznych uczuć.

Wybiegła na ulicę, poczuła na sobie powiew wiatru. W umykającym samochodzie towarzyszył jej już tylko dreszcz melancholii.

Kiedy Błażej usiadł na miejscu, które przed chwilą zwolniła Zofia, Lucas zacisnął pięści.

- No, jak tam nasze sprawy? - spytał dobrodusznie.

- Co pan tu robi? - odezwał się Lucas, z nieskrywaną irytacją w głosie.

- Jestem odpowiedzialny za wewnętrzne i zewnętrzne kontakty, więc zjawilem się, żeby trochę pokontaktować się... z panem!

- Nie muszę się panu z niczego tłumaczyć!

- Lucas, Lucas, spokojnie! Przecież nie mówimy o księgowości! Po prostu zaniepokoiłem się zdrowiem mojego pupilka, ale jak widzę, ma się doskonale.

Błażej stał się ckliwy, a jednocześnie fałszywie przyjacielski.

- Wiedziałem, że jest pan nieprzeciętny, ale teraz muszę przyznać, że nie doceniałem pana.

- Jeśli to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia, to proponuję, aby pan się stąd wyniósł!

- Obserwowałem ją, kiedy pan ją judził tymi pańskimi serenadami, i muszę przyznać, że kiedy doszło do deseru, byłem pod dużym wrażeniem! Bo wiesz, stary, to trąci geniuszem!

Lucas uważnie przyglądał się Błażejowi, starając się rozszyfrować, co tak rozweseliło tego skończonego tumana.

- Natura nie obdarzyła pana zbyt hojnie, Błażeju, ale niech pan nie traci nadziei. Pewnego dnia zjawi się u nas jakaś pokutnica, która popełniła coś tak ciężkiego, że zostanie skazana na spędzenie kilku godzin w pana ramionach!

- Niech pan nie będzie fałszywie skromny, Lucasie, wszystko rozumiem i aprobuje. Pana inteligencja zawsze będzie mnie zaskakiwać.

Lucas odwrócił się i ruchem ręki poprosił, aby przyniesiono rachunek. Błażej chwycił rachunek i podał kelnerowi kartę kredytową.

- Proszę pozwolić, ja płacę!

- O co panu właściwie chodzi? - zapytał Lucas, wyjmując rachunek z wilgotnych palców Błażeja.

- Mógłby pan mieć do mnie trochę więcej zaufania. Czy muszę przypominać, że to dzięki mnie powierzono panu tę misję? Więc nie zgrywajmy głupków, bo obaj o tym bardzo dobrze wiemy!

- Co wiemy? - spytał Lucas, podnosząc się z miejsca.

- Kim ona jest!

Lucas powoli usiadł i spojrzał na Błażeja.

- A kim ona jest?

- Ona jest stamtąd, mój drogi... to pańska odpowiedniczka!

Usta Lucasa lekko się otworzyły, tak jakby nagle rozrzedziło się powietrze. Błażej ciągnął dalej:

- To ta, którą wysłali przeciwko panu. Pan jest naszym demonem, ona jest ich aniołem, ich elitą.

Błażej pochylił się w stronę Lucasa, który zrobił ruch do tyłu.

- Niech pan nie czuje się urażony, stary - mówił dalej. - To mój zawód, wszystko wiedzieć. Muszę panu pogratulować. Kuszenie anioła nie jest już tylko zwycięstwem naszego obozu, to triumf! A o to właśnie chodzi, prawda?

Lucas wyczuł nutę obawy w ostatnim pytaniu Błażeja.

- Wszystko wiedzieć, to przecież pański zawód, mój stary? - dodał Lucas z ironią pomieszaną ze złością.

Odszedł od stolika. Kiedy przemierzał salę, usłyszał głos Błażeja:

- Przyszedłem tu też po to, żeby panu przypomnieć o włączeniu telefonu komórkowego. Szukają pana! Osoba, z którą spotkał się pan w ostatnich godzinach, bardzo by chciała dziś wieczorem zawrzeć z panem układ.

Winda zamknęła się za Lucasem. Błażej dostrzegł na talerzu niedokończony deser, usiadł i włożył wilgotny palec w czekoladę.

Samochód Zofii jechał przez Van Ness Avenue, wszystkie światła na jej drodze zmieniały się na zielone. Włączyła radio i poszukała stacji nadającej muzykę rockową. Jej palce wybijały na kierownicy rytm perkusji, uderzały mocno, coraz mocniej, aż poczuła ból. Skreśliła w Pacific Heights i zaparkowała byle jak przed niewielkim domem.

Okna na parterze były ciemne. Zofia weszła na piętro. Kiedy postawiła stopę na trzecim stopniu schodów, drzwi Miss Sheridan się uchyliły. Spojrzenie Zofii podążyło za smużką światła, biegnącą w mroku aż do mieszkania Reine.

- Uprzedzałam cię!

- Dobry wieczór, Reine.

- Siadaj tu, obok mnie, jak będziesz wychodziła, powiesz mi raczej dobranoc. Chociaż, sądząc po twojej minie, wydaje mi się, że powiemy sobie dzień dobry.

Zofia podeszła do fotela. Usiadła na mokiecie i położyła głowę na oparciu. Reine głaskała ją po włosach, po czym powiedziała:

- Chcesz mi zadać pytanie, jak sądzę? Bo ja mam już odpowiedź!

- Nie potrafię pani powiedzieć, co czuję.

Zofia wstała, podeszła do okna i uniosła zasłonę. Wydawało się, że ford śpi na ulicy.

Reine mówiła dalej:

- Nie chciałabym być niedyskretna. Nie można od nikogo wymagać rzeczy niemożliwych. W moim wieku przyszłość kurczy się w oka mgnieniu, a kiedy jest się kimś tak dalekowzrocznym jak ja, nie można się nie niepokoić. Każdego upływającego dnia patrzę przed siebie z przykrym uczuciem, że droga nagle urwie się tuż przy czubkach moich butów.

- Dlaczego pani tak mówi, Reine?

- Bo znam twoją wspaniałomyślność, a także powściągliwość. Dla kobiety w moim wieku radości i smutki tych, których się kocha, są jak kilometry zaoszczędzone podczas nadchodzącej nocy. Wasze nadzieje, wasze zazdrości przypominają nam, że po nas droga biegnie dalej, że to, co zrobiliśmy z naszym życiem, miało jakiś sens, choćby znikomy... jakiś taki kawałek racji bytu. No, to teraz opowiesz mi, co jest nie tak!

- Ja nie wiem!

- To, co odczuwasz, nazywa się brakiem!

- Jest tyle rzeczy, o których chciałabym pani powiedzieć.

- Spokojnie, wszystkiego się domyślłam... Końcem palców Reine delikatnie uniosła brodę Zofii.

- Chcę widzieć twój uśmiech; wystarczy jedno malutkie ziarenko nadziei, żeby obsadzić całe pole szczęścia... i trochę więcej cierpliwości, żeby miało czas wyrosnąć.

- Reine, kochała pani kogoś?

- Spójrz na te wszystkie stare fotografie w albumach, przecież one niczemu nie służą! Większość z tych osób, które są na zdjęciach, już od dawna nie żyje, a mimo to są dla mnie bardzo ważne. Wiesz, dlaczego?... Dlatego, że ja te zdjęcia zrobiłam! Gdybyś wiedziała, jak bardzo bym pragnęła, żeby moje nogi jeszcze raz mnie tam poniosły! Korzystaj z życia, Zofio! Biegnij, nie trać czasu! Nasze poniedziałki bywają męczące, niedziele ponure, ale jakże początek tygodnia jest przyjemny!

Reine otworzyła dłoń, chwyciła wskazujący palec Zofii i pokazała jej swoją linię życia.

- Czy wiesz, Zofio, kto to jest Bachert?

Zofia nie odpowiedziała, głos Reine stał się jeszcze łagodniejszy:

- Posłuchaj, to najpiękniejsza historia na świecie: Bachert to osoba, którą Bóg ci przeznacza, twoja druga połowa, twoja prawdziwa miłość. Cała twoja mądrość życiowa polega na tym, żebyś odnalazła... a przede wszystkim, żebyś rozpoznała.

Zofia w milczeniu patrzyła na Reine. Wstała, złożyła na jej czole pocałunek pełen czułości i życzyła jej dobrej nocy. Zanim wyszła, odwróciła się i zadała ostatnie pytanie:

- Jest tu jeden taki album, bardzo chciałabym go przejrzeć.

- Który? Oglądałaś wszystkie już chyba z dziesięć razy!

- Ten, w którym jest pani, Reine. Drzwi zamknęły się delikatnie.

Zofia weszła na górę. Jeszcze na schodach zmieniła zdanie, zeszła cichutko i obudziła starego forda. Miasto było prawie puste. Pojechała w dół California Street. Sygnalizacja świetlna zmusiła ją do zatrzymania się tuż przed wejściem do budynku, w którym była na kolacji. Portier przyjaźnie pomachał jej ręką, odwróciła głowę i popatrzyła w kierunku rozciągającego się po lewej stronie Chinatown. Zaparkowała samochód nieco dalej, przeszła pieszo przez dziedziniec, przyłożyła rękę do ściany wieżowca w kształcie piramidy i weszła do hallu.

Przywitała się z Piotrem i poszła do windy, która miała zawieźć ją na ostatnie piętro. Kiedy otworzyły się drzwi, poprosiła o spotkanie z Michałem. Hostessa powiedziała, że przykro jej, ale wstał już dzień wschodni i protektor Zofii pracuje na drugim końcu świata.

Zawahała się chwilę i spytała, czy Pan jest może wolny.

- W zasadzie tak, ale mogą być trudności. Recepcjonistka nie mogła oprzeć się pokusie odpowiedzenia na zaintrygowaną minę Zofii.

- Pani mogę przecież powiedzieć! Pan ma swojego konika, hobby, jeśli pani woli: rakiety! Szaleje za nimi! Myśl, że ludzie wysyłają ich tyle ku niebu, bardzo go raduje. Nigdy nie przepuszcza żadnego startu, zamyka się w gabinecie, włącza wszystkie ekrany i wtedy nikt nie może do Niego wchodzić. Nie ukrywam, że to staje się nieco problematyczne od czasu, gdy Chińczycy także zaczęli wysyłać rakiety!

- Jest teraz jakiś start? - spytała Zofia obojętnie.

- Jeśli nie będzie problemów technicznych, start jest przewidziany za trzydzieści siedem minut i dwadzieścia cztery sekundy! Chce pani zostawić Mu wiadomość, to coś ważnego?

- Nie, proszę Go nie niepokoić, mam tylko jedno pytanie. Przyjdę później.

- Gdzie pani będzie w najbliższym czasie? Kiedy zostawiam niekompletne dane, zawsze mi się dostaje jakaś uwaga.

- Pewnie pójde pospacerować nad morzem. No to dobrej nocy zachodniej albo dzień dobry wschodni, jak pani woli!

Zofia wyszła z wieżowca. Padał drobny deszcz, szła bez pośpiechu do samochodu, potem pojechała w stronę nabrzeża 80., tego drugiego miejsca w mieście, które było jej schronieniem.

Chciała zaczerpnąć świeżego powietrza, popatrzeć na drzewa, więc skierowała się na północ. Aleją Martina Luthera Kinga wjechała do Golden Gate Park, dotarła do głównego jeziora. Na wąskiej drodze latarnie rysowały miriady świetlnych kręgów w ciemnościach gwiazdnej nocy. Reflektory samochodu Zofii oświetliły mały drewniany domek, w którym spacerowicze wynajmują łodzie w pogodne dni. Parking był pusty, zostawiła tam forda i pieszo poszła do ławki pod latarnią; usiadła. Dorodny biały łabędź, popychany lekką bryzą, dryfował na wodzie z zamkniętymi oczami obok żaby śpiącej na liściu nenufara. Zofia westchnęła.

Ujrzała Go na końcu alejki. Pan szedł nonszalanckim krokiem, z rękami w kieszeniach. Przekroczył niewysoką siatkę, zrobił sobie skrót przez trawnik, omijając kobierzec z kwiatów. Podeszedł do ławki i usiadł obok Zofii.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Nie chciałabym Panu przeszkadzać...

- Nigdy mi nie przeszkadzasz. Masz jakiś problem?

- Nie, tylko jedno pytanie. Czy Pana trochę się ożywiły.

- No to słucham, moje dziecko.

- Przez cały czas głosimy miłość, ale my, aniołowie, mamy do dyspozycji wyłącznie teorię. Może mi Pan powiedzieć, czym właściwie jest miłość na ziemi?

Pan popatrzył w niebo i wziął Zofię pod rękę.

- Ależ to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek wymyśliłem! Miłość to odrobina nadziei, nieustanne odnawianie świata, droga ku ziemi obiecanej. Stworzyłem płci, aby ludzkość mogła doskonalić inteligencję: świat jednorodny byłby śmiertelnie smutny! A poza tym śmierć jest tylko momentem życia dla tego czy tej, którzy potrafią kochać i być kochanymi.

Czubkiem stopy Zofia nerwowo narysowała na ziemi kółko.

- A Bachert to prawdziwa opowieść? Bóg uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

- Coś pięknego, prawda? Ten, kto znajdzie swą drugą połowę, jest bardziej spełniony niż cała ludzkość. To nie człowiek jest wyjątkowy, gdybym tak chciał, stworzyłbym tylko jednego; staje się takim dopiero wtedy, kiedy zaczyna kochać. Istota ludzka jest może niedoskonała, ale nie ma nic doskonalszego we wszechświecie niż dwie kochające się istoty.

- Teraz lepiej to rozumiem - rzekła Zofia, rysując linię prostą pośrodku swego kółka.

On podniósł się z ławki, włożył ręce do kieszeni i chciał odejść, ale najpierw położył rękę na głowie Zofii i powiedział głosem łagodnym i zarazem poufnym:

- Powiem ci coś w wielkiej tajemnicy, od pierwszego dnia stawiam sobie jedno pytanie: Czy to naprawdę ja wymyśliłem miłość, czy może miłość wymyśliła mnie?

Odchodząc lekkim krokiem, Bóg popatrzył na swoje odbicie w wodzie; Zofia usłyszała jego szept:

- Pan tu, Pan tam, chyba muszę sobie znaleźć jakieś imię w tej naszej firmie... strasznie mnie postarzają tą brodą...

Odwrócił się jeszcze i spytał Zofię:

- Co myślisz o imieniu *Houston*?!

Zupełnie zbита z tropu, Zofia patrzyła, jak odchodzi, z jego cudownymi rękami skrzyżowanymi na plecach - cały czas coś do siebie mrucał.

- Pan Houston, może być... Nie... Houston jest lepiej!

Głos zniknął za rozłożystym drzewem.

Przez dłuższą chwilę Zofia się nie ruszała. Żaba siedząca na nenufarze wpatrywała się w nią, dwa razy zarechotała. Zofia pochyliła się i powiedziała:

- Czego? Czego?!

Poszła do samochodu i wyjechała z Golden Gate Park. Na wzgórzu Nob Hill dzwon uderzył jedenaście razy.

Przednie koła znieruchomiały kilka centymetrów od brzegu, maska astona martina wisiała nad wodą. Lucas wysiadł, zostawiając otwarte drzwi. Postawił prawą nogę na przednim zderzaku, wziął głęboki oddech i nagle zmienił zamiar. Odszedł kilka kroków dalej, bo zakreśliło mu się w głowie. Pochylił się nad wodą i zwymiotował.

- Chyba coś nie za bardzo, prawda?

Lucas wyprostował się i popatrzył na starego kloszarda, który częstował go papierosem.

- Ciemne, trochę mocniejsze, ale z uwagi na okoliczności... - powiedział Julian.

Lucas wziął jednego, Julian podsunął bliżej zapalniczkę; przez krótką chwilę płomień oświetlał dwie twarze. Zaciągnął się głęboko i zakaszłał.

- Bardzo dobre - rzekł, odrzucając niedopałek daleko.

- Chory żołądek? - spytał Julian.

- Nie!

- Może jakaś przykrość?

- Julianie, jak pana noga?

- Tak jak cała reszta, kuleje!

- Niech pan ją obandażuje, zanim wda się infekcja - powiedział Lucas na odchodnym.

Julian patrzył, jak tamten kieruje się w stronę starych budynków leżących sto metrów dalej. Lucas wszedł po przerdzewiałych schodach i posuwał się naprzód wąskim przejściem wzdłuż fasady na pierwszym piętrze. Julian krzyknął do niego:

- Ta przykrość jest raczej brunetką czy blondynką?

Ale Lucas już tego nie usłyszał. Zamknęły się za nim drzwi jedyne gabinetu, którego okno było jeszcze rozświetlone.

Zofia nie miała najmniejszej ochoty wracać do domu. Mimo że z przyjemnością gościła Matyldę, brakowało jej odrobiny intymności. Szła obok starej wieży z czerwonych cegieł, górującej nad opustoszałymi dokami. Zegar wbudowany w górną część stożkowatej wieży wybił pół godziny. Podeszła nad sam brzeg. Dziób starego statku kołysał się w świetle księżyca, nieco przysłonięty lekkim woalem mgły.

- Bardzo lubię tę starą łajbę, jest w tym samym wieku co ja! Ona też skrzypi, kiedy się porusza, jest jeszcze bardziej przerdzewiała niż ja!

Zofia odwróciła się i uśmiechnęła do Juliana.

- Nie mam nic przeciw niej - rzekła - ale gdyby jej trapy były w lepszym stanie, lubiałabym ją jeszcze bardziej.

- Wytrzymałość materiału nie ma nic wspólnego z tym wypadkiem.

- Skąd pan to wie?

- Portowe mury mają uszy, jakieś słówka zasłyszane tu i ówdzie tworzą jakieś zdania...

- Wie pan, jak doszło do upadku Gomeza?

- Na tym polega cała tajemnica. Gdyby to był ktoś młody, chodziłoby pewnie o chwilę nieuwagi. Od zawsze przecież mówią w telewizji, że młodzi są głupszy od starych... ale ja nie mam telewizora, a ten doker był starym wygą. Nikt nie uwierzy, że tak po prostu spadł z drabiny.

- Mógł się źle poczuć?

- Bardzo możliwe, ale trzeba by się dowiedzieć, dlaczego źle się poczuł.

- Pan coś podejrzewa!

- Przede wszystkim jest mi zimno, ta cholerna wilgoć łamie w kościach, porozmawiajmy, ale może gdzieś indziej. Tam, przy schodach prowadzących do biur jest taki jakiś mikroklimat, nie masz nic przeciw temu, żebyśmy przeszli kilka metrów dalej?

Zofia podała mu rękę. Schronili się w wąskim przejściu pod frontową ścianą budynku. Julian przesunął się parę kroków i usiadł tuż pod jedynym o tej późnej porze jeszcze oświetlonym oknem. Zofia wiedziała, że osoby starsze miewają różne dziwactwa i żeby żyć z nimi w przyjaźni, nie należy sprzeciwiać się ich przyzwyczajeniom.

- No, tutaj jest dobrze - powiedział. - Tu jest doskonale!

Usiedli przy murze. Julian wygładzał zagniecenia na swoich słynnych spodniach w jodelkę.

- No to jak jest z tym Gomezem?

- Nie mam pojęcia! Ale jeśli dobrze się wsłuchasz, to może ten wiaterek coś ci opowie.

Zofia ściągnęła brwi, ale Julian położył palec na ustach. Wśród nocnej ciszy Zofia usłyszała poważny głos Lucasa, rezonujący w gabinecie, tuż nad jej głową.

Heurt siedział na końcu stołu. Popchnął w kierunku człowieka zarządzającego portowymi nieruchomościami małe zawiniątko w papierze pakowym. Terence Wallace usadowił się naprzeciw Lucasa.

- Teraz jedna trzecia. Druga wtedy, gdy zarząd przegłosuje wywłaszczenie doków, a ostatnia kiedy podpiszę wyłączność na komercjalizację terenów - rzekł wiceprezes.

- Uzgodniliśmy, że członkowie zarządu spotkają się jeszcze przed końcem tygodnia - dodał Lucas.

- Termin jest wyjątkowo krótki - stęknął mężczyzna, który jeszcze nawet nie ważył się tknąć brunatnej paczuszki.

- Zbliżają się wybory! Władze miejskie będą zachwycone, mogą ogłosić transformację strefy zanieczyszczającej środowisko w schludną dzielnicę rezydencjalną. To będzie jak dar niebios! - przekonywał Lucas, odsuwając paczuszkę w stronę rąk Wallace'a. - Pana zadanie przecież nie jest takie trudne!

Lucas wstał, podszedł do okna, uchylił je i dorzucił:

- Niebawem nie będzie pan już musiał pracować... więc będzie pan mógł nawet odrzucić awans, jaki panu zaoferują w podzięce za to, że się wzbogacili...

- Za znalezienie rozwiązania zapowiadanego kryzysu! - podjął Wallace przymilnym głosem, podając Edowi dużą białą kopertę.

- Wartość każdej działki jest podana w tym poufnym raporcie - rzekł. - Niech pan wyceni je dziesięć procent wyżej, a mój zarząd nie będzie mógł odrzucić pańskiej oferty.

Wallace pochwycił swoją należność i radośnie potrząsnął paczką.

- Zwołam ich wszystkich najpóźniej w piątek - dodał.

Lucas wyjrzał przez okno, jego wzrok przyciągnął niewyraźny cień, przesuwający się w dole. Kiedy Zofia wsiadała do samochodu, miał wrażenie, że popatrzyła mu prosto w oczy. Tylne światła forda zniknęły w oddali. Lucas spuścił głowę.

- Terence, nigdy nie miewa pan wątpliwości?

- Przecież to nie ja wywołam ten strajk! - odpowiedział, wychodząc z biura.

Lucas nie chciał, żeby Ed go odwiózł; został sam.

Dzwony Grace Cathedral wybiły północ. Lucas włożył płaszcz i wsunął ręce do kieszeni. Otwierając drzwi, koniuszkami palców pogłaskał okładkę niewielkiej ukradzionej książki, z którą się nie rozstawał. Uśmiechnął się, popatrzył w gwiazdy i wyrecytował z pamięci:

- Niechaj się stanie światłość na sklepieniu niebieskim, aby oddzielił się dzień od nocy...
i niech to będzie znakiem oddzielenia światła od ciemności.

Bóg zobaczył, że światłość jest dobra.

I tak upłynął wieczór i poranek...

Dzień czwarty

Matylda jęczała prawie cały czas, ból bez przerwy zakłócał jej sen, ulga w tym nocnym cierpieniu przyszła dopiero z pierwszymi promieniami słońca. Zofia wstała bez jednego szemru, ubrała się i wyszła z mieszkania na palcach. Przez okno na klatce schodowej wpadało ciepłe światło. Na dole natknęła się na Reine, która popychała nogą drzwi wejściowe, niosąc ogromne naręczce kwiatów.

- Dzień dobry, Reine.

Reine trzymała w zębach list, więc nie mogła odpowiedzieć, Zofia natychmiast rzuciła się z pomocą. Wzięła z jej rąk kwiaty i położyła na konsoli w przedpokoju.

- Ktoś niesamowicie panią rozpieszcza, Reine.

- Nie mnie, ale ciebie! Trzymaj, ten liścik też wygląda, jakby był dla ciebie! - rzekła, podając jej kopertę, którą Zofia, zaintrygowana, otworzyła.

Jestem pani winien wyjaśnienie, proszę zadzwonić. Lucas.

Zofia włożyła liścik do kieszeni. Reine patrzyła na kwiaty, już to z podziwem, już to z ironią.

- Słuchaj no, wcale sobie z ciebie nie zakpił! Jest tu chyba ze trzysta kwiatów różnych gatunków! Nie znajdę tak ogromnego wazonu!

Miss Sheridan weszła do swojego mieszkania, Zofia dotrzymywała jej kroku, niosąc w ramionach gigantyczny bukiet.

- Połóż te kwiaty obok zlewu, porobię z nich wiązanki jakichś ludzkich rozmiarów, zabierzesz je, wracając. Uciekaj, widzę przecież, że jesteś już spóźniona.

- Dziękuję, Reine, niedługo wrócę.

- Tak, tak, dobrze, pospiesz się, nienawidzę oglądać kogoś tylko w połowie, a twoja głowa jest już zupełnie gdzie indziej!

Zofia ucałowała swoją gospodynię i wyszła z domu. Reine wyjęła z szafy pięć wazonów, ustawiła je na stole, z szuflady w kuchni wyciągnęła sekator i zaczęła układać rozmaite kom-

pozycje kwiatowe. Popatrzyła na długą gałązkę bzu i odłożyła ją na bok. Kiedy usłyszała skrzypienie podłogi nad głową, przerwała układanie kwiatów i przygotowała śniadanie dla Matyldy. Jakiś czas później wchodziła na górę, mrużąc:

- Hotelarka, kwiaciarka... i co jeszcze? Na co mi przyszło!...

Zofia zaparkowała samochód przed Fisher's Deli. Gdy weszła do baru, ujrzała inspektora Pilguez; zaprosił ją do stolika.

- Jak tam nasza podopieczna?

- Powoli wraca do zdrowia, noga dokucza jej bardziej niż ręka.

- To normalne - powiedział. - Ostatnio jakoś nie mamy specjalnego powodu, żeby chodzić na rękach!

- Co pana tu sprowadza, inspektorze?

- Upadek dokera.

- A co wprawia pana w tak posepny humor?

- Śledztwo w sprawie tego upadku! Pani coś zamawia? - spytał Pilguez, odwracając się w kierunku kontuaru.

Od wypadku Matyldy obsługa ograniczała się do minimum: poza godzinami szczytu trzeba było uzbroić się w cierpliwość, żeby dostać choćby kawę.

- Czy wiadomo już, dlaczego spadł? - ciągnęła Zofia.

- Komisja śledcza uważa, że powodem jest złamanie się szczebla drabiny.

- To raczej bardzo zła wiadomość - wyszeptała Zofia.

- Nie przekonują mnie ich metody śledcze! Miałem drobne starcie z ich szefem.

- Na jaki temat?

- Odniosłem wrażenie, że płuca gardło, gdy powtarzał wyraz „przeżarty”. Problem polega na tym - mówił dalej Pilguez w zamyśleniu - że żadnego z komisarzy nie interesuje tablica rozdzielcza!

- A co ma do rzeczy tablica rozdzielcza?

- Tutaj nic, ale w doku bardzo dużo! Nie ma wyraźnego powodu, żeby doświadczony doker spadał z drabiny. Albo drabina jest przegniła, nie mówię, że była pierwszej młodości... albo jakaś nieostrożność: ale to nie ktoś taki jak Gomez! Chyba że w doku było bardzo ciemno, co mogłoby nastąpić, gdyby nagle zgasło światło. Wtedy bardzo łatwo o wypadek.

- Sugeruje pan, że chodzi tu o wypadek spowodowany czyjąś złą wolą?

- Sugeruję, że najłatwiejszym sposobem zrzucenia Gomeza było wygaszenie reflektorów, gdy stał na drabinie! Kiedy pomieszczenie jest oświetlone, trzeba mieć na nosie okulary przeciwsłoneczne, żeby móc tam pracować, no to, jak pani myśli, co się dzieje, kiedy nagle wszystko pogrąża się w ciemności? Zanim oczy się przyzwyczają, człowiek już traci równowagę. Nigdy nie dostawała pani zawrotu głowy w domu towarowym albo w kinie, gdy weszła pani tam z pełnego słońca? Proszę sobie wyobrazić, jak to jest, w dodatku na dwudziestometrowej drabinie!

- Ma pan dowody na to pańskie przypuszczenie?

Pilguez sięgnął do kieszeni i wyciągnął chusteczkę. Rozłożył ją na stole, ukazując mały okrągły cylinderek, całkowicie zwęglony. Odpowiedział na pytający wyraz twarzy Zofii.

- Mam tu przepalony bezpiecznik, któremu brakuje zera na amperomierzu.

- Nie mam pojęcia o elektryczności...

- Ten bezpiecznik jest dziesięć razy za słaby na prąd, jaki musiał wytrzymać!

- To może stanowić dowód?

- Dowód złej woli, na pewno! Mógł wytrzymać opór w najlepszym razie przez pięć minut, zanim zdechł.

- I czego to ma dowieść?

- Tego, że w ładowni „Valparaiso” nie zawsze wszystko widać.

- Co o tym myśli komisja śledcza?

Pilguez przekładał bezpiecznik z ręki do ręki, nie potrafił opanować złości.

- Uważa, że to, co mam w ręku, niczego nie dowodzi, bo nie znalazłem tego na tablicy rozdzielczej!

- A pan jest przeciwnego zdania?

- Tak!

- Dlaczego?

Pilguez poturlał bezpiecznik po stole, Zofia złapała go i uważnie mu się przyglądała.

- Leżał pod schodami, wyrzuciło go zbyt duże napięcie. Ten, kto przyszedł pozacierać ślady, nie znalazł go. Na tablicy rozdzielczej był inny, całkiem nowy.

- Ma pan zamiar wszcząć dochodzenie?

- Na razie nie, z tym też jest problem!

- Jaki?

- Motyw! Jaki interes mógł mieć ten ktoś, kto chciał, żeby Gomez spadł na samo dno łajby? Komu mógłby posłużyć taki wypadek? Ma pani jakiś pomysł?

Zofia opanowała ogarniający ją niepokój, zakaszłała i zakryła twarz ręką.

- Żadnego!

- Żadnego podejrzenia, nic? - pytał Pilguez podejrzliwie.

- Najmniejszego - rzekła znowu, kaszląc.

- Szkoda - stwierdził Pilguez, podnosząc się z miejsca. Przeszedł przez bar, w drzwiach przepuścił przodem

Zofię i skierował się do auta. Oparty o drzwi odwrócił się jeszcze do Zofii.

- Niech pani nigdy nie usiłuje kłamać, nie ma pani do tego najmniejszych zdolności!

Uśmiechnął się do niej w sposób wymuszony, po czym usiadł za kierownicą. Zofia podszła bliżej.

- Jest coś, czego panu nie powiedziałam! Pilguez popatrzył na zegarek i westchnął.

- Wczoraj wieczorem komisja śledcza wyłączyła statek ze sprawy, od tego czasu nikt już tam nie przeprowadzał inspekcji.

- Co mogło ich skłonić do zmiany zdania w ciągu nocy? - spytał inspektor.

- Jedno, co wiem, to to, że włączenie statku do sprawy wywoła następny strajk.

- A co z tego miałyby komisja?

- Te sprawy muszą mieć ze sobą jakiś związek, niech pan pomyśli!

- Tym związkiem musi być osoba, która sprowokowała upadek Gomeza.

- Wypadek, konsekwencja i ten sam cel - wyszeptała Zofia z niepokojem.

- Muszę najpierw pogrzebać w przeszłości ofiary, żeby odsunąć inne hipotezy.

- Myślę, że to najrozsądniejsze, co można teraz zrobić - rzekła Zofia.

- Dokąd pani jedzie?

- Na walne zebranie dokerów.

Odsunęła się od drzwi, Pilguez uruchomił silnik i odjechał.

Opuszczając strefę portu, zatelefonował do swojego biura. Dyspozytorka podniosła słuchawkę dopiero po siódmym dzwonku. Pilguez od razu zaatakował:

- Dzień dobry, tu zakład pogrzebowy, detektyw Pilguez zaniemógł i umarł, kiedy usiłował się do pani dodzwonić, chcemy wiedzieć, czy woli pani, żeby zostawić ciało na komisariacie, czy przywieźć bezpośrednio do pani!

- Nareszcie! Niedaleko stąd jest wysypisko śmieci, zawieźcie go tam, pojedę zobaczyć, jak przyjdzie moja zmienniczka, i nie będę już musiała odbierać telefonu co dwie minuty - odpowiedziała Natalia.

- Urocze!

- Co chcesz?

- Nawet przez sekundę się nie zaniepokoiłaś?

- Od czasu gdy kontroluję twój cukier i cholesterol, czujesz się doskonale. Ale za to czasami tęsknię za okresem, w którym potajemnie zjadałeś jajka; wtedy przynajmniej twój zły humor miał chwile słabości. Chcesz się dowiedzieć, co u mnie słyhać, że tak czarująco ze mną rozmawiasz?

- Muszę cię o coś poprosić.

- Przynajmniej umiesz zabrać się do rzeczy! Słucham cię z uwagą...

- Zajrzyj do centralnej kartoteki i przeczytaj wszystko, co tam jest na temat niejakiego Feliksa Gomeza, Fillmore Street 56, karta dokera numer 54687. Chciałbym też wiedzieć, kto ci naopowiadał, że potajemnie zjadałem jaja!

- Ja też pracuję w policji, wyobraź sobie. Przy stole zachowujesz się tak samo subtelnie, jak rozmawiasz przez telefon?

- A jaki to ma związek?

- Kto zanoszą do pralni twoje koszule? No, dobra, wyłączam się, mam sześć innych połączeń, może to coś pilnego.

Kiedy Natalia przerwała połączenie, Pilguez włączył syrenę alarmową i szybko zawrócił.

Potrzeba było co najmniej pół godziny, żeby tłum się uciszył, dopiero wtedy zaczęło się zebranie na placu. Manca kończył odczytywanie orzeczenia lekarskiego z San Francisco Memorial Hospital. Gomezowi zrobiono trzy operacje. Lekarze nie mogli na razie przewidzieć, czy kiedykolwiek powróci do pracy, ale pęknięcie dwóch kręgów lędźwiowych nie pociągnęło za sobą uszkodzenia rdzenia kręgowego: ciągle był nieprzytomny, lecz niebezpieczeństwo minęło. Westchnienie ulgi dało się słyszeć w tłumie, nie rozładowało jednak panującego tam napięcia. Dokerzy stali naprzeciw estrady wzniesionej naprędce pomiędzy dwoma kontenerami. Zofia trzymała się nieco na uboczu, w ostatnim rzędzie. Manca poprosił o ciszę.

- Komisja śledcza doszła do wniosku, że przyczyną wypadku naszego kolegi był najprawdopodobniej stan drabiny w ładowni.

Twarz przywódcy związkowego była poważna. Warunki pracy, jakie zostały im narzucone, wystawiły na niebezpieczeństwo życie ich kolegi, po raz kolejny jeden z nich musiał zapłacić swoją osobą.

Smużka gryzącego dymu wzlatywała zza drzwi kontenera, stojącego obok trybuny, z której Manca przemawiał do dokerów. Ed Heurt zapalił cygaro i otworzył okno swojego jaguara. Odłożył zapalniczkę na miejsce i wypluł kłaczki tytoniu, osiadłe na języku. Zatarł ręce, zadowolony z ogólnego gniewu, narastającego kilka metrów od niego.

- Mogę wam tylko zaproponować, abyśmy przegłosowali wstrzymanie pracy na czas nieokreślony - podsumował Manca.

Nad głowami zebranych zapanowała ciężka cisza. Po kolei podnosiły się ręce, jakieś sto ramion było w górze, Manca skinieniem głowy zaakceptował jednogłośnie decyzję kolegów. Zofia wzięła głęboki oddech, zanim zabrała głos.

- Nie róbcie tego! W ten sposób wpadniecie w pułapkę! Na twarzach skierowanych w jej stronę dostrzegła zdziwienie pomieszane ze złością.

- To nie drabina spowodowała upadek Gomeza - ciągnęła Zofia, podnosząc głos.

- A ta do czego się miesza! - krzyknął jeden z dokerów.

- Lepiej by było dla ciebie, żeby nie obciążono cię odpowiedzialnością jako szefa od bezpieczeństwa! - wrzasnął inny.

- To, co mówicie, jest godne pożałowania! - odparowała Zofia.

Poczuła, że agresywność tłumu obraca się przeciw niej.

- Bezustannie zarzuca mi się, że nakazuję wam zbyt wiele środków ostrożności, doskonale o tym wiecie!

Odgłosy niezadowolenia ucichły na kilka sekund, po czym trzeci mężczyzna krzyknął:

- To dlaczego Gomez spadł?

- Na pewno nie z powodu drabiny! - odpowiedziała Zofia nieco ciszej, opuszczając głowę.

Kierowca ciągnika podszedł bliżej, uderzając żelaznym prętem w dłoń.

- Wynoś się, Zofio! Nie jesteś tu dobrze widziana.

Nagle poczuła się zagrożona przez nacierających na nią dokerów. Zrobiła krok do tyłu i wpadła na człowieka, który stał za jej plecami.

- Ty mnie, ja tobie! - szepnął jej do ucha Pilguez. - Wytłumaczy mi pani, komu służy ten strajk, a ja wyciągnę panią z tarapatów. Wydaje mi się, że coś pani o tym wie, nawet nie musi mi pani mówić, kogo chce pani osłonić!

Odwróciła do niego głowę, Pilguez miał na ustach ironiczny uśmiezek.

- Instynkt policjanta, moja droga - dodał, obracając w palcach bezpiecznik.

Stanął przed nią i pokazał tłumowi identyfikator policyjny, co natychmiast ludzi zatrzymało.

- Jest bardzo prawdopodobne, że ta panusia ma rację - powiedział, upajając się ciszą, jaką zdołał narzucić. - Jestem inspektor Pilguez z oddziału kryminalnego San Francisco i teraz poproszę was, żebyście zechcieli cofnąć się o kilka kroków, bo cierpię na agorafobię!

Nikt go nie posłuchał, Manca spytał z estrady:

- Po co pan tu przyszedł, inspektorze?

- Po to, żeby przeszkodzić pańskim przyjaciółom w zrobieniu głupstwa i zapobiec wpadnięciu w pułapkę, jak to określiła ta panna!

- A co to pana obchodzi? - pytał dalej przywódca związkowy.

- To! To mnie obchodzi! - odpowiedział Pilguez, podnosząc rękę z bezpiecznikiem.

- Co to takiego? - zaciekał się Manca.

- To, co miało zapewnić światło w ładowni, w której spadł Gomez!

Wszystkie twarze odwróciły się w stronę Manki, który podniósł głos.

- Nie widzę, do czego pan zmierza, inspektorze.

- Wiem, co mówię, stary, w ładowni Gomez też niewiele widział.

Mały miedziany cylinderek przeleciał parabolą ponad głowami dokerów. Manca złapał go w locie.

- Wypadek waszego kolegi jest spowodowany złą wolą - ciągnął Pilguez. - Ten bezpiecznik jest dziesięć razy za słaby, niech pan sam oceni.

- A po co ktoś miałby to zrobić? - spytał anonimowy głos z tłumu.

- Po to, żebyście zaczęli strajkować! - odpowiedział lakonicznie Pilguez.

- Wszędzie na statkach jest pełno bezpieczników - odezwał się jakiś mężczyzna.

- To, co tu opowiadacie, nie ma nic wspólnego z orzeczeniem komisji śledczej! - podjął inny.

- Cisza! - wrzasnął Manca. - Przypuśćmy, że pan mówi prawdę, kto miałby być takim podżegaczem?

Pilguez popatrzył na Zofię i głęboko westchnął, zanim odpowiedział przywódcy związku:

- Powiedzmy, że ten aspekt sprawy nie jest jeszcze do końca wyświetlony!

- No to niech pan spada z tymi bajkami - wrzasnął doker, wymachując żelaznym drągiem.

Ręka policjanta powoli sięgała po holster. Grożący tłum nacierał, jak przyływ morza, który zaraz ich zaleje. Obok estrady, przed otwartym kontenerem Zofia rozpoznała człowieka, który na nią patrzył.

- Ja znam zleceniodawcę tej zbrodni!

Dobrze postawiony głos Lucasa zatrzymał dokerów w miejscu. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. Odepchnął otwarte drzwi kontenera, które zaskrzypiały w zawiasach, odsłaniając przed wszystkimi ukrytego tam jaguara. Lucas palcem wskazał kierowcę, który nerwowo kręcił kluczykiem w stacyjce.

- Tam są grube koperty, umożliwiające wykup terenów, na których pracujecie... po strajku, oczywiście. Zapytajcie go, to właśnie jest nabywca!

Heurt gwałtownie włączył pierwszy bieg, opony zabuksowały na asfalcie, służbowy samochód wiceprezesa A&H ruszył w szalony rajd pomiędzy dźwigami, aby uciec przed wściekłością dokerów.

Pilguez nakazał Mance, aby powstrzymał swoich ludzi.

- I niech pan się pospieszy, zanim zacznie się lincz! Przywódca związku skrzywił się, masując sobie kolano.

- Mam okropne zapalenie stawu - zajęczał. - To z powodu wilgoci panującej na nabrzeżu, taki zawód!

Odszedł, kulejąc.

- Nie ruszajcie się stąd, ani jedno, ani drugie - zamruczał Pilguez.

Zostawił Lucasa i Zofię i pobiegł w kierunku, z którego wyruszyli dokerzy. Lucas powiódł za nim wzrokiem.

Kiedy cień inspektora ukrył się za ciągnikiem, Lucas podszedł do Zofii i wziął jej ręce w swoje dłonie. Zawahała się chwilę, zanim zadała pytanie.

- Pan nie jest Weryfikatorem, prawda? - odezwała się głosem pełnym nadziei.

- Nie, nie wiem, o czym pani mówi!

- Nie jest też pan członkiem rządu?

- Powiedzmy, że pracuję dla czegoś... porównywalnego. Ale winien ci jestem jeszcze inne wyjaśnienia.

W oddali rozległ się szcęk blachy. Lucas i Zofia popatrzyli na siebie i pobiegli w stronę, z której dochodził hałas.

- Jeśli położą na nim łapę, to nie ręcę za jego skórę! - powiedział Lucas, biegnąc drobnym krokiem.

- Niech pan się modli, żeby to nie nastąpiło - odrzekła Zofia.

- Och, tak czy owak, nie jest wiele warta! - podjął Lucas, wyprzedzając ją o dwa kroki.

Zofia znowu go przegoniła.

- Mimo wszystko ma pani niezłą parę!

- Jeśli chodzi o oddech, jestem niezmordowana!

Wykrzywił twarz, gdy podwoił wysiłek, żeby wyjść na czoło w wąskim krętym przesmyku pomiędzy stosami kontenerów. Zofia przyspieszyła bieg, nie chciała, by znowu znalazł się obok niej.

- Tam są - powiedziała prawie bez tchu, ale ciągle na przedzie.

Lucas przyspieszył, żeby ją dogonić. W dali biały dym unosił się spod maski jaguara nadzianego na widły ładowarki. Zofia głęboko odetchnęła, żeby zachować tempo.

- Ja się nim zajmę, pan niech się zajmie dokerami... kiedy już pan dobiegnie - powiedziała, wyrывая do przodu.

Okrążyła zwarty tłum, który otaczał wrak pojazdu, nie oglądała się, nie chciała stracić cennych sekund. Rozkoszowała się miną, jaką zapewne zrobił Lucas za jej plecami.

- To śmieszne, przecież się nie ścigamy, o ile mi wiadomo! - usłyszała głos trzy kroki za sobą.

Tłumek stał w milczeniu i patrzył na pusty samochód. Przybiegł jeden z dokerów: strażnik nikogo nie widział ze swej budki, Ed był uwięziony w dokach i na pewno chowa się gdzieś wśród kontenerów. Ludzie rozproszyli się, każdy poszedł w innym kierunku, z silnym postanowieniem, że pierwszy trafi na uciekiniera. Lucas podszedł do Zofii.

- Nie chciałbym być na jego miejscu!

- Słowo daję, mam wrażenie, że pana to zachwyca! - odpowiedziała, zdenerwowana. - Niech mi pan raczej pomoże zlokalizować go, zanim zrobią to tamci!

- Brakuje mi tchu i zastanawiam się, czyja to wina!

- Co za zła wola! - rzekła Zofia, opierając ręce na biodrach. - Kto zaczął?

- Pani!

Przerwał im głos Juliana.

- Wasza rozmowa jest w samej rzeczy pasjonująca, ale jeśli zechcecie odłożyć ją na później, może udałoby się nam uratować choć jedno życie. Za mną!

Po drodze Julian wyjaśnił im, że Ed porzucił samochód zaraz po zderzeniu i pobiegł w stronę bramy wyjazdowej z portu. Zgraja niebezpiecznie zbliżyła się do niego, kiedy był na wysokości przęsła numer 7.

- Gdzie teraz jest? - zaniepokoiła się Zofia, idąc u boku starego kloszarda.

- Pod stosem starych szmat!

Julian z trudem przekonał go, aby schował się w jego wózku bagażowym.

- Nieczęsto widuje się kogoś tak antypatycznego! I w dodatku wszystkiego się brzydzi! - narzekał Julian. - Kiedy pokazałem mu basen portowy, w którym dokerzy zafundują mu kąpiel, kolor piany na powierzchni przekonał go, że moja bielizna nie jest aż tak brudna.

Lucas, ciągle pozostający nieco z tyłu, przyspieszył kroku, żeby się z nimi zrównać, i szepnął:

- Tak! Pani zaczęła!

- Wcale nie! - odszepnęła, odwracając głowę.

- Pani pierwsza zaczęła przyspieszać.

- Nie!

- Dobrze, wystarczy - rzekł Julian. - Inspektor jest już przy nim. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby dyskretnie tego człowieka stąd wywieźć.

Pilguez dał im znak ręką i wszyscy troje podeszli do niego. Inspektor objął dowództwo akcji.

- Wszyscy są obok dźwigów, przeszukują każdy zakątek, tutaj na pewno też przyjdą! Czy któreś z was dwojga może pójść po samochód, tak żeby nikt nie zauważył?

Ford był zaparkowany w niedobrym miejscu, gdyby Zofia po niego poszła, prawdopodobnie zwróciłaby uwagę dokerów. Lucas milczał, czubkiem buta rysując koło na pokrytej pyłem ziemi nabrzeża.

Julian wzrokiem wskazał Lucasowi żuraw, który niedaleko nich przenosił nad dokami chevroleta camaro w opłakanym stanie. To był już siódmy wrak wyciągany z wody.

- Ja wiem, gdzie znaleźć auta, niedaleko stąd, ale ich silniki robią takie dziwne „gul-gul”, kiedy próbuje się je uruchomić! - szepnął stary kloszard do ucha Lucasowi.

Inspektor Pilguez spojrział na niego pytającym wzrokiem, Lucas oddalił się, mówiąc:

- Znajdę wam to, czego szukacie!

Trzy minuty później wrócił za kierownicą przestronnego chryslera, którego zaparkował pod przęsłem. Julian przyciągnął wózek, Pilguez i Zofia pomogli Heurtowi z niego wyjść. Wiceprezes położył się na tylnym siedzeniu, Julian przykrył go całego jednym ze swych koców.

- I niech pan będzie łaskaw go uprać, zanim mi pan go odda! - dodał, trzaskając drzwiami.

Zofia usiadła obok Lucasa. Pilguez podszedł do okna.

- I nie ociągajcie się!

- Mamy go zawieźć na posterunek? - spytał Lucas.

- A po co? - odpowiedział policjant, urażony.

- Nie będzie dochodzenia? - zapytała Zofia.

- Jedynym dowodem, jaki miałem, był mały miedziany cylinderek o długości dwóch centymetrów, ale musiałem się z nim rozstać, żeby panią wybawić z przykrew sytuacji! A poza tym - dodał inspektor, wzruszając ramionami - nie dopuszczając do nadmiernego napięcia... właśnie do tego służy bezpiecznik, prawda? No już, odjazd!

Lucas wrzucił bieg, samochód ruszył w chmurze dymu. Kiedy jechał jeszcze wzdłuż nabrzeża, dał się słyszeć zduszony głos Eda.

- Lucas, zapłaci mi pan za to!

Zofia uniosła róg koca, odsłaniając purpurową twarz Heurta.

- Nie wiem, czy to odpowiedni moment - powiedziała chłodno.

Wiceprezes, który nie mógł opanować nerwowego mrugania, dodał pod adresem Lucasa.

- Pan jest skończony, Lucas, pan nie wie, jak daleko sięga moja władza!

Lucas zablokował hamulce, samochód przejechał poślizgiem kilka metrów. Nie zdejmując rąk z kierownicy, Lucas odwrócił się do Zofii.

- Niech pani wysiądzie!

- Co pan chce zrobić? - spytała z niepokojem.

Ton, jakim po raz drugi wypowiedział rozkaz, nie pozwalał na dyskusję. Wysiadła, szyba zamknęła się z piskiem. We wstecznym lusterku Heurt ujrzał ciemne oczy Lucasa, które stały się czarne.

- A pan nie zna mojej władzy, stary! - rzekł Lucas. - Niech się pan nie denerwuje, zaraz panu pokażę!

Wyciągnął kluczyk ze stacyjki i też wysiadł z auta. Gdy tylko zrobił jeden krok, zablokowały się wszystkie drzwi. Silnik stopniowo nabierał obrotów i kiedy Ed Heurt podniósł się, wskazówka na desce rozdzielczej pokazywała już 4500 obrotów na minutę. Opony ślizgały się na asfalcie, ale samochód stał w miejscu. Lucas skrzyżował ramiona i z zakłopotaną miną powiedział cicho:

- Coś jest nie tak, ale co?

Zofia podeszła do niego i mocno nim potrząsnęła.

- Co pan robi?

We wnętrzu samochodu Ed czuł się tak, jakby jakaś niepokonana siła wbijała go w siedzenie. Tyłne oparcie zostało gwałtownie wyrwane i wyrzucone na tylną szybę. Żeby przezwyciężyć siłę, która ciągnęła go do tyłu, Heurt złapał się skózanego pasa przy fotelu, ale szew pękł i pasek puścił. Rozpaczliwie złapał klamkę, lecz siła odśrodkowa była tak wielka, że zsiwały mu palce i nie mógł dłużej utrzymać drzwi. Im bardziej Ed walczył, tym bardziej ściągało go w tył. Ciało sprasowane nieopisanym ciężarem nieubłaganie zagłębiało się we wnętrzu bagażnika. Paznokcie drapały skórę, ale wszystko na próżno; kiedy znalazł się w bagażniku, tylne oparcie wskoczyło na swoje miejsce i siła ustała. Ed ogarnęła ciemność. Na desce rozdzielczej wskazówka licznika obrotów skoczyła aż do końca tarczy. Na zewnątrz warkot silnika stał się ogłuszający. Pod dymiącymi kołami guma pozostawiała czarne tłuste ślady, całe auto drżało. Zaniepokojona Zofia rzuciła się, aby ratować pasażera; w środku nikogo nie było. Wpadła w panikę i odwróciła się do Lucasa, który ścisnął w ręce klucz do samochodu, z miną bardzo zmartwioną.

- Co pan z nim zrobił? - spytała.

- Jest w bagażniku - odpowiedział zatopiony w myślach. - Rzeczywiście, coś jest nie tak... o czymś zapomniałem?

- Ależ pan jest ciężko chory! Gdyby hamulce puściły...

Zofia nie zdążyła dokończyć zdania. Lucas z wyraźną ulgą skinął głową i zaraz potem strzelił palcami. W środku berlina puścił ręczny hamulec i samochód zaczął zjeżdżać z nabrzeża. Zofia podbiegła nad samą wodę, wpatrywała się w tył auta wystający jeszcze nad powierzchnię: otworzyła się kłapa bagażnika, wiceprezes chlapał się w gęstych wodach przy nabrzeżu 80. Pływając jak dryfujący korek, Ed Heurt oddalił się nieporadną żabką, i dopłynął do kamiennych schodów, plując ze wszystkich sił. Auto utonęło, unosząc rozległe plany Lucasa,

dotyczące rozbudowy nieruchomości. Gdy wrócił na plac, miał w oczach zakłopotanie dziecka, złapanego na gorącym uczynku.

- Nie jest pani przypadkiem głodna? - odezwał się do Zofii, która zdecydowanym krokiem podeszła do niego.

- W tym całym zamieszaniu zapomnieliśmy o obiedzie, prawda?

Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem.

- Kim pan jest?

- To raczej trudno wytłumaczyć - odpowiedział bezradnie.

Zofia wyrwała mu z ręki kluczyk.

- Pan chyba jest synem diabła albo jego najlepszym uczniem, że panu się udają takie numery?

Czubkiem buta Lucas zakreślił prostą linię pośrodku koła, które narysował w pyłe. Opuścił głowę i odpowiedział z zawstydzoną miną:

- Nadal pani nie rozumie?

Zofia cofnęła się o krok, potem o dwa.

- Jestem jego wysłannikiem... jego elitą! Zasłoniła usta ręką, żeby powstrzymać okrzyk.

- Nie, tylko nie pan... - wyszeptała, spoglądając na Lucasa po raz ostatni, po czym uciekła.

Słyszała, jak wołał ją po imieniu, ale słowa Lucasa były już tylko niewyraźnymi sylabami stłumionymi przez wiatr.

- Cholera jasna, ty też nie powiedziałaś mi prawdy! - krzyknął Lucas, wściekłym ruchem nogi zamazując narysowane kółko.

W swoim przestronnym gabinecie Lucyfer zgasił ekran kontrolny; twarz Lucasa stała się małym jasnym punktem, który zniknął pośrodku monitora. Szatan obrócił się w fotelu i nacisnął guzik interfonu.

- Zawołajcie mi Błażeja, byle szybko!

Lucas doszedł do parkingu, potem jasnoszarym dodgem wyjechał z doków. Kiedy był już za bramą, poszukał w kieszeniach niewielkiej wizytówki i umieścił ją za osłoną przeciwsłoneczną. Wyjął telefon komórkowy, wybrał numer jedynej znanej mu dziennikarki. Amy odebrała po trzecim sygnale.

- Ciągle nie wiem, dlaczego byłaś taka zła, kiedy odchodziłaś? - powiedział.

- Nie spodziewałam się, że zadzwonisz, punkt dla ciebie.

- Chciałbym cię o coś poprosić!
- Straciłeś punkt! A co z tego będę miała?
- Powiedzmy, że mam dla ciebie prezent!
- Jeśli to kwiaty, zachowaj je!
- Masz wyłączność!
- I pewno chciałbyś, żebym to ogłosiła drukiem!
- Coś w tym rodzaju, owszem.
- Tylko wtedy, gdy będzie to połączone z nocą tak gorącą, jak ostatnim razem.
- Nie, Amy, to już nie jest możliwe!
- A jeśli zrezygnuję z prysznicą, to też odmówisz?
- Też!
- Doprowadza mnie do rozpaczki to, że tacy faceci jak ty zakochują się!
- Włącz magnetofon, to dotyczy pewnego magnata od nieruchomości, którego porażka uczyni z ciebie najszcześniejszą z dziennikarek!

Dodge jechał Trzecią Ulicą; Lucas skończył rozmowę i skręcił w Van Ness, w kierunku Pacific Heights.

Błażej zapukał trzy razy, wytarł wilgotne ręce o spodnie i wszedł.

- Chciał pan mnie widzieć, Prezesie?
- Zawsze musisz zadawać głupie pytania, na które znasz odpowiedź? Stój!

Błażej wyprostował się, był okropnie przerażony. Prezes otworzył szufladę i rzucił czerwoną teczkę, która poślizgiem dotarła na drugi koniec stołu. Błażej podszedł dużymi krokami, aby ją wziąć, po czym natychmiast wrócił na swoje miejsce.

- Jak myślisz, głupku, czy wezwałem cię tu, żebyś biegał wokół stołu? Otwórz teczkę, idioto!

Błażej nerwowo otworzył kartonową teczkę i od razu ujrzał zdjęcie, na którym Lucas trzyma w ramionach Zofię.

- Chętnie zrobiłbym z tego naszą kartkę z życzeniami noworocznymi, ale brakuje tu legendy! - dodał Lucyfer, waląc pięścią w stół. - Mam nadzieję, że ją wymyślisz, bo to ty wybrałeś naszego najlepszego agenta!

- Doskonałe zdjęcie, prawda? - wybąkał Błażej, całkiem zlany potem.

- Wiesz co? - rzekł Szatan, rozgniatając niedopałek na marmurowym blacie stołu - albo twój humor przechodzi wszelkie pojęcie, albo wymyka się mojej inteligencji.

- Chyba nie sądził pan, Prezesie, że... ależ nie... o, jakże by! - ciągnął Błażej afektownym głosem. - To wszystko zostało zaplanowane i jest pod ścisłą kontrolą! Lucas ma nieoczekiwane możliwości, jest nieprawdopodobny!

Szatan wyjął z kieszeni następnego papierosa, zapalił go. Głęboko się zaciągnął, po czym wydmuchnął dym Błażejowi w twarz.

- Bardzo uważaj na to, co mi tu opowiadasz...

- Naszym celem jest szach i mat... właśnie jesteśmy w trakcie zabierania królowej pańskiemu wrogowi.

Lucyfer wstał i podszedł do oszklonej ściany. Oparł obie ręce o szybę i na kilka minut pogrążył się w myślach.

- Skończ już z tymi metaforami, nienawidzę tego. Przypuśćmy, że mówisz prawdę... skutki kłamstwa byłyby dla ciebie piekielne.

- Nie przysporzymy panu żadnego kłopotu! - wystękał Błażej, wycofując się na czubkach palców.

Gdy Szatan pozostał sam, ponownie usiadł na końcu długiego stołu. Włączył swój ekran kontrolny.

- Mimo wszystko sprawdzimy jeszcze dwie czy trzy rzeczy - zamruczał, przyciskając znowu guzik interfonu.

Lucas jechał aleją Van Ness, zwolnił i odwrócił głowę w stronę skrzyżowania z Pacific Street, opuścił szybę, włączył radio i zapalił papierosa. Przejeżdżając pod filarami Golden Gate, zgasił radio, wyrzucił papierosa, zamknął okno i w zupełnej ciszy pędził w kierunku Sausalito.

Zofia zaparkowała forda w głębi parkingu. Weszła schodami i znalazła się na Union Square. Szła bez celu przez niewielki park. W bocznej alejce usiadła na ławce, na której płakała jakaś kobieta. Zofia spytała, co się stało, ale zanim usłyszała odpowiedź, poczuła, że smutek ściska jej gardło.

- Przykro mi, przepraszam - powiedziała, odchodząc.

Tułała się ulicami, pomiędzy witrynami luksusowych sklepów. Popatrzyła na obrotowe drzwi domu towarowego Macy's i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, weszła do środka. Gdy znalazła się wewnątrz, hostessa, przebrana od stóp do głów za żółtego kurczaczka, zaproponowała, że skropi ją obficie najnowszym, modnym już zapachem „Canary Wharf”. Zofia uprzejmie odmówiła ze zgaszonym uśmiechem i spytała, gdzie może znaleźć wodę „Habit Rouge”.

Młoda prezenterka perfum nie usiłowała nawet ukryć swego rozdrażnienia.

- Drugie stoisko po prawej! - Wskazała, wzruszając ramionami.

Gdy Zofia odeszła, dziewczyna rozpyliła jej w plecy żółtą mgłę.

- Inni też mają prawo żyć!

Zofia podeszła do gabloty. Nieśmiało wzięła flakon z próbką, zdjęła prostokątną zakrętkę i kapnęła sobie na przegub dwie krople. Uniosła rękę do twarzy, powąchała subtelny zapach i przymknęła oczy. Pod opuszczonymi powiekami lekka nadmorska mgielka, unosząca się pod Golden Gate, spływała w stronę Sausalito: na opustoszałej promenadzie mężczyzna w czarnym garniturze siedł samotnie, tuż nad wodą.

Głos ekspedientki przywrócił ją do świata. Zofia rozejrzała się. Kobiety, z naręczem toreb obwiązanych wstążkami, miały się we wszystkich kierunkach.

Zofia opuściła głowę, odłożyła flakon na miejsce, po czym wyszła ze sklepu. Wsiadła do samochodu i pojechała do ośrodka kształcenia niedowidzących. Tematem lekcji było głównie milczenie, uczniowie to uszanowali. Gdy rozległ się dźwięk dzwonka, wstała z krzesła ustawionego na podwyższeniu, powiedziała im po prostu „dziękuję” i opuściła salę. Wróciła do domu, gdzie ujrzała okazały wazon, upiększający przedpokój dorodnymi kwiatami.

- Nie da się wnieść tego do ciebie! - powiedziała Reine, otwierając drzwi. - Podoba ci się? Zrobiło się wesoło w tym przedpokoju, prawda?

- Tak - rzekła Zofia, przygryzając wargę.

- Co ci jest?

- Reine, pani nie jest osobą, która zawsze powtarza „przecież cię uprzedzałam”?

- Nie, to całkiem nie w moim stylu!

- No to... mogłaby pani postawić ten wazon u siebie? - spytała Zofia słabym głosem.

I od razu weszła na piętro. Reine patrzyła, jak ucieka na górę; gdy zniknęła jej z oczu, zamruczała:

- A nie mówiłam?

Matylda odłożyła gazetę i uważnie przypatrywała się przyjaciółce.

- Spędziłaś miły dzień?

- A ty? - spytała w odpowiedzi Zofia, kładąc torebkę pod wieszakiem.

- Ale odpowiedź! Zresztą nie musisz nic mówić, wystarczy spojrzeć na twoją minę.

- Matyldo, jestem zmęczona!

- Chodź, usiądź na moim łóżku!

Zofia spełniła jej prośbę. Kiedy opadła na materac, Matylda aż zajęczała.

- Przepraszam - powiedziała Zofia, wstając. - No, jak minął dzień?

- Pasjonująco! - rzekła Matylda, krzywiąc się. - Otworzyłam lodówkę, naubliżałam jej, wiesz, jaki mam nastrój, pomidor pękł ze śmiechu i resztę popołudnia spędziłam na myciu głowy szamponem z pietruszki.

- Bardzo cię dziś bolało?

- Tylko w czasie aerobiku! Możesz usiąść, ale tym razem trochę delikatniej.

Matylda wyjrzała przez okno i nagle powiedziała do Zofii:

- Nie siadaj!

- Dlaczego? - spytała Zofia, zaintrygowana.

- Bo za dwie minuty wstaniesz - odrzekła Matylda, nie uciekając przed jej wzrokiem.

- Co się dzieje?

- Nie mogę uwierzyć, że on znowu zaczyna! - zachichotała Matylda.

Zofia wytrzeszczyła oczy i zrobiła krok do tyłu.

- Jest na dole?

- Jest do schrupania, gdyby miał bliźniaka, jeden byłby dla mnie! Czeka na ciebie, siedząc na masce samochodu, z kwiatami, no już, schodź na dół! - poganiała ją Matylda, ale już była sama w pokoju.

Zofia wyszła przed dom. Lucas podniósł się i obiema rękami podał jej rdzawego nenufara, dumnie sterczącego w glinianej doniczce.

- W dalszym ciągu nie wiem, jakie są pani ulubione kwiaty, ale przynajmniej ten skłoni panią do rozmowy ze mną!

Zofia popatrzyła na niego, nic nie mówiąc. Podeszedł bliżej.

- Proszę dać mi chociaż szansę wyjaśnienia.

- Wyjaśnienia czego? - spytała. - Nie ma nic do wyjaśniania.

Odwróciła się do niego plecami, weszła do domu, zatrzymała się pośrodku przedpokoju, zrobiła w tył zwrot, wyszła na ulicę, podeszła do niego bez jednego słowa, wzięła nenufara i wróciła do domu. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Reine zagrodziła jej wejście na schody i wzięła od niej wodny kwiat.

- Już ja się tym zajmę, a tobie daję trzy minuty na pójście na górę i przygotowanie się. Trochę pokokietuj, trochę pogrymaś, to bardzo kobiece, ale nie zapominaj, że przeciwieństwem wszystkiego jest nic! A nic niewiele znaczy... no, uciekaj!

Zofia chciała zaproponować, ale Reine oparła ręce na biodrach i oświadczyła władcym tonem:

- Żadne „ale”!

Zofia weszła do swego mieszkania i od razu skierowała się do szafy.

- Nie wiem dlaczego, ale jak tylko go zobaczyłam, przeczułam szynkę z purée w czułym sam na sam z Reine przez cały wieczór - powiedziała Matylda, podziwiając Lucasa przez okno.

- Dobrze już, dobrze! - odpowiedziała Zofia, zdenerwowana.

- No a ty?

- Matyldo, to nie jest odpowiednia chwila na szukanie...

- Moja droga, mam wrażenie, że ty się już sama odnalazłaś!

Zofia zdjęła z wieszaka płaszcz nieprzemakalny i poszła w stronę drzwi, nie odpowiadając przyjaciółce, która zawołała jeszcze pełnym głosem:

- Historie miłosne zawsze się jakoś układają!... Tylko nie w moim przypadku.

- Skończ już z tymi uwagami, dobrze? Nawet nie masz pojęcia, o czym mówisz - rzuciła Zofia.

- Gdybyś знаła mojego byłego, miałabyś pojęcie, co to jest piekło! Idź już, miłego wieczoru.

Reine postawiła nenufar na małym stoliku. Popatrzyła na niego z uwagą i zamruczała: „No, może być!”. Rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem, pospiesznie poprawiła siwe włosy i cichym krokiem skierowała się do wyjścia. Wsunęła głowę w uchylone drzwi i szepnęła do Lucasa, który chodził tam i z powrotem przed domem: „Już idzie!”. Szybko wróciła do siebie, nasłuchując kroków Zofii.

Zofia podeszła do płowej berlinki, o którą stał oparty Lucas.

- Po co pan tu przyjechał? Czego się pan spodziewa?

- Drugiej szansy!

- Nigdy nie ma drugiej szansy na zrobienie pierwszego dobrego wrażenia!

- Dziś wieczorem z wielką chęcią udowodnię pani, że to nieprawda.

- Dlaczego?

- Bo tak.

- To trochę mało jak na odpowiedź!

- Bo dziś po południu pojechałem do Sausalito - rzekł Lucas.

Zofia patrzyła na niego, po raz pierwszy wydał jej się delikatny.

- Nie chciałem, żeby zapadły ciemności - mówił. - Nie, to bardziej skomplikowane. „Nie chcieć” to zawsze była część mnie, a przed chwilą było inaczej, chciałem wiedzieć, jak to będzie odwrotnie, wreszcie czegoś chciałem!

- Czego?

- Zobaczyć panią, usłyszeć panią, rozmawiać z panią!

- I co jeszcze! Żebym zechciała panu uwierzyć?

- Proszę ze mną pójść, proszę nie odmawiać tej kolacji.

- Nie jestem już głodna - powiedziała, spuszczaając wzrok.

- Pani nigdy nie jest głodna! Nie tylko ja nie zdradziłem wszystkiego...

Lucas otworzył drzwi auta i uśmiechnął się.

- ...Wiem, kim pani jest.

Zofia popatrzyła na niego i wsiadła do samochodu.

Matylda opuściła skraj zasłony, który opadł swobodnie na parapet. W tej samej chwili także w mieszkaniu na parterze zasłona opadła na okno.

Samochód zniknął na końcu pustej ulicy. Jechali, milcząc w drobnym jesiennym deszczu, Lucas prowadził niezbyt szybko, Zofia wyglądała przez okno, szukając na niebie odpowiedzi na pytania, jakie sobie zadawała.

- Od kiedy pan wie?

- Od kilku dni - przyznał z zażenowaniem, pocierając brodę.

- Coraz lepiej! I przez cały ten czas nic pan nie powiedział!

- Pani też nic nie mówiła.

- Ja nie umiem kłamać!

- A ja nie jestem zaprogramowany na mówienie prawdy!

- Nie mogę nie pomyśleć, że pan to wszystko podstępnie uknuł, od samego początku!

- To by znaczyło, że pani nie docenia siebie samej. A poza tym mogło być odwrotnie, takie przeciwieństwa istnieją! Obecna sytuacja chyba działa na moją korzyść.

- Jaka sytuacja?

- Cały ten spokój, ogarniający nas, dziwny. Pani, ja, w tym samochodzie, nie wiadomo, dokąd jedziemy.

- Co pan chce zrobić? - spytała Zofia z nieobecny wzrokiem zwróconym na przechodniów, idących mokrymi ulicami.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Zostać z panią.

- Niech pan przestanie!

Lucas nagle zahamował, samochód poślizgnął się na mokrym asfalcie, zatrzymał się dopiero przed samymi światłami.

- Przez całą noc mi pani brakowało, i przez cały dzień. Pojechałem pospacerować w Sausalito, bo nie było pani przy mnie, ale tam też mi pani brakowało; brakowało mi pani i to było przyjemne.

- Nie rozumie pan znaczenia tych słów.

- Znałem tylko ich antonimy.

- Przestań mnie podrywać!

- Marzyłem o tym, żebyśmy wreszcie mówili do siebie „ty”!

Zofia milczała. Światło zmieniło się na żółte, potem na zielone, potem na żółte i znowu czerwone. Wycieraczki zmiatały wodę z szyby, nadając rytm ciszy.

- A poza tym wcale pani nie podrywam! - dodał.

- Nie mówię, że źle się pan do tego zabiera - odrzekła szczerze, kiwając głową. - Powiedziałam, że to robisz, a to różnica!

- Mogę kontynuować? - spytał.

- Osaczają nas światłami.

- Niech poczekają, jest czerwone!

- Tak, ale już trzeci raz!

- Nie rozumiem, co mi się stało, zresztą niewiele już rozumiem, wiem tylko, że z panią czuję się dobrze i że te słowa też nie należą do mojego słownictwa.

- Jeszcze trochę za wcześnie, żeby mówić takie rzeczy.

- Czy to znaczy, że są specjalne chwile na mówienie prawdy?

- Owszem, są!

- No to rzeczywiście będę potrzebował pomocy; być szczerym to rzecz jeszcze bardziej skomplikowana, niż myślałem!

- Tak, bardzo trudno być uczciwym, Lucasie, o wiele trudniej, niż pan myśli, to często jest niewdzięczne i niesprawiedliwe, ale nie być uczciwym to tak jak być ślepym. Bardzo trudno to wszystko panu wytłumaczyć. Bardzo się od siebie różnimy, naprawdę, nawet za bardzo.

- Dopełniamy się - jego głos był pełen nadziei. - Tu się z panią zgadzam!

- Nie, różnimy!

- I pomyśleć, że te słowa wychodzą z pani ust... Wierzyłem, że...

- Teraz pan zaczął wierzyć?

- Niech pani nie będzie złośliwa, myślałem, że różnica... ale musiałem się mylić, a może miałem rację, co, paradoksalnie, jest raczej smutne.

Lucas wysiadł z auta, zostawiając drzwi otwarte. Ryk klaksonów wzmógł się, gdy Zofia ruszyła za nim w pogoń, w strugach deszczu. Wołała go, ale on nie słyszał, ulewa była coraz większa. W końcu go dopadła, złapała za rękę, on się odwrócił i stanął z nią twarzą w twarz. Włosy lepiły jej się do twarzy, delikatnie odgarnął pasemko z ust, ona go odepchnęła.

- Nasze światy nie mają ze sobą nic wspólnego, nasze wierzenia są sobie obce, nasze nadzieje rozbieżne, nasza kultura bardzo odległa jedna od drugiej... dokąd więc chce pan dojść, jeśli wszystko nas różni?

- Pani się boi! Otóż to, pani jest struchlała ze strachu. Wbrew waszemu ustalonemu porządkowi pani nie chce tego widzieć, a mówi pani o zaślepieniu i szczerości. Bezustannie głosicie dobre słowo, ale pozbawione czynów obietnice nic nie znaczą. Proszę mnie nie osądzać, to prawda, że jestem pani przeciwieństwem, kimś od pani odmiennym, ale jestem też podobieństwem, pani drugą połową. Nie potrafię opowiedzieć tego, co czuję, bo nie znam słów dla określenia tego, co dręczy mnie od dwóch dni, zaczynam nawet wierzyć, że wszystko może ulec zmianie, mój świat, jak pani to określa, pani świat, ich świat. Mam w nosie walkę, jaką toczyłem, moje posępne noce i niedziele, jestem nieśmiertelnym, który po raz pierwszy ma chęć na życie. Moglibyśmy się wiele od siebie nauczyć, odkrywaliśmy się nawzajem i w końcu stalibyśmy się podobni... z czasem. Zofia położyła palec na ustach, żeby mu przerwać:

- W czasie dwóch dni?

- ... I trzech nocy! Ale one są warte części mojej nieśmiertelności - dokończył Lucas.

- Znowu pan zaczyna!

Uderzenie pioruna rozerwało niebo, ulewa przekształciła się w groźną nawałnicę. Lucas podniósł głowę i wpatrywał się w ciemności, które były czarniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

- Proszę się pospieszyć - powiedział stanowczo. - Musimy natychmiast stąd odjechać, mam bardzo złe przeczucie.

Nie czekając ani chwili, pociągnął Zofię za sobą. Jak tylko zamknęli drzwi auta, przejechał czerwone światło, pozostawiając w tyle kierowców, stojących tuż za jego zderzakiem. Gwałtownie skręcił w lewo, wjechał w tunel biegnący pod wzgórzem, gdzie skrył się przed niedyskretnymi spojrzeniami. Podziemny przejazd był pusty, Lucas przyspieszył na długiej

prostej, która wychodziła na roгатki Chinatown. Neonowe lampy migały ponad przednią szybą, oświetlając samochód białymi przerywanymi błyskami. Wycieraczki znieruchomiały.

- Prawdopodobnie styki - rzekł Lucas w chwili, gdy żarówki reflektorów jednocześnie eksplodowały.

- Styki! - odparła Zofia. - Niech pan hamuje, przecież prawie nic nie widać.

- Chciałbym! - Lucas docisnął pedał, który nie stawiał najmniejszego oporu.

Zdjął nogę z gazu, ale rozpedzony do takiej prędkości samochód nie zatrzyma się przed końcem tunelu, gdzie krzyżuje się pięć arterii. Dla niego nie pociągnie to żadnych konsekwencji, wiedział, że jest niepokonany, ale odwrócił głowę i popatrzył na Zofię. W ułamku sekundy chwycił kierownicę z całych sił i krzyknął:

- Niech się pani trzyma!

Pewną ręką skrzył kierownicę, aby auto wpadło na barierę, która biegła przy ścianie wyłożonej płytkami ceramicznymi, gęste snopy iskier posypały się na przednią szybę. Rozległy się dwa wybuchy: pękły przednie opony. Auto kilkakrotnie skręcało, po czym stanęło w poprzek jezdni. Karoseria uderzyła w bariery, tylna oś uniosła się, co wywołało natychmiastowe dachowanie. Buick leżał teraz na dachu i nieubłagane sunął w stronę wyjazdu z tunelu. Zofia zacisnęła pięści, auto zatrzymało się zaledwie kilka metrów przed skrzyżowaniem. Lucasowi, choć wisiał głową w dół, wystarczyło jedno spojrzenie na Zofię, żeby stwierdzić, że jest cała i zdrowa.

- Nic panu nie jest? - spytała.

- Pani chyba żartuje! - odpowiedział, otrzepując się.

- To właśnie nazywa się reakcją łańcuchową! - rzekła, wykrzywając twarz, bo chciała zmienić pozycję na nieco wygodniejszą.

- Prawdopodobnie tak, ale wyjdźmy stąd, zanim następne ogniwo tego łańcucha spadnie nam na głowę - Lucas otworzył drzwi auta kopniakiem.

Obszedł dymiący wrak i pomógł Zofii się wydostać. Gdy stanęła już na własnych nogach, wziął ją za rękę i zmusił do biegu. Pędem przemknęli do centrum chińskiej dzielnicy.

- Dlaczego tak biegniemy? - zapytała Zofia.

Lucas dalej pędził, bez jednego słowa.

- Mogę przynajmniej odzyskać moją rękę? - spytała zasapana.

Lucas rozprostował palce, uwalniając ją z uścisku. Zatrzymał się na skraju ciemnej uliczki, słabo oświetlonej kilkoma sfatygowanymi latarniami.

- Wejdźmy tutaj - zaproponował i wskazał niewielką restaurację. - Nie będziemy tak bardzo na widoku.

- Na jakim widoku, co się właściwie dzieje? Wygląda pan jak czatujący lis, którego goni sfora psów.

- Pospieszmy się!

Lucas otworzył drzwi, ale Zofia nie ruszyła się ani na centymetr, wrócił, żeby pomóc jej wejść, ale ona się zapała.

- To nie jest odpowiednia chwila! - powiedział, ciągnąc ją za rękę.

Zofia uwolniła się i odepchnęła go.

- Najpierw spowodował pan wypadek, potem zmusza mnie pan do szaleńczego biegu, chociaż nikt nas nie goni, płuca mi zaraz pękną, i ciągle żadnego wyjaśnienia...

- Proszę pójść ze mną, nie mamy czasu na dyskusje.

- A dlaczego mam mieć do pana zaufanie?

Lucas cofnął się i wszedł do małego lokaliku. Zofia obserwowała go, wahała się chwilę, w końcu poszła jego śladem. Sala była bardzo mała, miała zaledwie osiem stolików. Wybrał miejsce w głębi, podsunął jej krzesło, po czym sam także usiadł. Nie otworzył karty, którą podał mu stary mężczyzna w tradycyjnym stroju, za to uprzejmie poprosił, w doskonałym języku mandaryńskim, o napar z ziół, którego w karcie nie było. Mężczyzna skłonił się i wyszedł do kuchni.

- Albo wyjaśni mi pan, co się dzieje, albo wychodzę!

- Wydaje mi się, że otrzymałem ostrzeżenie.

- To nie był wypadek? Przed czym chcą pana ostrzec?

- Przed panią!

- Ale dlaczego?

Lucas wziął głęboki oddech i odpowiedział:

- BO PRZEWIDZIELI WSZYSTKO OPRÓCZ TEGO, ŻE SIĘ SPOTKAMY!

Zofia wzięła krewetkowy chips z małej miseczki z błękitnej porcelany i powoli go chrupała; Lucas patrzył na nią osłupiałym wzrokiem. Podał jej filiżankę gorącej herbaty, którą stary mężczyzna postawił na stole.

- Tak bardzo chciałabym panu wierzyć, ale co pan by zrobił na moim miejscu?

- Wstałbym i opuściłbym ten przybytek...

- Znowu pan zaczyna!

- ... najlepiej tylnymi drzwiami.

- Tego pan by sobie właśnie życzył?

- Jak najbardziej! Niech się pani nie ogląda pod żadnym pretekstem, liczę do trzech i rzucamy się za zasłonę. Teraz!

Chwycił ją za przegub i silnie pociągnął. Szybko przeszli przez kuchnię, pchnął drzwi, które otworzyły się na małe podwóreczko. Dla utorowania drogi odepchnął pojemnik na odpadki, którego koła zazgrzytały. Zofia wreszcie zrozumiała: w ciemności mignęła jej jakaś sylwetka. Do cienia człowieka rozświetlanego przez blask latarenki przylegał cień broni automatycznej wycelowanej w ich kierunku. Szybkim spojrzeniem Zofia w kilka sekund ustaliła, że z trzech stron otaczają ich mury, zaraz potem ciszę rozdarły trzy wybuchy.

Lucas rzucił się, aby osłonić ją własnym ciałem. Chciała go odepchnąć, ale przycisnęła ją do jednej ze ścian.

Pierwszy strzał rykoszetem trafił go w udo; drugi drasnął górną część miednicy, Lucas ugiął kolana, ale natychmiast się wyprostował; trzecia kula odbiła się od żeber, rana była dość duża; czwarty pocisk trafił w sam środek kręgosłupa, Lucas zaniemówił i z trudem łapał oddech. Kiedy dosięgła go piąta kula, poczuł jakby palący płomień: dopiero ta piąta przeszła mu ciało... pod lewym ramieniem.

Napastnik uciekł, gdy tylko dokonał tej potwornej zbrodni.

Kiedy zamilkło echo wybuchów, ciszę zakłócał jedynie oddech Zofii. Podtrzymała go pod pachy, jego głowa spoczywała na jej ramieniu. Miał przymknięte oczy, wydawało się, że się jeszcze do niej uśmiecha. Tuliła jego bezwładne ciało i szeptała mu do ucha:

- Lucas?

Nie odpowiedział, potrząsnęła nim trochę mocniej.

- Lucas, niech pan nie udaje, niech pan otworzy oczy!

Z zamkniętymi oczami wyglądał, jakby spał, spokojnie jak dziecko odprężone w swym śnie. Im bardziej wzrastał w niej strach, tym mocniej go obejmowała. Kiedy na jego policzku ukazała się łza, poczuła, że jakaś niesamowita siła uciska jej pierś. Miała mdłości.

- Przecież to nie mogło nas spotkać, bo jesteśmy...

- ...Już nieżywi... niepokonani... nieśmiertelni? Tak! Każda trudność ma swoje dobre strony, prawda? - powiedział, prawie wesoło, wyprostowując się.

Zofia patrzyła na niego, nie mogła zapanować nad powracającym dobrym humorem. Powoli przybliżył do niej twarz, odsunęła się, w końcu usta Lucasa lekko dotknęły jej warg w pocałunku o smaku opium. Cofnęła się i dostrzegła jego rękę zabarwioną na czerwono.

- Dlaczego krwawisz?

Lucas patrzył na czerwoną strużkę ciekącą po rękę.

- To absolutnie niemożliwe, to też nie było przewidziane! - rzekł.

... Po czym zemdłał. Podtrzymała go w ramionach.

- Co się z nami dzieje? - spytał, odzyskując zmysły.

- Jeśli o mnie chodzi, to rzecz raczej skomplikowana! Jeśli chodzi o ciebie, myślę, że kula przebiła ci ramię.

- Boli mnie!

- Może wydaje ci się to nielogiczne, ale to najzwyczajniejsza rzecz, trzeba cię zawieźć do szpitala.

- Nie ma mowy!

- Lucas, nie mam ani trochę wiedzy medycznej w dziedzinie demonologii, ale zdaje mi się, że masz krew i właśnie ją tracisz.

- Znam kogoś na drugim końcu miasta, kto mógłby zaszyć tę ranę, zanim się zagoi - powiedział, uciskając zranione ramię.

- Ja też znam kogoś, a ty pójdziesz za mną bez żadnej dyskusji, bo wieczór i tak już jest wystarczająco urozmaicony. Chyba mam już dosyć tych emocji.

Przytrzymała go i wyprowadziła na ulicę. Na końcu pasażu dostrzegła ciało napastnika, leżące nieruchomo pod stosem wywróconych pojemników na śmieci. Zofia ze zdziwieniem popatrzyła na Lucasa.

- Mam jednak minimum miłości własnej, mimo wszystko! - powiedział, przekraczając pojemniki.

Zatrzymali taksówkę, która dziesięć minut później dowiozła ich pod dom Zofii. Wprowadziła go na schody, przed drzwiami wejściowymi dała mu znak, żeby nie robił hałasu. Z nadzwyczajną ostrożnością otworzyła drzwi, przyciszonymi krokami weszli na górę. Kiedy byli już na schodach, drzwi do mieszkania Reine cichutko się zamknęły.

Zdrętwiały za swoim biurkiem Błażej zgasił ekran kontrolny. Jego ręce ociekały, a czoło perliło się od obfitego potu. Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, włączył automatyczną sekre-

tarkę i usłyszał Lucyfera, niezbyt zachęcającym tonem wzywającego go na zebranie komisji kryzysowej, które odbędzie się o wschodzie nocy orientalnej.

- Radzę ci, abyś przyszedł punktualnie z gotowym rozwiązaniem i nową definicją „wszystko jest przewidziane”! - powiedział na koniec Prezes, po czym rzucił słuchawkę.

Objął głowę rękami. Drżąc na całym ciele, wziął słuchawkę, która wysunęła mu się z rąk.

Michał wpatrywał się w ścianę ekranów zawieszonych naprzeciw niego. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer bezpośredniej linii do Houstona. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. Wzruszył ramionami i popatrzył na zegarek; w Gujanie za dziesięć minut zostanie wystrzelona Ariane V.

Zofia położyła Lucasa na łóżku, ramię unieruchomiła dwoma dużymi jaškami i poszła do garderoby. Z wyższej półki wzięła pudełko z przyborami do szycia, z szafki na lekarstwa w łazience wyjęła buteleczkę spirytusu i wróciła do pokoju. Usiadła obok Lucasa, odkręciła flakonik i umoczyła nitkę w środku dezynfekującym. Następnie usiłowała przeciągnąć ją przez ucho igielne.

- To twoje cerowanie to będzie prawdziwa rzeź - powiedział Lucas, uśmiechając się drwiąco. - Cała się trzęsiesz!

- Ani trochę! - odrzekła triumfująco, bo nitka wreszcie zmieściła się w uchu igły.

Lucas wziął rękę Zofii i delikatnie ją odsunął. Pogłaskał jej policzek, przyciągnął ją do siebie.

- Boję się, że moja obecność tu może ci zaszkodzić.

- Muszę przyznać, że wieczory w twoim towarzystwie obfitują w przypadki.

- Mój pracodawca działa głównie przez przypadki.

- Dlaczego sprawił, że do ciebie strzelano?

- Żeby mnie wypróbować i dojść do tych samych wniosków co ty, jak sądzę. Nie powinienem być ranny. Przez kontakt z tobą tracę moje władze, chyba muszę zacząć się modlić, żeby to było wzajemne.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie odważy się ruszyć ciebie. Twoja anielska nietykalność daje do myślenia.

Zofia popatrzyła Lucasowi głęboko w oczy.

- Nie o tym mówię. Co zrobimy za dwa dni? Końcem palców musnął usta Zofii, pozwoliła mu na to.

- O czym myślisz? - zapytała z niepokojem, znowu zabierając się do szycia.

- W dniu, w którym upadł mur berliński, mężczyźni i kobiety odkryli, że ich ulice są do siebie podobne. Po każdej stronie stały domy, jeździły samochody, latarnie rozjaśniały ich noce. Chwile szczęścia i nieszczęścia może się różniły, ale dzieci z Zachodu, tak jak i ze Wschodu, zobaczyły, że przeciwnik wcale nie jest taki, jak im opowiadano.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo słyszę Rostropowicza grającego na wiolonczeli!

- A jaki utwór gra? - spytała, kończąc zakładanie trzeciego szwa.

- Słyszę to po raz pierwszy! Oj, teraz mnie zabolalo. Zofia nachyliła się do Lucasa, żeby zębami przeciąć nitkę. Oparła głowę na jego torsie i tak pozostała. Łączyło ich milczenie. Lucas wsuwał palce zdrowej ręki we włosy Zofii, głaskał ją po głowie. Zadrzała.

- Dwa dni to tak krótko!

- Tak - szepnął.

- Rozstaniemy się. To nieuniknione.

I po raz pierwszy Zofia tak jak Lucas zaczęła odczuwać lęk przed wiecznością.

- Można by pertraktować, żeby pozwolił ci odejść ze mną? - powiedziała nieśmiało.

- Nie wolno negocjować z Prezesem, zwłaszcza kiedy mu się uchybiło, a poza tym obawiam się, że przystąpienie do twojego świata jest dla mnie nieosiągalne.

- Ale przecież były przedtem jakieś punkty przejścia między Wschodem a Zachodem, prawda? - spytała znowu, przybliżając igłę do brzegu rany.

Lucas skrzywił się i krzyknął.

- Ale z ciebie delikatniś, ledwo dotknęłam! Jeszcze parę szwów!

Drzwi otworzyły się z impetem, weszła Matylda, oparta na miotle, która służyła jej za kulę.

- To nie moja wina, że ściany w twoim mieszkaniu są z papieru - powiedziała i podeszła do nich, kulejąc.

Usiadła przy łóżku.

- Podaj mi tę igłę - rozkazała Zofii. - A ty przysuń się trochę bliżej - rozkazała Lucasowi.

- I tak masz ogromne szczęście, jestem mańkutem!

Zręcznie zeszyła brzegi rany. Trzy szwy z każdej strony ramienia wystarczyły, aby rana się zamknęła.

- Dwa lata życia spędzone za jakimś podejrzanym kontuarem wyzwalały niespodziewane talenty pielęgniarskie, zwłaszcza gdy jest się zakochaną we własnym szefie. W tej sprawie

właśnie mam dwie czy trzy rzeczy do powiedzenia wam obojgu, zanim wrócę do łóżka. Potem uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby przekonać siebie samą, że właśnie śpię i że jutro rano pękne ze śmiechu jak nigdy dotąd na wspomnienie snu, jaki w tej chwili śnię.

Opierając się na prowizorycznej kuli, Matylda poszła do swojego pokoju. Na progu odwróciła się, żeby na nich spojrzeć.

- Nie ma żadnego znaczenia, czy jesteście, czy nie jesteście, tym co ja myślę. Zanim cię poznałam, Zofio, myślałam, że prawdziwe szczęście na tej ziemi istnieje tylko w niedobrych książkach i po tym się je poznaje. Ale powiedziałaś mi kiedyś, że najgorszy z nas zawsze ma gdzieś schowane skrzydła i że trzeba mu pomóc je rozwinąć, zamiast go potępiać. Więc daj sobie prawdziwą szansę, bo gdybym ja taką miała właśnie z nim, możesz być pewna, moja droga, że na pewno bym jej nie przepuściła. A co do ciebie, zraniony śmiałku, jeśli potargasz jej choćby jedno piórko, zeszyję ci ranę jeszcze raz drutami do robótek. Nie róbcie takich min, bez względu na to, co się wam przydarzy, surowo zabraniam obojgu opuszczać ręce, bo jeśli wy zrezygnujecie, cały świat się zachwieje, a na pewno mój!

Drzwi się za nią zamknęły. Lucas i Zofia siedzieli w milczeniu. Wsłuchiwali się w jej kroki kulejące po podłodze w salonie. Matylda, już z łóżka, krzyknęła:

- Od dawna mówiłam ci, że z tymi twoimi manierami niewiniątka wyglądasz na anioła! Możesz spokojnie dalej wrzyszczać ramionami, nie jestem taka głupia!

Schwyciła sznureczek od lampy stojącej na jednonożnym stoliku i pociągnęła szybkim ruchem. Wyłącznik natychmiast zadziałał. Światło księżycy wpadało wszystkimi oknami przez cienkie zasłony. Matylda wtuliła głowę w poduszkę. W drugim pokoju Zofia przytuliła się do Lucasa.

Dźwięk dzwonu Grace Cathedral wdarł się przez uchylone okno łazienki. Dwunaste echo brzmiało jeszcze nad miastem.

I tak upłynął wieczór i poranek...

Dzień piąty

Wstawał świt piątego dnia, a oni oboje spali. Poranny chłód przynosił przez otwarte okno zapachy jesieni. Zofia przytuliła się do Lucasa. Jęki Matyldy wybudziły ją z niespokojnego snu. Przeciągnęła się i nagle znieruchomiła, kiedy zorientowała się, że nie jest sama. Powoli zsunęła kołdrę i wstała z łóżka, depcząc swe wczorajsze ubranie. Cichutko przeszła do salonu.

- Boli cię?

- Po prostu spałam w złej pozycji, stąd gwałtowny ból. Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

- Nic nie szkodzi. Tak naprawdę nie spałam. Zrobię ci herbatę.

Szła do kuchni i przypatrywała się ponurej minie przyjaciółki.

- Zasłużyłaś na filiżankę czekolady! - powiedziała, otwierając lodówkę.

Matylda odsłoniła okno. Na pustej jeszcze ulicy jakiś człowiek wyszedł z domu na spacer z psem.

- Bardzo bym chciała mieć labradora, ale na samą myśl, że musiałabym co rano wyprowadzać go na spacer, mam ochotę wstrzyknąć sobie dożylnie prozac - rzekła Matylda, opuszczając zasłonę.

- Trzeba ponosić odpowiedzialność za to, co się oswaja. Ja jeszcze do tego nie doszłam! - skomentowała Zofia.

- Dobrze, że mi to mówisz. Macie jakieś plany, „młody Liu” i ty?

- Znamy się zaledwie od dwóch dni! A poza tym nazywa się Lucas.

- No przecież mówię!

- Nie, nie mamy planów!

- Tak nie może być, zawsze są jakieś plany, kiedy jest się we dwoje!

- Skąd to wzięłaś?

- Po prostu tak już jest, są obrazki szczęścia, których nie mamy prawa retuszować, kolorujesz je, ale nie przekraczasz kreski! I tak jeden plus jeden jest dwa, dwa równa się para, a para równa się plany, tak już jest i nie może być inaczej!

Zofia wybuchnęła śmiechem. Mleko wezbrało w rondelku, wlała je do filiżanki i powoli zmieszała z czekoladą w proszku.

- Proszę, wypij zamiast opowiadać głupoty - powiedziała, podając jej gorący napój. - Widziałaś tu jakąś parę?

- A ty znowu to samo! Od trzech lat słyszę twoje gadki o miłości. Czemu mają służyć te twoje bajeczki, jeśli odrzucasz rolę księżniczki już w pierwszym dniu kręcenia filmu?

- Co za romantyczna metafora!

- Lepiej idź pometaforować do niego, jeśli ci to nie przeszkadza! Uprzedzam cię, jeśli nie zabierzesz się do rzeczy, jak tylko moja noga będzie naprawiona, sprzątnę ci go sprzed nosa.

- Zobaczymy. Sytuacja nie jest taka prosta, jak się wydaje.

- A widziałaś już gdzieś proste historie miłosne? Zofia, zawsze widuję cię samą, zawsze powtarzasz: „Sami jesteśmy odpowiedzialni za nasze szczęście”, moja droga, twoje szczęście ma jakieś 185 centymetrów i drobne 78 kilo mięśni, więc bardzo cię proszę, nie mijaj się z tym szczęściem, to wszystko odbywa się niżej.

- Ach tak? Doprawdy, jakie to piękne i wzniosie!

- Nie, po prostu pragmatyczne; i wydaje mi się, że twoje „szczęście” właśnie się budzi, więc może poszłabyś teraz do niego, bo brak mi tu powietrza, no, zmykaj z twojego salonu, ale już!

Zofia skinęła głową i poszła do swego pokoju. Usiadła przy łóżku i czekała, aż Lucas się obudzi. Przeciągnął się, ziewając, co przypominało odruchy kota. Uniósł powieki. Natychmiast jego twarz rozświetlił uśmiech.

- Długo tu siedzisz? - dopytywał.

- Jak twoje ramię?

- Prawie nie czuję - odpowiedział i spróbował zrobić określony ruch ręką, ale od razu skrzywił się z bólu.

- A w wersji „nie macho”, jak twoje ramię?

- Cholernie boli!

- No to odpoczywaj. Chciałam ci coś przygotować na śniadanie, ale nie wiem, co jadasz.

- Około dwudziestu naleśników i tyle samo rogalików.

- Kawa czy herbata? - spytała, wstając.

Lucas przyglądał jej się, twarz mu pociemniała, złapał ją za przegub i przyciągnął do siebie.

- Czy wydawało ci się już kiedyś, że świat pozostawi cię samą w tyle, czy miałaś uczucie, zaglądając w każdy kąt mieszkania, że przestrzeń zawęży się, przekonanie, że ubranie starsze się w ciągu nocy, że w każdym lustrze twoje odbicie odgrywa rolę twojej mizერი, bez

żadnego widza i nie przynosi ci to najmniejszego poczucia ulgi, myślisz, że nic cię nie kocha, a ty nie kochasz nikogo, że to całe nic to właśnie jest pustka twojej własnej egzystencji?

Zofia musnęła końcem palców wargi Lucasa.

- Nie myśl tak.

- No to nie odchodź.

- Idę ci zrobić kawę. Podeszła do niego.

- Nie wiem, czy istnieje rozwiązanie, ale postaramy się je znaleźć - szepnęła.

- Muszę rozruszać to ramię, żeby całkiem nie zdrętwiało. Idź wziąć prysznic, a ja zajmę się śniadaniem.

Zgodziła się bez sprzeciwu i wyszła. Lucas spojrział na koszulę, wiszącą na oparciu łóżka: rękaw był poplamiony szerniąłą krwią - oderwał go. Podeszedł do okna, otworzył je i patrzył na dachy rozciągające się w dole; syrena mgielna wielkiego statku dyszała gdzieś w zatoce, jakby w odpowiedzi na dźwięk dzwonów Grace Cathedral. Zwinął w kulkę poplamiony rękaw i rzucił go daleko, po czym zamknął okno. Zrobił kilka kroków w stronę łazienki, przyłożył ucho do drzwi. Plusk spływającej wody nagle go pobudził, wziął głęboki oddech i wyszedł z pokoju.

- Robię kawę, ma pani ochotę? - spytał Matyldy. Wskazała filiżankę czekolady.

- Zerwałam ze środkami podniecającymi jak i z całą resztą, ale słyszałam coś o naleśnikach; mogę zadowolić się dziesięcioma procentami łupu.

- Najwyżej pięć procent - odpowiedział, wchodząc za kuchenny kontuar - i pod warunkiem, że powie mi pani, gdzie jest ekspres do kawy.

- Lucas, wczoraj wieczorem doszły do mnie strzępki waszej rozmowy, nie powiem, trudno było się oderwać. W czasie gdy brałam narkotyki, nie zadawałabym sobie żadnych pytań. Ale teraz nie wydaje mi się, żeby aspiryna mogła wywoływać podobne omamy, więc niech pan mi powie, o czym wy właściwie rozmawialiście?

- Dużo wczoraj wypiliśmy, na pewno opowiadaliśmy jakieś głupoty, proszę się nie niepokoić, może pani dalej brać środki przeciwbólowe bez obawy, że wywołają jakiegokolwiek działania uboczne.

Matylda patrzyła na marynarkę, którą wczoraj miał na sobie; wisiała na oparciu krzesła, na plecach była podziurawiona od kul.

- A kiedy pan się upija, to zawsze wtedy strzela pan do gołębi?

- Zawsze! - odpowiedział, otwierając drzwi do pokoju.

- Nawet jest nieźle skrojona, jak na marynarkę z kevlaru, szkoda, że pański krawiec nie wzmocnił ramion.

- Wspomnę mu o tym, może pani na mnie polegać.

- Liczę na pana! Miłego prysznicu.

Weszła Reine, położyła na stole gazetę i dużą torbę ciasteczek, patrząc na Matyldę, samą w pokoju.

- Chociaż nie prowadzę Bed & Breakfast, lepiej, żeby nikt nie krytykował sposobu nakrycia do śniadania, mogłoby to odstraszyć moją przyszłą klientelę, nigdy nic nie wiadomo. Gołąbeczki już wstały?

- Są w pokoju! - odpowiedziała Matylda, wznosząc oczy ku niebu.

- Powiedziałam jej, że przeciwieństwem wszystkiego jest nic, a ona wzięła to dosłownie.

- Nie widziała pani tego zwierza z nagim torsem!

- Nie, ale w moim wieku, wiesz, taki osobnik czy szympanś to już naprawdę nie ma wielkiej różnicy.

Reine ułożyła rogaliki na dużym talerzu, patrząc z ciekawością na marynarkę Lucasa.

- Powiedz im, żeby nie chodzili do pralni na końcu ulicy, bo to moja pralnia! Dobrze, idę sobie!

I zniknęła na schodach.

Zofia i Lucas usiedli przy stole, żeby razem we trójkę zjeść poranne śniadanie. Kiedy Lucas przełknął ostatnie ciasteczko, posprząтали w kuchni i usadzili Matyldę wygodnie na łóżku. Zofia postanowiła wprowadzić Lucasa w swój dzień pracy, który zaczynał się od wizyty w dokach. Zdjęła z wieszaka płaszcz nieprzemakalny. Lucas z niesmakiem spojrzał na marynarkę, która rzeczywiście była w opłakanym stanie. Matylda zwróciła uwagę, że koszula z jednym rękawem jest może trochę za bardzo oryginalna jak na tę dzielnicę. Miała w swoich rzeczach jedną męską koszulę, chętnie mu pożyczycy, ale musi obiecać, że odda ją w nienaruszonym stanie; podziękował. Kilka minut później, gdy mieli właśnie wychodzić na ulicę, głos Reine przywołał ich do porządku. Z rękami opartymi na biodrach stała na środku sieni i wzrokiem mierzyła Lucasa od stóp do głów.

- Jak tak na pana patrzę, mam powody myśleć, że jest pan raczej solidnej budowy, ale niech pan nie kusi diabła, bo się pan przeziębci. Proszę pójść ze mną!

Weszła do swego mieszkania i otworzyła starą szafę. Zazgrzytały zawiasy drewnianych drzwi. Reine rozsunała ubrania i zdjęła z wieszaka marynarkę, którą podała Lucasowi.

- Nie jest już pierwszej młodości, ale jodełka nigdy nie wyjdzie z mody, jeśli chce pan wiedzieć, a poza tym tweed dobrze grzeje!

Pomogła mu włożyć marynarkę, która wyglądała jak na niego skrojona, tak doskonale leżała, po czym ukosem popatrzyła na Zofię.

- Tylko nie staraj się dociekać, do kogo należała, słyszysz! W moim wieku mogę robić, co mi się podoba z moimi pamiątkami.

Pochyliła się, żeby się oprzeć o gzyms kominka, i zrobiła dziwną minę. Zofia podbiegła do niej.

- Co pani jest, Reine?

- Nic takiego, zwykły ból brzucha, nie ma powodu do niepokoju.

- Jest pani okropnie blada i wygląda na osłabioną!

- Od dziesięciu lat nie wystawiałam się na słońce, a poza tym w moim wieku któregoś ranka człowiek musi obudzić się zmęczony. Nie martw się.

- Może powinniśmy zawieźć panią do lekarza?

- Tego jeszcze brakowało! Niech ci twoi doktorzy siedzą w domu, a ja zostanę u siebie! Tylko w ten sposób możemy się nawzajem zrozumieć.

Zrobiła w ich kierunku ruch ręką, który miał oznaczać: „idźcie już, idźcie, widać, że bardzo wam obojgu się spieszy”.

Zofia zawahała się chwilę przed odejściem.

- Zofio?

- Słucham, Reine?

- Miałaś ochotę obejrzeć jeden album, myślę, że teraz z radością ci go pokażę. To są szczególne zdjęcia, chciałabym, żebyś je zobaczyła w świetle zmierzającego dnia. Takie światło najlepiej je ozdobi.

- Jak pani każe, Reine...

- Przyjdź do mnie dzisiaj o piątej, punktualnie, liczę na ciebie.

- Przyjdę, obiecuję.

- A teraz już idźcie, i tak was już zatrzymałam przez te moje starcze dolegliwości! Lucas, proszę dbać o marynarkę... człowiek, który ją nosił, był dla mnie kimś ważniejszym niż inni.

Kiedy samochód odjechał, Reine opuściła zasłonę w oknie, narzekała na coś pod nosem i poprawiała jeden z bukietów, ukwiecających jej stół.

- Wikt i opierunek, niedługo dojdziemy do bielizny!

Jechali w dół California Street. Przy sygnalizacji świetlnej przed skrzyżowaniem z Polk Street zatrzymali się tuż obok samochodu inspektora Pilguez. Zofia opuściła szybę, żeby się z nim przywitać. Słuchał głosu z radiotelefonu, nadającego komunikat.

- Nie wiem, co się dzieje w tym tygodniu, ale chyba wszyscy wariują, to już piąta bijatyka w Chinatown. Żegnam was, życzę miłego dnia - zakończył, ruszając z miejsca.

Samochód policyjny z wyjąca syreną skręcił w lewo, dziesięć minut później ich auto zatrzymało się na końcu nabrzeża 80. Obserwowali stary, kołyszący się nonszalancko statek, przyczepiony linami cumowniczymi.

- Mam pewien pomysł, żeby uniknąć tego co nieuniknione - powiedziała Zofia. - Zabiorę cię ze sobą!

Lucas patrzył na nią niespokojnym wzrokiem.

- Dokąd?

- Do moich. Jedź ze mną, Lucas!

- Ale jak to zrobić? Z łaski Ducha Świętego? - spytał ironicznie.

- Kiedy ktoś nie chce wrócić do swojego pracodawcy, musi robić wszystko odwrotnie, nie to, czego od niego oczekują. Po prostu daj się wyrzucić!

- Czytałaś moje CV? Wydaje ci się, że mogę je wymazać albo napisać na nowo w czterdzieści osiem godzin? A poza tym naprawdę myślisz, że twoja rodzina przyjmie mnie z szeroko otwartymi ramionami, z sercem pełnym dobrych intencji? Zofio, zanim jeszcze przekroczę próg twego domu, horda stróżów rzuci się na mnie, żeby odesłać mnie tam, skąd przybyłem, i bardzo wątpię, czy będę wracać pierwszą klasą.

- Poświęciłam moją duszę innym, przekonywałam ich, że nigdy nie należy poddawać się złemu losowi, więc teraz przyszła moja kolej, teraz powinnam popробować szczęścia, być szczęśliwą. Być we dwoje - to dostać się do raj, zasłużyłam na to!

- Domagasz się tego, co niemożliwe, ich przeciwieństwo jest zbyt silnie zakorzenione, nigdy nie pozwolą nam się kochać.

- Wystarczy odrobina nadziei, jakiś znak. Ty sam możesz się odmienić, Lucas, daj im dowód dobrej woli.

- Bardzo bym chciał, żeby było tak, jak mówisz, żeby to było takie łatwe.

- Więc spróbuj, błagam cię!

Lucas zaniemówił, zapadło milczenie. Odszedł parę kroków w stronę przerdzewiałego dziobu wielkiego statku. Przy każdym uderzeniu cum, napinających się w brutalnym skrzypie-

niu, „Valparaiso” przybierał postać zwierzęcia, które chce walczyć o uwolnienie, o wybór swojego ostatniego miejsca pobytu: piękne zatonięcie na pełnym morzu.

- Boję się, Zofio...

- Ja też. Pozwól mi wprowadzić cię do mojego świata, będę kierować tam każdym twoim krokiem, nauczę się twoich przebudzeń, wymyślę twoje noce, będę przy tobie. Pozacieram wszystkie wytyczone losy, zaszyję wszystkie rany. Kiedy będziesz wściekły, zwiążę ci ręce na plecach, żebyś nie mógł wyrządzać zła, zbliżę moje usta do twych warg, żeby zagłuszyć twoje krzyki, i nigdy nic już nie będzie takie samo, a jeśli teraz jesteś sam, to odtąd będziemy sami we dwoje.

Objął ją, musnął jej policzek i pieścił ucho niską barwą głosu.

- Gdybyś знаła te wszystkie drogi, jakie obrałem, żeby dotrzeć do ciebie. Zofio, ja nie wiedziałem, często się myliłem, za każdym razem zaczynałem od nowa, z jeszcze większą radością, większą odwagą. Chciałbym, żeby nasz czas się zatrzymał, żeby można było go przeżywać, odkrywać ciebie, kochać ciebie, tak jak na to zasługujesz; ten czas nas łączy, lecz do nas nie należy. Jestem z innego świata, gdzie wszystko jest tylko konkretne, tylko pojedyncze. Jestem złem, ty jesteś dobrem, jestem twoim przeciwieństwem, ale wydaje mi się, że cię kocham, więc poproś mnie, o co chcesz. - Twoje zaufanie.

Opuścili strefę portu, samochód jechał teraz Trzecią Ulicą. Zofia chciała znaleźć się na jakiejś dużej arterii, pełnej przejść dla pieszych, ludzi i samochodów.

Błażej wszedł do biura, zupełnie ogłupiały, pobladły na twarzy.

- Czas na prywatną lekcję szachów? - wrzasnął Prezes, spacerując wzdłuż długiej oszklonej ściany. - Określ mi jeszcze raz pojęcie „mat”.

Błażej przyciągnął do siebie wielki czarny fotel.

- Stój, idioto! Albo nie, usiądź wreszcie, im mniej widzę twoją osobę, tym lepiej się czuję! A więc, żeby podsumować całą sytuację, nasza elita zboczyła z drogi?

- Prezesie...

- Zamilcz! Słyszałeś, że bym udzielał ci głosu? Dostrzegłeś na moich ustach, że moje uszy mają ochotę słuchać tonu twego nosowego głosu?

- ...Ale...

- Zamilcz!

Prezes ryknął tak głośno, że Błażej skurczył się o dobrych pięć centymetrów.

- Nie ma mowy, żebyśmy go stracili dla naszej sprawy - mówił Prezes. - W ogóle nie ma mowy, żebyśmy go stracili. Całą wieczność czekałem na ten tydzień i nie pozwolę ci wszystkiego zmarnować, ty gnomie! Nie wiem, jaka dotąd była twoja definicja piekła, ale może będę miał dla ciebie zupełnie nową! Powiadam ci, milcz! Postaraj się, żebym nie oglądał więcej ruchu twoich tłustych warg. Masz jakiś plan?

Błażej w pośpiechu nabazgrał kilka linijek na kartce. Prezes wziął notatkę i czytał, przesuwając się na koniec stołu. Jeśli zwycięstwo nie byłoby pewne, rozgrywkę można przerwać, a potem zacząć od nowa. Błażej proponował odwołanie Lucasa przed terminem. Nieprzytomny z wściekłości Lucyfer zgniótł kartkę w kulę i rzucił w Błażeja.

- Lucas drogo mi za to zapłaci. Sprowadź mi go tutaj jeszcze przed nocą i tym razem nie waż się tego spartaczyć!

- Nie wróci z własnej woli.

- Chcesz powiedzieć, że jego wola ma być silniejsza niż moja?

- Chcę po prostu powiedzieć, że będzie musiał umrzeć...

- ... Zapominasz o jednym szczególe... to już się stało i to dawno, tumanie!

- Skoro raniła go kula, to na pewno istnieją inne sposoby, by go trafić.

- No to je znajdź, zamiast gadać!

Błażej zniknął, było południe. Za pięć godzin minie dzień, więc zostało mu niewiele czasu na napisanie tekstu tego przerażającego kontraktu. W przygotowywaniu zabójstwa najlepszego agenta w żadnym razie nie można się zdać na przypadek.

Ford stał zaparkowany przy skrzyżowaniu ulic Polk i California, naprzeciw dużego sklepu. O tej porze dnia sznur samochodów sunął nieprzerwanie. Zofia dostrzegła starszego pana z laską, który nie mógł się zdecydować, czy przejść na drugą stronę. Czas obliczony na przebycie czterech pasów jezdni był bardzo krótki.

- Co teraz zrobimy? - spytał Lucas z zawiedzioną miną.

- Pomóż mu! - odpowiedziała, wskazując starego człowieka.

- Chyba żartujesz?

- Wcale nie żartuję.

- Chcesz, żebym pomógł staruszkowi przejść na drugą stronę bulwaru? Przecież to nie takie trudne...

- No to zrób to!

- Dobrze, zrobię - rzekł Lucas, odchodząc tyłem. Podeszedł do starszego pana i natychmiast zawrócił.

- Nie widzę sensu w tym, o co mnie prosisz.

- Może wolisz zacząć od spędzenia popołudnia na pocieszaniu osób leżących w szpitalu? To także nic trudnego, wystarczy pomóc im w zrobieniu toalety, porozmawiać z nimi, uspokoić co do stanu ich zdrowia, usiąść na krześle i poczytać im gazetę...

- No dobrze! Zajmę się twoim niedołęgą! Znowu odszedł... ale zaraz wrócił.

- Uprzedzam cię, jeśli ten osioł, tam naprzeciwko, który bawi się swoim telefonem z aparatem fotograficznym, zrobi choć jedno zdjęcie, wyślę go jak satelitę w powietrze jednym kopem w tyłek!

- Lucas!

- No dobrze, dobrze, już idę!

Brutalnie pociągnął za ramię starszego pana, który patrzył na niego ze zdziwieniem.

- Nie przyszedłeś tu liczyć aut, o ile wiem! Więc łap się za tę twoją laskę albo będziesz musiał sam pokonać przejście na drugą stronę California Street!

Światło zmieniło się na czerwone, obaj mężczyźni zeszli na jezdnię. Przy drugim pasie zebry na czole Lucasa zaczął się perlić pot, przy trzecim miał wrażenie, że cała kolonia mrówek wybrała na miejsce pobytu mięśnie jego ud, silny skurcz złapał go przy czwartym białym pasie. Serce łomotało mu jak szalone, powietrze z coraz większym trudem torowało sobie drogę do płuc. Zanim doszli na środek jezdni, Lucas zaczął się dusić. Bezpieczna strefa pozwoliła na chwilę wytchnienia i tak narzuconą przez kolor światła, które właśnie zmieniło się na zielone, podobnie jak twarz Lucasa.

- Wszystko w porządku, młodzieńcze? - spytał starszy pan. - Mam panu pomóc przejść przez jezdnię? Proszę oprzeć się na moim ramieniu, już niedaleko.

Lucas wziął jednorazową chusteczkę, którą mu podał starzec, i wytarł czoło.

- Nie mogę! - powiedział drżącym głosem. - Nie potrafię! Przykro mi, przykro, przykro!

I uciekł w stronę samochodu, gdzie czekała na niego Zofia; ze splecionymi dłońmi siedziała na masce.

- Masz zamiar go tu zostawić?

- O mało nie straciłem życia! - rzekł, dysząc.

Nie dosłyszała już końca zdania, rzuciła się między samochody, które trąbiły, bo chciały wjechać na środek jezdni. Złapała za ramię starszego pana.

- Bardzo mi przykro, naprawdę, bardzo przykro, ale to debiutant, to dopiero jego pierwszy raz - powiedziała, wystraszona.

Mężczyzna podrapał się w tył głowy, patrząc na Zofię wzrokiem coraz bardziej zaintrygowanym. Kiedy światło zmieniało się na czerwone, Lucas zawołał Zofię.

- Zostaw go tam! - krzyczał.

- Co mówisz?

- Dobrze słyszałaś! Pokonałem połowę przejścia do ciebie, teraz ty przejdź drugą połowę do mnie. Zostaw go tam, gdzie stoi!

- Zwariowałeś?

- Nie, przecież to logiczne! Czytałem w jednej wspaniałej książce Hiltona, że kochać to znaczy dzielić się; każdy musi zrobić krok w stronę tej drugiej osoby. Prosiłaś, żebym zrobił to, co jest niemożliwe, zrobiłem to dla ciebie, więc teraz ty postaraj się wyrzec części siebie samej. Zostaw tego człowieka tam, gdzie jest. Albo ten staruszek, albo ja!

Starszy pan poklepał Zofię po ramieniu.

- Nie chcę wam przerywać, ale w końcu spóźnię się przez to wasze gadanie. Niech pani idzie do niego!

I nie czekając dłużej, mężczyzna samodzielnie pokonał drugą połowę przejścia dla pieszych.

Zofia wróciła do Lucasa, który stał oparty o samochód; miała smutek w oczach. Otworzył jej drzwi, poczekał, aż usiądzie. Sam usiadł za kierownicą, ale ford nie ruszał z miejsca.

- Nie patrz tak na mnie, jest mi naprawdę przykro, że nie byłem w stanie dojść do końca - odezwał się.

Wzięła głęboki oddech i odpowiedziała w zamyśleniu:

- Potrzeba stu lat, żeby wyrosło drzewo, a tylko kilka minut, żeby je spalić...

- Zgadza się, ale do czego zmierzasz?

- Przenieś się do twojego domu, zabierzesz mnie tam.

- Chyba tego nie chcesz!

- Chcę o wiele bardziej, niż myślisz.

- Nie pozwolę ci tego zrobić, w żadnym wypadku.

- Odchodzę z tobą, Lucas, koniec, kropka.

- Nie uda ci się.

- Mówiłeś przecież, że nie doceniam samej siebie. To paradoks, twoi przyjmą mnie z otwartymi rękami! Lucas, naucz mnie zła!

Długo przypatrywał się jej wyjątkowej urodzie. Zatopiona w milczeniu, na pograniczu dwóch światów, postanowiła odbyć tę podróż, której celu nie знаła, ale której intencja odpędzała wszelki strach. Po raz pierwszy ochota na coś stała się silniejsza niż skutki, po raz pierwszy miłość nabrała zupełnie innego znaczenia, niż mogła to sobie wyobrazić. Lucas ruszył i pojechał w stronę dzielnic położonych w dole miasta.

Błażej, rozgorączkowany, wziął słuchawkę i wybełkotał, aby poproszono Prezesa albo uprzedzono go o jego, Błażeja, wizycie, która wkrótce nastąpi. Wytarł ręce o spodnie i wyjął kasetę z magnetofonu. Kiedy tak dreptał w głąb korytarza, w tempie, na jakie pozwalały mu jego krótkie nóżki, naprawdę upodabniał się do kaczki. Zapukał i zaraz potem wszedł do gabinetu Prezesa, który na powitanie uniósł jedną rękę.

- Nic nie mów! Już wiem!

- Miałem rację! - Błażej nie mógł powstrzymać się, żeby tego nie powiedzieć.

- Być może! - odpowiedział Prezes, patrząc na niego z wyniosłością.

Błażej podskoczył z radości i z całych sił uderzał jedną ręką o pięść drugiej.

- Będzie pan miał szach i mat! - krzyknął głosem przepełnionym radością. - Bo jak słusznie przewidywałem, Lucas jest prawdziwym geniuszem! Przekonał ich najlepszą agentkę do naszych celów, co za wyrafinowane zwycięstwo!

Błażej odchrząknął i mówił dalej:

- Trzeba natychmiast wstrzymać postępowanie, ale potrzebuję pańskiego podpisu.

Lucyfer wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż przeszklonej ściany.

- Mój Błażejku, jesteś tak głupi, że czasami zastanawiam się, czy twoja obecność tutaj nie jest błędem strategicznym. O której godzinie umowa zostanie wykonana?

- Wybuch nastąpi punktualnie o siedemnastej - odpowiedział, patrząc gorączkowo na zegarek.

... A więc zostało dokładnie czterdzieści dwie minuty na odwołanie całej operacji, którą Błażej tak fachowo przygotował.

- Nie mamy ani sekundy do stracenia, panie Prezesie!

- Mamy dużo czasu, zapewnimy sobie zwycięstwo, nie ryzykując odkupienia. Niczego nie zmienimy w tym, co było przewidziane... z wyjątkiem jednego... - dodał Szatan, pocierając brodę. - Sprowadzimy tu ich oboje, punktualnie o piątej!

- Ale jak na to zareaguje nasz adwersarz? - spytał Błażej, którego zaczynał już ogarniać niepokój.

- Wypadek to wypadek! O ile wiem, to nie ja wymyśliłem przypadek? Przygotuj bankiet na ich powitanie, masz tylko czterdzieści minut!

Skrzyżowanie Broadwayu i Columbus Avenue od dawna było miejscem jakby wybranym dla wszystkich występków rodzaju ludzkiego: narkotyki i ciała kobiet i mężczyzn opuszczonych przez życie wędrowały z rąk do rąk, z dala od niedyskretnych spojrzeń. Lucas zaparkował na początku wąskiej ciemnej uliczki. Pod zrujnowanymi schodami młoda prostytutka zносиła brutalność sutenera, który wymierzał jej porządną karę.

- Przypatrz się dobrze! - rzekł Lucas. - Oto mój świat, druga twarz natury ludzkiej, ta, którą chcesz zwalczyć. Idź po twoją część dobroci do tego świata ohydy, otwórz szeroko oczy, a ujrzysz zgniliznę, upodlenie, przemoc w jej najbardziej brutalnej formie. prostytutka, umierająca przy tobie, pozwala się zhańbić, bić aż do zabicia, nie stawiając oporu mężczyźnie, któremu ją sprzedano. Tak jak tej Ziemi, pozostaje jej kilka chwil życia, jeszcze kilka ciosów i wyzionie swego upadłego ducha. Oto powód tego straszego wyzwania, jakie nas łączy. Chcesz, żebym nauczył cię zła, Zofio? Wystarczy jedna lekcja, żeby w całym swym ogromie należało do ciebie i na zawsze cię pogrążyło. Przejdź tą ulicą, postaraj się nie interweniować, a zobaczysz, jakie to proste i jakie straszne; postępuj jak oni, idź tą drogą nędzy, będę na ciebie czekał na drugim końcu; kiedy już tam dojdiesz, będziesz odmieniona. Ta ulica to przejście dzielące oba światy, bez nadziei na powrót.

Zofia wysiadła z samochodu, który odjechał. Weszła w mrok, gdzie każdy krok wydawał jej się coraz cięższy. Spojrzała w dal i z całych sił starała się brnąć dalej. Pod jej stopami uliczka ciągnęła się w nieskończoność, jak dywan porzrzuconych śmieci, które pokrywały nierówny bruk.

Mury były poczerńiałe, ujrzała Sarę, prostytutkę, uginającą się pod ciosami, które spadały na nią jak seria z karabinu. Jej usta były pokryte licznymi zadrapaniami, z których sączyła się krew, tak czarna jak otchłań, jej głowa chwiała się, plecy były jedną wielką raną, żebra trzeszczały, jedno po drugim, pod gradem ciosów, lecz nagle zaczęła walczyć. Walczyła, żeby nie upaść, nie wystawić brzucha na kopniaki, które zakończyłyby ledwo tłącą się w niej resztkę życia. Cios pięści dosięgnął jej szczęki, głowa uderzyła o mur, wstrząs był tak silny, że prawie rozsadził całą czaszkę.

Sara dostrzegła Zofię, jak jakiś ostateczny promyk nadziei, jak cud ofiarowany tej, która od zawsze wierzyła w Boga. Zofia zacisnęła zęby, pięści, przeszła obok... i zwolniła. Za nią, z tyłu, kobieta uklękła na jedno kolano, nie miała już siły nawet zajęczeć. Zofia nie widziała już ręki mężczyzny, która wznosiła się jak obuch ponad poddającym się karkiem prostytutki. Wzrokiem zamglonym od łez, ogarnięta silnymi mdłościami, rozpoznała sylwetkę Lucasa, który czekał na nią ze skrzyżowanymi rękami u wylotu ulicy.

Przystanąła, cała jej istota znieruchomiała; krzyknęła jego imię. Tym okrzykiem pełnym bólu, jakiego nie mogła sobie dotąd wyobrazić, zawołała go tak głośno, że rozdarła całą ciszę świata, w ułamku sekundy zasypała wszelkie otchłanie. Lucas podbiegł do niej, minął ją, rzucił się na mężczyznę i powalił go na ziemię. Tamten od razu wstał i runął na Lucasa. Siła Lucasa była nie do opisania; mężczyzna dosłownie rozleciał się na kawałki. Broczył krwią, przeżywał tragedię pokonanej pychy, ostatni wyraz strachu, który zabierał ze sobą na śmierć.

Lucas przykucnął obok nieruchomego ciała Sary. Zmierzył puls, wsunął pod nią rękę i podniósł.

- Chodź - powiedział cicho do Zofii. - Nie mamy czasu do stracenia, ty najlepiej znasz drogę do szpitala. Ja siądę za kierownicą, ty będziesz mnie pilotować, nie jesteś w stanie prowadzić.

Położyli kobietę na tylnym siedzeniu, Zofia wyjęła ze schowka światło sygnalizacyjne i włączyła syrenę. Było pół do piątej, ford pędził w stronę San Francisco Memorial Hospital, będą tam za niecały kwadrans.

Gdy przyjechali na ostry dyżur, Sarą natychmiast zaopiekowali się dwaj lekarze, jeden z nich był specjalistą od reanimacji. Miała wgniecenie klatki piersiowej, prześwietlenie czaszki wykazało krwiak w tylnym płacie bez widocznego uszkodzenia mózgu i ciężki uraz twarzy. Badanie USG upewniło, że jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. A mało brakowało.

Lucas i Zofia wyjechali z parkingu.

- Jesteś blada jak kreda, to nie ty go pobiłaś, Zofio, to ja.

- Poniosłam klęskę, Lucasie, nie potrafię się zmienić, tak jak ty nie jestem do tego zdolna.

- Znienawidziłbym cię, gdyby ci się udało. Podoba mi się to, co jest w tobie, a nie to, kim się staniesz, kiedy zmienisz się na moją modłę. Nie chcę, żebyś się zmieniała.

- Więc dlaczego to zrobiłaś?

- Żebyś zrozumiała, że moja inność jest także twoją, żebyś nie osądzała mnie bardziej niż ja ciebie, bo ten czas, który nas oddala, myśląc nasze drogi, może też nas do siebie zbliżyć.

Zofia spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej i drgnęła.

- Co ci jest?

- Nie dotrzymam obietnicy, jaką dałam Reine, i zrobię jej przykrość. Wiem na pewno, że przygotowała herbatę, przez całe popołudnie piekła babeczki, a teraz na mnie czeka.

- Nic takiego, wybaczy ci.

- Tak, ale będzie zawiedziona, przyrzekłam, że przyjdę punktualnie, to dla niej bardzo ważne.

- Na którą się umówiłyście?

- Punktualnie na siedemnastą!

Lucas popatrzył na zegarek, była za dziesięć piąta, wzmożony ruch samochodowy raczej nie dawał szans na dotrzymanie obietnicy przez Zofię.

- Będziesz miała najwyżej kwadrans spóźnienia.

- Za późno, będzie już ciemno. Miała pokazać mi swoje fotografie w określonym świetle, żeby uwydatnić pewne szczegóły; taki pretekst dla wydobywania niektórych zdarzeń z niepamięci. Długo pracowałam nad tym, żeby otworzyła wreszcie swe serce, muszę przy niej być. Nic ponadto.

Lucas spojrzął na zegarek i pogłaskał Zofię po policzku, wydymając wargi.

- Powtórzmy numer z lampą alarmową i syreną, mamy tylko siedem minut, to nie cała wieczność. Zapnij pas!

Ford wyrwał do przodu, zjeżdżając na lewy pas i z zawrotną szybkością popędził w górę California Street. W północnej części miasta wszystkie światła sygnalizacyjne utworzyły ciągłą linię, szeroką aleję czerwonych znaków, uwalniając dla nich wszystkie skrzyżowania.

- Już, już, przecież idę! - odezwała się Reine na dźwięk dzwoneczka sygnalizującego koniec pieczenia.

Schylła się, żeby wyjąć ciasto z piekarnika. Gorąca blacha była za ciężka, Reine nie mogła utrzymać jej jedną ręką. Zostawiła otwartą klapę kuchenki i przełożyła placek na emaliowany blat stołu. Uważając, żeby się nie oparzyć, zsunęła go na deskę, wzięła szeroki, cienki nóż i zaczęła kroić na porcje. Wytarła czoło i poczuła krople potu spływające jej po karku. Nigdy się nie pocila: to zapewne ta przytłaczająca słabość, która ogarnęła ją rano i dotąd nie minęła. Zostawiła na chwilę ciasto i poszła do pokoju. Przeciąg przewiał pokój, powirował aż

za kuchenną ladę. Po powrocie do kuchni Reine spojrzała na zegar i nagle zaczęła się spieszyć; porozstawiała filiżanki na tacy. Za jej plecami zgasła jedna z siedmiu świeczek stojących na blacie, ta, która była najbliżej kuchenki gazowej.

Ford skręcił w Van Ness, Lucas skorzystał z zakrętu i spojrział na zegarek, mieli jeszcze pięć minut, żeby przyjechać punktualnie, wskazówka szybkości nagle skoczyła w górę.

Reine podeszła do starej szafy i otworzyła drzwi, które zaskrzypiały na całej długości. Jej ręka, bardzo naznaczona wiekiem, wśliznęła się pod stos bielizny z koronkami z dawnych czasów, wątle palce natrafiły na album oprawiony w popękana już skórę. Przymknęła powieki i powąchała okładkę albumu, po czym położyła go na podłodze, na dywanie pośrodku salonu. Jeszcze tylko zagotować wodę i wszystko będzie gotowe, Zofia przyjdzie dosłownie za chwilę; poczuła, że serce bije jej szybciej, starała się opanować ogarniające ją podniecenie. Poszła do kuchni, zaczęła się zastanawiać, gdzie też mogła położyć zapalnik.

Zofia złapała się jak najmocniej uchwyty nad drzwiami, Lucas uśmiechnął się do niej.

- Gdybyś wiedziała, ile już samochodów prowadziłem, nigdy żadnego nawet nie zarysowałem! Jeszcze tylko dwa światła i będziemy na twojej ulicy. Rozluźnij się, do piątej jeszcze dwie minuty.

Reine grzebała w szufladzie kredensu, potem w szufladzie szafki na naczynia, wreszcie w spiżarni - bez rezultatu. Zaciągnęła zasłonkę pod blatem i uważnie przypatrywała się półkom. Gdy się wyprostowała, poczuła jakby lekki zawrót głowy, potrząsnęła głową, po czym podjęła poszukiwania.

- Gdzież ja je mogłam położyć? - mruzczała.

Rozejrzała się wokół i w końcu dostrzegła pudełeczko, leżące na skraju kuchenki.

- Nie widzi się wody, gdy obok jest morze - powiedziała, przekręcając kurek palnika.

Koła samochodu zapiszczały na łuku drogi, Lucas wjechał właśnie w Pacific Heights; do domu pozostało nie więcej niż sto metrów. Z dumą oświadczył Zofii, że w najgorszym razie będzie miała zaledwie piętnaście sekund spóźnienia. Wyłączył syrenę... a w kuchni Reine zapaliła zapalnik.

Wybuch natychmiast zdmuchnął wszystkie szyby w oknach domu. Lucas obiema stopami przycisnął pedał hamulca, ford raptownie skręcił, w ostatniej chwili omijając drzwi wejściowe wyrzucone na środek ulicy. Zofia i Lucas popatrzyli na siebie ze zgrozą, parter zionął płomieniami, nie dało się przekroczyć tego muru ognia. Była godzina siedemnasta... i kilka sekund.

Matylda została wyrzucona na środek salonu. Wokół niej wszystko było powywracane: stół na jednej nóżce teraz leżał, rama nad kominką rozbiła się, spadając, rozprysnęła się na dywan tysiącami kawałków szkła. Drzwi lodówki zwisały na zawiasach, wielki żyrandol kołysał się niebezpiecznie uczepony gmatwaniny przewodów elektrycznych. Gryzący zapach dymu przenikał już przez legary podłogowe. Matylda podniosła się i przetarła rękami twarz, żeby usunąć z niej pył. Gips pękł na całej długości. Z determinacją rozchyliła krawędzie gipsu i odrzuciła go jak najdalej. Zebrała wszystkie siły, oparła się na wywróconym krześle i wstała. Przeszła, kuśtykając po gruzie, dotknęła drzwi wejściowych - nie były gorące, więc wyszła na klatkę schodową i dotarła aż do balustrady. Wychyliła się, dostrzegła drogę, jaką mogłaby przejść pomiędzy licznymi ogniskami pożaru, po czym zaczęła schodzić na dół, nie przejmując się gwałtownymi bólami w nodze. Temperatura w korytarzu była nie do zniesienia, bała się, że jej brwi i włosy lada chwila spłoną. Tuż obok niej rozżarzona belka odpadła od sufitu, pociągając za sobą deszcz czerwonych węgli. Trzask palącego się drewna był ogłuszający, powietrze, którym oddychała, parzyło płuca, przy każdym oddechu Matylda się dusiła. Wejście na ostatni schodek wywołało jeszcze silniejszy ból, zgięła się i wywróciła jak długa. Leżąc na podłodze, złapała odrobinę tlenu, jaka jeszcze została w pokoju. Wdychała i wydychała z wielkim wysiłkiem, odzyskała przytomność umysłu. Po prawej stronie ściana była rozpruta, wystarczyło podczołgać się kilka metrów dla uratowania życia, ale po lewej, w tej samej odległości, leżała na plecach Reine. Ich spojrzenia spotkały się poprzez woal dymu. Ruchem ręki Reine kazała jej odejść i wskazała przejście w murze.

Matylda podniosła się, wyjąc z bólu. Zaciśnęła szczęki, o mało nie połamała zębów, przysunęła się do Reine. Każdy krok był jak cios nożem w ciało. Odpychała kawałki boazerii pokrytej językami ognia i starała się iść naprzód.

Weszła do mieszkania i położyła się obok Reine, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Pomogę pani wstać, niech się pani mnie złapie - powiedziała Matylda, dysząc.

Reine odpowiedziała mrugnięciem powiek. Matylda wsunęła rękę pod kark starszej pani i spróbowała ją unieść.

Ból był nie do zniesienia, oślepiła ją konstelacja gwiazd, straciła równowagę.

- Uciekaj - rzekła Reine - nie dyskutuj i uciekaj. Powiedz ode mnie Zofii, że ją kocham, powiedz jej też, że uwielbiałam rozmowy z tobą, że jesteś osobą bardzo ujmującą. Jesteś świetną dziewczyną, Matyldo, masz serce wielkie jak ananas, więc postaraj się lepiej wybrać tego, któremu zaofiarujesz swe wdzięki, no, uciekaj, póki czas. Tak czy inaczej, zawsze chcia-

łam, aby rozsypano moje prochy wokół domu, więc, z wyjątkiem kilku drobnych spraw, zosta-
nę wysłuchana.

- Jak pani myśli, jest jakaś nadzieja, że w pani wieku będę trochę mniej uparta? Nabiorę
powietrza i za chwilę zaczynamy od nowa, wyjdziemy stąd obie... albo żadna!

W drzwiach pojawił się Lucas; szedł w ich kierunku. Uklęknął przy Matyldzie i wytłu-
maczył jej, w jaki sposób wszyscy troje wyrwą się z tego żaru.

Zdjął tweedową marynarkę, nakrył głowę Reine, aby ochronić jej twarz, wziął ją na ręce
i podniósł się z podłogi. Kiedy dał sygnał, Matylda chwyciła go za biodra i poszła w ślad za
nim, przylepiona do jego ciała, które stanowiło dla niej tarczę ochronną. Kilka chwil później
cała trójka wydobyła się z piekła.

Lucas trzymał Reine w ramionach, Matylda padła w objęcia Zofii, która do niej podbie-
gła. Syreny strażackie były coraz bliżej. Zofia położyła przyjaciółkę na trawniku sąsiedniego
domu.

Reine otworzyła oczy i patrzyła na Lucasa, z uśmiechem na ustach.

- Gdyby powiedziano mi, że piękny młody mężczyzna...

Atak kaszlu nie pozwolił jej dokończyć.

- Proszę oszczędzać siły!

- Bardzo do ciebie pasuje taka rola królewicza z bajki, ale chyba jesteś strasznym krót-
kowidzem, bo otaczają cię lepsze niż ta, którą trzymasz w ramionach.

- Pani ma ogromny wdzięk, Reine.

- Tak, na pewno, taki jak stary rower w muzeum! Nie strać jej, Lucas, to są błędy, któ-
rych sobie człowiek nigdy nie wybacza, wierz mi! A teraz może byś mnie jednak gdzieś poło-
żył, myślę, że ktoś inny się po mnie wybiera!

- Proszę nie mówić głupstw!

- A ty ich nie popełniaj!

Nadeszła pomoc. Strażacy natychmiast przystąpili do gaszenia. Pilguez podbiegł do Ma-
tyldy, Lucas podszedł do sanitariuszy, którzy pchali przed sobą nosze. Pomógł im położyć Re-
ine. Zofia wsiadła z nimi do karetki.

- Spotkamy się w szpitalu, powierzam ci Matyldę!

Policjant wezwał drugą karetkę, Pilguez kazał odwołać polecenie, sam zawiezie Matyldę,
żeby zyskać na czasie. Poprosił, aby Lucas mu pomógł, wzięli Matyldę pod ręce i usadzili na
tylnym siedzeniu auta. Ambulans z Reine był już daleko.

W samochodzie kłębiły się niebieskie i czerwone błyskające światła, Reine wyglądała przez okno, w pewnej chwili ścisnęła rękę Zofii.

- Zabawne, w dzień odejścia myśli się o tym, czego się nie widziało.

- Jestem tutaj, Reine - powiedziała cicho Zofia. - Niech pani odpoczywa.

- Wszystkie moje zdjęcia spaliły się, oprócz jednego. Miałam je przy sobie przez całe życie, chowałam je dla ciebie, chciałam ci je dać dziś wieczorem.

Reine wyciągnęła rękę i otworzyła zaciśniętą dłoń, w której nic nie było. Zofia patrzyła na nią, zmieszana, Reine uśmiechnęła się do niej.

- Myślisz, że bzikuję, co? To zdjęcie dziecka, którego nigdy nie miałam, na pewno byłoby najpiękniejsze. Weź je i połóż na sercu, mojemu sercu tak bardzo tego brakowało. Zofio, wiem, że pewnego dnia dokonasz czegoś, co sprawi, że zawsze będę z ciebie dumna. Chciałaś wiedzieć, czy Bachert to tylko ładna bajeczka? Powiem ci prawdę. Każdy z nas może uczynić tę historię prawdziwą. Nie rezygnuj ze swego życia i walcz.

Reine z czułością pogłaskała ją po policzku.

- Przybliź się, żebym mogła cię ucałować, gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham, podarowałaś mi lata prawdziwego szczęścia.

Uścisnęła Zofię, w tym uścisku przekazała jej wszystkie pozostałe jeszcze siły.

- Teraz trochę odpocznę, będę miała dużo czasu na odpoczynek.

Zofia wzięła głęboki oddech, żeby powstrzymać łzy. Oparła głowę na piersi Reine, która oddychała powoli. Ambulans zajechał pod izbę przyjęć, otworzyły się drzwi. Przeniesiono Reine i po raz drugi w tym tygodniu Zofia siedziała w poczekalni dla rodzin pacjentów.

We wnętrzu domu Reine kończył się dopalać album oprawiony w okładkę z popękanej skóry.

Obrotowe drzwi znowu się przekręciły, wyszła z nich Matylda podtrzymywana przez Lucasa i Pilguez. Podbiegła do nich pielęgniarka, popychając przed sobą fotel na kółkach.

- Nie trzeba! - rzekł Pilguez. - Zagroziła, że ucieknie, jeśli ją na tym posadzimy!

Pielęgniarka wyrecytowała z pamięci regulamin przyjmowania pacjentów do szpitala, więc Matylda uległa wymogom towarzystwa ubezpieczeniowego i usiadła, chcąc nie chcąc, na fotelu. Zofia podeszła do niej.

- Jak się czujesz?

- Cudownie.

Po Matyldę przyszedł lekarz i zabrał ją do gabinetu zabiegowego. Zofia obiecała, że na nią poczeka.

- Ale nie za długo! - rzekł Pilguez za jej plecami. Zofia odwróciła się do niego.

- W samochodzie Lucas wszystko mi powiedział - dorzucił.

- Co panu powiedział?

- Że niektóre afery w nieruchomościach tylko mu przysporzyły mu przyjaciół! Zofio, poważnie myślę, że wam obojgu grozi niebezpieczeństwo. Kiedy kilka dni temu ujrzałem pani przyjaciela w restauracji, pomyślałem, że on pracuje dla rządu, a nie że przyszedł się z panią spotkać. Dwa wybuchy gazu w dwóch miejscach, w których akurat pani się znajdowała, to dużo jak na zwykły zbieg okoliczności!

- Za pierwszym razem, w restauracji, to chyba naprawdę był wypadek! - odezwał się Lucas z drugiego końca sali.

- Być może! - ciągnął inspektor. - W każdym razie, to wynik pracy specjalisty, nie znaleźliśmy najmniejszego dowodu, który pozwoliłby przypuszczać, że chodzi o coś innego. Ci, którzy to zrobili, są szaleńcami, nie wiem, co może ich powstrzymać przed osiągnięciem zamierzonego celu. Musi pani bardzo uważać i proszę przekonać swojego przyjaciela, żeby z nami współpracował.

- To będzie raczej trudne.

- Niech pani postara się to zrobić, zanim podłoży ogień we wszystkich dzielnicach miasta! A na razie umieszczę panią w bezpiecznym miejscu na tę noc. Dyrektor Sheratona przy porcie lotniczym jest mi winien kilka kursów windą, to chyba najlepszy moment, żeby nacisnąć guzik! Przyjmie panią z pełną dyskrecją. Zatelefonuję do niego i zaraz panią tam wiozę. Proszę pożegnać się z przyjaciółką.

Zofia uniosła zasłonę i weszła do pokoju zabiegowego. Zbliżyła się do Matyldy.

- I co nowego?

- Same banały! - odpowiedziała Matylda. - Będę miała całkiem nowy gips; chcę zatrzymać mnie na obserwacji, żeby mieć pewność, że nie nawdychałam się toksycznych dymów. Naiwniacy, żeby wiedzieli, ile toksycznych substancji już w życiu pochłonęłam, nie byłiby tacy ostrożni. Jak się czuje Reine?

- Nie najlepiej. Jest na oddziale poparzeń. Teraz śpi, nie można jej odwiedzać, położyli ją w wysterylizowanej sali, na czwartym piętrze.

- Przyjedziesz po mnie jutro?

Zofia odwróciła się do niej tyłem i patrzyła na podświetlony ekran, na którym były zawieszane zdjęcia rentgenowskie.

- Matyldo, chyba nie będę mogła przyjść.

- Nie wiem dlaczego, ale tego się spodziewałam. Taki jest sens przyjaźni: cieszyć się, kiedy druga osoba zrywa z życiem w celibacie, nawet jeśli ma to oznaczać samotność. Będzie mi bardzo brakowało naszych wspólnych chwil.

- Mnie też. Matyldo, wyjeżdżam w podróż.

- Na długo?

- Tak, dość długo.

- Ale kiedyś wrócisz?

- Nie mam pojęcia.

Oczy Matyldy zamglily się smutkiem.

- Chyba rozumiem. Żyj, Zofio, miłość trwa krótko, ale wspomnienia trwają długo.

Zofia objęła Matyldę i mocno uściskała.

- Będiesz szczęśliwa? - spytała Matylda.

- Jeszcze nie wiem.

- Można będzie do ciebie czasem zadzwonić?

- Nie, myślę, że to raczej nie będzie możliwe.

- Tak daleko jest to miejsce, do którego cię zabiera?

- Jeszcze dalej. Proszę cię, nie płacz.

- Nie płacę, to ten dym ciągle piecze w oczy, no to zmykaj stąd!

- Uważaj na siebie - powiedziała Zofia cicho i odeszła.

Uniosła zasłonę i jeszcze raz popatrzyła na przyjaciółkę wzrokiem przepełnionym smutkiem.

- Dasz sobie radę sama?

- Ty też uważaj na siebie... choć raz - rzekła Matylda.

Zofia uśmiechnęła się, biała zasłona opadła.

Inspektor Pilguez siedział za kierownicą, Lucas obok niego. Silnik był już włączony. Zofia wsiadła z tyłu. Auto wyjechało spod daszku przed izbą przyjęć i skierowało się w stronę autostrady. Nikt nic nie mówił.

Zofia z ciężkim sercem przeżywała minione chwile, kładące się wspomnieniem na fasadach i skrzyżowaniach, które przemykały za oknami. Lucas przekręcił lusterko wsteczne, tak

żeby na nią patrzeć, Pilguez skrzywił się i wyprostował lusterko. Lucas poczekał parę sekund i znowu je przekręcił.

- Ma pan coś przeciwko temu, żebym prowadził? - zamruczał Pilguez i ponownie ustawił lusterko.

Opuścił osłonę przeciwsłoneczną z lusterkiem po stronie pasażera i znowu położył ręce na kierownicy.

Samochód zjechał z Highway 101 na wysokości South Airport Boulevard. Kilka chwil później zatrzymał się na parkingu Sheratona.

Dyrektor hotelu zarezerwował dla nich apartament na szóstym, najwyższym, piętrze. Zostali zapisani jako Oliver i Mary Sweet. Pilguez wzruszył ramionami i tłumaczył im, że nic bardziej nie przyciąga uwagi niż nazwiska Doe i Smith. Zanim się z nimi rozstał, polecił, aby nie opuszczali pokoju i dzwonili do *room service*, w razie gdyby chcieli coś zjeść. Dał im numer swojego beepera i powiedział, że przyjedzie po nich następnego dnia przed południem. Gdyby się nudzili, mogą zacząć redagować raport na temat wydarzeń tego tygodnia, to będzie miał mniej pracy. Lucas i Zofia tak bardzo dziękowali, że poczuł się zażenowany, po czym wyszedł, z surową miną, urozmaicając swoje „do widzenia” kilkoma „dobrze, już, dobrze”. Była godzina dwudziesta druga, drzwi apartamentu zamknęły się za nim.

Zofia poszła do łazienki. Lucas wyciągnął się na łóżku, wziął pilota i przeleciał po programach. Nagle go to znudziło. Zgasił telewizor. Słyszał, jak za drzwiami leje się woda; Zofia brała prysznic. Popatrzył na czubki swych butów, poprawił mankiet u spodni, otrzepał je na kolanach i ściągnął kant. Wstał, otworzył minibarek, zaraz potem go zamknął, podszedł do okna, podniósł zasłonę, zerknął na opustoszały parking i znowu położył się na łóżku. Obserwował własną klatkę piersiową, która unosiła się i opadała, w miarę jak oddychał, westchnął, skontrolował abażur lampki nocnej, popielniczkę przesunął trochę w prawo i wysunął szufladę nocnego stolika. Jego uwagę przyciągnęła niewielka twarda okładka książki z logo hotelu; zaczął ją czytać. Pierwsze linijki wywołały w nim lęk. Czytał dalej, przewracając kartki coraz szybciej. Przy siódmej kartce zerwał się z łóżka i zapukał do łazienki.

- Mogę wejść?

- Chwileczkę - rzekła Zofia, wkładając płaszcz kąpielowy.

Otworzyła i zobaczyła, że z gniewną miną chodzi tam i z powrotem przed drzwiami łazienki.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.

- To, że nikt już niczego nie szanuje!

Potrząsnął książką, którą trzymał w rękę, i powiedział wskazując okładkę:

- Ten Sheraton ściągnął wszystko dokładnie z książki Hiltona! I wiem, co mówię, to mój ulubiony autor.

Zofia wyjęła mu z rąk książkę, po chwili oddała. Wzruszyła ramionami:

- Lucas, przecież to Biblia!

Widząc jego zdziwioną minę, dodała przeproszająco:

- Zostaw to!

Nie miała odwagi powiedzieć mu, że jest głodna, odgadł to sam ze sposobu, w jaki kartkowała jadłospis.

- Jest coś, co chciałabym zrozumieć raz na zawsze: Dlaczego wyznaczają godziny posiłków? O co tu chodzi? Że po dziesiątej trzydzieści rano muszą nieodwołalnie schować płatki kukurydziane do kasy pancерnej zamykanej na zamek z datownikiem, który otworzy się dopiero następnego dnia rano? Dziwna rzecz, prawda? A jeśli masz ochotę na płatki zbożowe o dziesiątej trzydzieści, ale wieczorem? Popatrz, to samo z naleśnikami! A może by tak zmierzyć długość kabla od suszarki w łazience, wtedy wszystko stanie się jasne! Ten, kto wymyślił takie urządzenie, musiał być całkiem łysy; trzeba stać dziesięć centymetrów od ściany, żeby móc wysuszyć czuprynę! Lucas objął ją i przytulił, żeby się uspokoiła.

- Stajesz się coraz bardziej wymagająca! Rozejrzała się wokół i zarumieniała.

- Może tak!

- Jesteś głodna!

- Wcale nie!

- A ja myślę, że tak!

- Mogę coś przekąsić, ale tylko dla twojej przyjemności.

- *Frosties* czy *Special K*?

- Te, które robią „Snap, krak, pop”, kiedy je się gryzie?

- *Rice Krispies*! Zaraz się tym zajmę.

- Ale bez mleka!

- Bez nabiału - zgodził się Lucas, biorąc do ręki słuchawkę.

- Za to z cukrem, dużo cukru!

- To też załatwię!

Odłożył słuchawkę i usiadł obok niej.

- Nic nie zamówiłeś dla siebie?

- Nie, nie jestem głodny - odpowiedział.

Room service dostarczył zamówienie, Zofia wzięła ręcznik i rozłożyła go na łóżku. Po każdej łyżeczce dla siebie wkładała jedną do ust Lucasa, a on zjadał bez sprzeciwu. Gdzieś w oddali rozpętała się burza. Lucas wstał i zasłonił okno. Wrócił i położył się obok Zofii.

- Jutro postaram się znaleźć jakieś rozwiązanie, żebyśmy im się wymknęli - powiedziała.

- Na pewno jest jakiś sposób.

- Nic nie mów - szepnął. - Wyobrażałem sobie fantastyczne niedziele, przeżywanie z tobą jutra, w nadziei, że będzie mnóstwo następnych dni, ale pozostał nam tylko jeden jedyny dzień i chcę, żebyśmy go przeżyli prawdziwie.

Poły płaszcz kąpielowego Zofii lekko się rozchyliły, on ściągnął je z powrotem; przycisnęła usta do jego warg i wyszeptała:

- Zrób tak, żebym upadła!

- Nie, Zofio, skrzydełka wytatuowane na twoim ramieniu bardzo do ciebie pasują, nie chcę, żeby się spaliły.

- Chcę wyjechać z tobą.

- Nie w ten sposób, nie po to.

Poszukał po omacku wyłącznika lampy, Zofia przytuliła się do niego całym ciałem.

W szpitalnym pokoju Matyllda zgasiła światło. Tej nocy znowu będzie spała dokładnie nad łóżkiem Reine. Dzwony katedry wybiły północ.

I tak upłynął wieczór i poranek...

Dzień szósty

Na czubkach palców podeszła do okna. Lucas jeszcze spał. Rozsunęła zasłony, za oknem świecił listopadowy dzień. Spojrzała na słońce przebijające mgłę, po czym odwróciła się, żeby popatrzeć na Lucasa, który właśnie się przeciągał.

- Spałaś trochę?

Owinęła się szlafrokiem i przytknęła czoło do szyby.

- Zamówiłam dla ciebie śniadanie, zaraz pewnie przyniosą, więc pójdę się ubrać.

- To takie pilne? - spytał, biorąc ją za rękę i przyciągając do siebie.

Usiadła na skraju łóżka i wsunęła rękę we włosy Lucasa.

- Czy wiesz, kto to jest Bachert? - zapytała.

- Coś mi to mówi, chyba gdzieś przeczytałem takie słowo - odpowiedział, marszcząc czoło.

- Nie chcę, żebyśmy zrezygnowali.

- Zofio, piekło depta nam po piętach, mamy czas tylko do jutra i żadnego miejsca, do którego moglibyśmy uciec. Zostańmy więc tutaj i przeżyjmy razem to, co jest nam dane.

- Nie, nie poddam się ich woli. Nie jestem pionkiem na ich szachownicy, muszę wymyślić ruch, jakiego nie przewidzieli. Zawsze jest jakiś buntownik, który chce dokonać tego, co niemożliwe.

- Ale ty mówisz o cudzie, a to przecież nie jest moja domena...

- Podobno moja! - powiedziała i poszła otworzyć kelnerowi.

Podpisała rachunek, zamknęła drzwi i pchnęła stół na kółkach do pokoju.

- Teraz jestem zbyt daleko od ich myśli, nie usłyszą mnie - mówiąc to, napełniała filiżankę.

Wsypała trzy torebki cukru do płatków zbożowych.

- Naprawdę nie chcesz mleka? - spytał.

- Nie, dziękuję, stają się zbyt miękkie.

Spojrzała przez okno na rozciągające się w dali miasto i poczuła, że wzbiera w niej złość.

- Nie mogę patrzeć na te ściany wokół mnie i wmawiać sobie, że są bardziej nieśmiertelne niż teraz my, budzi to we mnie wściekłość.

- Witaj na ziemi, Zofio!

Lucas wstał i zostawił niedomknięte drzwi do łazienki. Zofia odsunęła stolik, zamysliła się. Wstała, przeszła przez niewielki salonik, poszła do pokoju i położyła się na łóżku. Jej uwagę przyciągnęła książka leżąca na nocnym stoliku. Zofia skoczyła na równe nogi.

- Znam takie miejsce! - krzyknęła do Lucasa.

Wsunął głowę przez uchylone drzwi, kłęb pary otaczał jego twarz.

- Ja znam bardzo dużo miejsc!

- Ale ja nie żartuję, Lucas!

- Ja też nie - rzekł przekornie. - Powiesz mi coś więcej? W tej pozycji w połowie mi zimno, w połowie ciepło, bo jest duża różnica temperatury pomiędzy tymi pomieszczeniami.

- Znam takie miejsce na ziemi, gdzie moglibyśmy bronić naszej sprawy.

Miała tak smutną i zakłopotaną minę, tak niepewną w swej nadziei, że Lucas się zaniepokoił.

- Co to za miejsce? - spytał poważnym tonem.

- Prawdziwy dach świata, święta góra, gdzie wszystkie religie współistnieją i respektują się nawzajem: to góra Synaj. Jestem pewna, że tam, na górze, będę mogła jeszcze porozmawiać z moim Ojcem, a On może mnie wysłucha.

Lucas spojrzął na zegar na magnetowidzie.

- Dowiedz się o rozkład lotów, ja idę się ubrać, zaraz wracam.

Zofia rzuciła się w stronę telefonu, wykręciła numer informacji lotniczej. Nagrany głos obiecał, że zaraz otrzyma połączenie z wybranym abonentem. Z niecierpliwością patrzyła przez okno na mewę, wzbijającą się do lotu. Obgryzła kilka paznokci, ciągle nikt się nie zgłaszał, Lucas stanął za jej plecami i obejmując ją, wyszeptał:

- Co najmniej piętnaście godzin lotu, do tego trzeba jeszcze dodać dziesięć godzin różnicy w czasie... kiedy tam przyjedziemy, nie zdążymy nawet pożegnać się na lotnisku, tak szybko uda im się nas rozdzielić. Już za późno, Zofio, dach twojego świata jest zbyt daleko stąd.

Słuchawka telefonu powędrowała na swoje miejsce. Zofia odwróciła się, żeby popatrzeć mu głęboko w oczy, i po raz pierwszy się pocałowali.

W pewnej odległości stąd, bardziej na północ, mewa usiadła na innej balustradzie. Ze swej szpitalnej sali Matylda zostawiła wiadomość na telefonie komórkowym Zofii.

Zofia zrobiła kilka kroków do tyłu.

- Znam jeden sposób - powiedziała.

- Nie rezygnujesz!

- Z nadziei? Nigdy! Jestem tak zaprogramowana! Ubieraj się szybko i zaufaj mi.

- Nic innego nie robię!

Dziesięć minut później wyszli z hotelu na parking, wtedy Zofia zdała sobie sprawę, że potrzebny im samochód.

- Ale jaki? - zapytał Lucas zawiedzionym głosem, patrząc na auta stojące na parkingu.

Na prośbę Zofii postanowił „pożyczyć sobie” auto najmniej rzucające się w oczy. Wjechali na Highway 101, tym razem w kierunku północnym. Lucas chciał się dowiedzieć, dokąd jadą, ale Zofia, zajęta poszukiwaniem telefonu w swej podróźnej torbie, nie odpowiadała. Nie zdążyła wybrać numeru inspektora Pilguez - chciała zawiadomić go, żeby się już nie trudził - gdy telefon zadzwonił. Odebrała:

„To ja, Matylda, chciałabym ci powiedzieć, żebyś już się o mnie nie martwiła. Do tego stopnia zatrulałam im ranek, że wypiszą mnie jeszcze przed południem. Dzwoniłam do Manki, przyjedzie po mnie i odstawi mnie do domu, obiecał też, że będzie co wieczór przywoził mi kolację, do czasu aż wyzdrowieję... być może to jeszcze potrwa... Stan Reine nie zmienił się, nie można jej odwiedzać, ciągle śpi. Zofio, jest tyle słów, które wypowiada się w miłości, ale nie w przyjaźni, więc powiem ci, że byłaś czymś o wiele więcej niż światłem moich dni czy sprzymierzeńcem w nocy, byłaś i będziesz moją przyjaciółką. Gdziekolwiek jesteś, życzę ci powodzenia. Już mi cię brakuje”.

Zofia ze wszystkich sił przycisnęła wyłącznik, telefon zgasł; wrzuciła go na dno torby.

- Jedź do centrum miasta.

- Dokąd chcesz nas zawieźć?

- Jedź w kierunku Transamerica Building, wieży w kształcie piramidy, przy Montgomery Street.

Lucas zatrzymał auto na awaryjnym pasie jezdni.

- O co właściwie chodzi?

- Nie zawsze można liczyć na linie lotnicze, ale połączenie z niebem to jedna wielka niewiadoma. Ruszaj!

Stary chrysler ruszył przed siebie, w głębokiej ciszy. Zjechali z autostrady 101 na wysokości Trzeciej Ulicy.

- Dzisiaj jest piątek? - spytała Zofia, nagle zaniepokojona.

- Niestety! - odpowiedział.

- Która godzina?

- Prosiłaś o samochód nierzucający się w oczy! Zauważ, że tu nie ma nawet zegara! Za dwadzieścia minut południe!

- Zawracajmy, muszę dotrzymać pewnej obietnicy, podjedź do szpitala, proszę.

Lucas zakręcił, pojechał w górę California Street, dziesięć minut później wchodzili na teren szpitala. Zofia poprosiła, żeby zaparkował przed oddziałem pediatrycznym.

- Chodź - powiedziała, zamykając drzwi.

Wszedł za nią do hallu, aż do wind. Wzięła go za rękę, pociągnęła i nacisnęła guzik. Kabina pojechała na siódme piętro.

Pośrodku korytarza, gdzie bawiła się gromada innych dzieci, dostrzegła małego Tomasa. Uśmiechnął się na jej widok, czułym gestem przywitała się z nim i podeszła bliżej. Rozpoznała anioła u jego boku. Znieruchomiała, Lucas poczuł, jak palce jej dłoni mocniej zaciskają się na jego rękę. Dziecko wzięło za rękę Gabriela i poszło dalej korytarzem, nie spuszczać z niej wzroku. Przy drzwiach wychodzących na jesienny ogród chłopczyk odwrócił się po raz ostatni. Szeroko otworzył dłoń i zdmuchnął z niej całusa. Przymknął powieki i z uśmiechem na ustach zniknął w bladym świetle tego późnego poranka. Zofia także zamknęła oczy.

- Chodź - szepnął Lucas, pociągając ją.

Gdy samochód wyjeżdżał z parkingu, ogarnęły ją mdłości.

- Mówiłeś, że są takie dni, kiedy świat zamyka się za nami? - spytała Zofia.

- To właśnie jeden z takich dni.

Jechali przez miasto bez jednego słowa. Lucas nie wybierał skrótów, wręcz przeciwnie, wybierał najdłuższe drogi. Kiedy znaleźli się na brzegu oceanu, zatrzymał auto. Zofia zabrała go na spacer po plaży zalewanej morską pianą.

Godzinę później znaleźli się u stóp wieżowca. Zofia trzykrotnie okrążyła budynek w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania.

- Za skradzione samochody nie płaci się mandatu! - powiedział, wznosząc wzrok ku niebu. - Zaparkuj byle gdzie!

Zofia zatrzymała auto w miejscu zarezerwowanym dla dostawców. Poszła w kierunku wschodniego wejścia, Lucas dotrzymał jej kroku. Kiedy płyta w ścianie poruszyła się, odruchowo zrobił krok do tyłu.

- Jesteś pewna, że to, co robisz, jest słuszne? - spytał zaniepokojony.

- Nie! Idź za mną!

Przeszli korytarze prowadzące do wielkiego hallu. Piotr siedział za swoim kontuarem, na ich widok podniósł się z miejsca.

- Nie brak ci tupetu, żeby go tu przyprowadzać! - powiedział do Zofii z oburzeniem.

- Potrzebuję cię, Piotrze.

- Czy wiesz, że wszyscy cię szukają, że wszyscy stróże depczą ci po piętach? Co takiego zrobiłaś, Zofio?

- Nie mam teraz czasu, żeby ci to wyjaśniać.

- Po raz pierwszy widzę tu kogoś, kto się spieszy.

- Musisz mi pomóc, mogę liczyć tylko na ciebie. Muszę się znaleźć na górze Synaj, daj mi dostęp do przejścia, które tam prowadzi przez Jerozolimę.

Piotr potarł brodę, przyglądając się im obojgu.

- Nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz, nigdy by mi tego nie wybaczone. Ale za to - mówił, odchodząc w stronę przeciwległego krańca hallu - będziesz miała dość czasu na znalezienie tego, czego szukasz, podczas gdy ja pójde zawiadomić ochronę o waszej tu obecności. Zerknij do środkowej przegródki konsoli.

Zofia poszła za kontuar opuszczony przez Piotra i otworzyła szuflady. Zdjęła klucz, który wydawał jej się odpowiedni, i pociągnęła za sobą Lucasa. Ukryte w ścianie drzwi otworzyły się, gdy wsunęła kluczyk. Gdzieś za plecami usłyszała głos Piotra.

- Zofio, to jest wyjście bez powrotu, czy wiesz, co robisz?

- Dziękuję za wszystko, Piotrze!

Skinął głową i pociągnął za duży uchwyt wiszący na łańcuchu, rozdzwoniły się dzwony Grace Cathedral, Zofia i Lucas ledwo zdążyli przemknąć ciasnym korytarzem, zanim zamknęły się wszystkie drzwi wielkiego hallu.

Po kilku chwilach wyszli otworem w palisadzie, otaczającej rozległy pusty obszar.

Słońce opromieniało swym światłem niewielką uliczkę z trzy- lub czteropiętrowymi domami o zniszczonych fasadach. Lucas rozglądał się wokół z zakłopotaną miną. Zofia zwróciła się do człowieka, który właśnie przechodził.

- Mówi pan w naszym języku?

- A co, może wyglądam na prostaka? - odpowiedział obrażony i odszedł.

Zofii to nie zraziło, podeszła do następnego przechodnia.

- Szukam...

Jeszcze nie dokończyła zdania, a już ów człowiek był na przeciwległym chodniku.

- Ale uprzejmi ludzie, jak na święte miasto! - zauważył Lucas z ironią.

Zofia nic sobie nie robiła z jego uwagi i zwróciła się do trzeciej osoby. Ubrany na czarno mężczyzna był zapewne duchownym.

- Ojcie - poprosiła - może mi ojciec wskazać drogę na górę Synaj?

Ksiądz zmierzył ją od stóp do głów i odszedł, wzruszając ramionami. Oparty o latarnię Lucas stał ze złożonymi rękami i uśmiechał się. Zofia zapytała kobietę, która szła w jej kierunku.

- Przepraszam panią, szukam góry Synaj?...

- To wcale nie jest zabawne, proszę pani - odpowiedziała, odchodząc.

Zofia podeszła do sprzedawcy peklowanych przetworów, który układał towar na straganie, rozmawiając z dostawcą.

- Dzień dobry, czy któryś z panów może mi wskazać drogę na górę Synaj?

Mężczyźni popatrzyli na siebie z zaciekawieniem i powrócili do swego zajęcia, nie zwracając na Zofię najmniejszej uwagi. Kiedy przechodziła przez ulicę, o mało nie wpadła pod samochód; kierowca trąbił klaksonem, niemal ją musnął.

- Naprawdę, są czarujący - mruknął cicho Lucas.

Zofia rozglądała się w poszukiwaniu następnych przechodniów. Ogarniała ją wściekłość, chwyciła pustą skrzynkę, leżącą obok straganu, wyszła na jezdnię, stanęła na środku skrzyżowania, wstąpiła na to naprędce wymyślone podwyższenie i z rękami opartymi na biodrach krzyknęła:

- Czy ktoś tutaj zechciałby przez chwilę mnie wysłuchać, mam ważne pytanie!

Ulica znieruchomiała, wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Pięciu mężczyzn, którzy właśnie przechodzili, zbliżyło się, powiedzieli jednogłośnie:

- Jakie pytanie? My znamy odpowiedź!

- Muszę się udać na górę Synaj, to bardzo pilne!

Rabini otoczyli ją w koło. Radzili się jeden drugiego, gestykułując, wymieniali opinie na temat najodpowiedniejszej drogi, jaką powinno się obrać. Jakiś człowiek niskiego wzrostu precyzyjnie się pomógł między nimi i podszedł do Zofii.

- Proszę pójść ze mną, mam samochód, mogę panią zawieźć.

Skierował kroki do starego forda zaparkowanego kilka metrów dalej. Lucas odszedł wreszcie od latarni i przyłączył się do nich.

- Proszę się pospieszyć - dodał mężczyzna, otwierając drzwi samochodu. - Od razu trzeba było mówić, że to pilne.

Lucas i Zofia usiedli z tyłu, samochód ruszył z kopyta. Lucas rozejrzył się wokół, znowu zmarszczył brwi i nachylił się do ucha Zofii:

- Lepiej połóżmy się na siedzeniu, głupio byłoby, gdyby nas nakryli tak blisko celu.

Zofia nie miała najmniejszej ochoty na dyskusję. Lucas ułożył się, ona oparła głowę na jego kolanach. Kierowca rzucił okiem w lusterko wsteczne, Lucas posłał mu szeroki uśmiech.

Auto jechało z dużą prędkością, potrząsając pasażerami. Pół godziny później gwałtownie zahamowało na skrzyżowaniu.

- Chcieliście góry Synaj, no to jesteście na tej górze! - powiedział z zadowoleniem kierowca, odwracając się do nich.

Zofia podniosła się, zdziwiona, kierowca wyciągnął do niej rękę.

- Już? Myślałam, że to jest o wiele dalej.

- A to było o wiele bliżej! - odpowiedział mężczyzna.

- Dlaczego podaje mi pan rękę?

- Dlaczego? - powtórzył podnosząc głos. - Z Brooklynu do Madison Avenue 1470 kosztuje dwadzieścia dolarów, dlatego!

Zofia wyjrzała przez okno i szeroko otworzyła oczy. Przed nimi wznosiła się wielka fasada Mont Sinai Hospital na Manhattanie.

Lucas westchnął.

- Tak mi przykro, nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć.

Zapłacił kierowcy i pociągnął za sobą Zofię, która nie mogła wydusić z siebie słowa. Chwiejąc się, doszła do ławki na przystanku autobusowym i usiadła; była kompletnie osłupiała.

- Pomyliłaś się z tą górą Synaj, wzięłaś klucz do małej Jerozolimy w Nowym Jorku - powiedział Lucas.

Uklęknął przed nią i wziął jej rękę w swoje dłonie.

- Zofio, przerwij to już... Przez tysiące lat nie udało im się rozstrzygnąć losów świata, a ty myślisz, że mamy szansę zrobić to w siedem dni? Jutro w południe będziemy już osobno, nie traćmy więc ani minuty z czasu, który nam jeszcze pozostał. Dobrze znam miasto, pozwól mi uczynić z tego dnia naszą chwilę wieczności.

Wziął ją pod rękę i poszli w dół Piątą Aleją, w kierunku Central Parku.

Zaprowadził ją do małej knajpki w Village. Ogródek z tyłu był o tej porze pusty, zamówili sobie wystawny obiad. Potem poszli aż do SoHo, zaglądali do wszystkich butików, dziesięć razy się przebierali, zostawiając zdjęte przed chwilą ubrania bezdomnym, którzy wałęsali się po ulicy. O piątej Zofia zapragnęła deszczu, sprowadził ją po podjeździe do podziemnego parkingu i zostawił pośrodku chodnika. Zapalił zapalniczkę pod czujnikiem przeciwpożarowym, po czym szli, trzymając się za ręce, w strugach niezwyklej ulewy. Biegiem uciekali na dźwięk pierwszych strażackich syren. Suszyli się przy kracie ogromnego wywietrznika, potem poszli się ukryć w kinie. Nie zwracali uwagi na zakończenie filmów, dla nich liczył się tylko początek; siedem razy zmieniali salę, nie gubiąc ani ziarenka prażonej kukurydzy w czasie szaleńczych biegów korytarzem. Kiedy wyszli, Union Square był już pogrążony w ciemności. Taksówka zawiozła ich na róg Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Weszli do dużego domu mody, który późno zamykał swe podwoje. Lucas wybrał dla siebie czarny smoking, ona modny kostium.

- Wyciąg z konta przychodzi dopiero pod koniec miesiąca! - szepnął jej do ucha, kiedy wahała się, którą etolę wybrać.

Wyszli na Piątą Aleję, przeszli przez hall dużego hotelu, stojącego na skraju parku. Wjechali na ostatnie piętro. Od stolika, do którego ich zaprowadzono, roztaczał się wspaniały widok. Spróbowali wszystkich potraw, zupełnie jej nieznanych, długo wybierała desery.

- Tyje się dopiero następnego dnia - oświadczyła, decydując się na czekoladowy mus.

O jedenastej wieczorem weszli do Central Parku. Było tam bardzo łagodne powietrze. Szli alejkami oświetlonymi światłem latarni, usiedli na ławce pod wysoką wierzbą. Lucas zdjął marynarkę i okrył nią ramiona Zofii. Patrzyła na mostek z białego kamienia, którego sklepienie wznosiło się nad alejką, i powiedziała:

- W mieście, do którego chciałam cię zabrać, jest wielki mur. Ludzie piszą życzenia na kartce papieru, którą wsuwają między kamienie. Nikt nie ma prawa ich stamtąd wyjąć.

Alejką przeszedł kloszard, pomachał im, jego postać zniknęła w mroku pod mostkiem. Zapanowała długa chwila ciszy. Lucas i Zofia patrzyli w niebo, duży okrągły księżyc roztaczał wokół nich srebrzyste światło. Ich ręce splotły się, Lucas pocałował wewnętrzną stronę jej dłoni, wdychał zapach jej skóry i szeptał:

- Jedna chwila z tobą warta była całej wieczności. Zofia przytuliła się do niego.

Lucas wziął ją w ramiona i pod osłoną nocy czule kochał.

Julian wszedł do szpitala. Skierował się w stronę wind; nikt go nie zauważył, bo Aniołowie Weryfikatorzy, kiedy chcą, potrafią być niewidzialni... Nacisnął guzik czwartego piętra. Kiedy przechodził obok dyżurki, pielęgniarka nie dostrzegła sylwetki posuwającej się w półmroku korytarza. Przystanął pod drzwiami jednej z sal, podciągnął tweedowe spodnie w jodełkę, delikatnie zapukał i wszedł do środka na palcach.

Podszedł blisko, uniósł cienką zasłonkę otaczającą łóżko, na którym spała Reine, i usiadł obok. Gdy rozpoznał marynarkę wiszącą w szafie, wzruszenie zamgliło mu oczy. Poglaskał twarz Reine.

- Tak bardzo mi cię brakowało - wyszeptał. - Dziesięć lat bez ciebie to bardzo długo.

Złożył pocałunek na jej ustach; mały zielony ekranik na nocnym stoliku podpisywał życie Reine Sheridan długą ciągłą linią.

Cień Reine podniósł się z łóżka i odeszli oboje, trzymając się za ręce...

... Była północ, w Central Parku Zofia zasnęła na ramieniu Lucasa.

I tak upłynął wieczór i poranek.

Dzień siódmy

Lekki wietrzyk wiał nad Central Parkiem. Ręka Zofii ześliznęła się na poręcz ławki i opadła. Zadrżała od porannego chłodu. Zaspana podniosła kołnierz płaszcza i przyciągnęła do siebie kolana. Białe światło wstającego dnia wnikało pod zamknięte powieki; obejrzała się. Gdzieś niedaleko na drzewie ćwierkał ptak, rozpoznała krzyk wlatującej mewy. Przeciągnęła się, jej palce po omacku szukały nogi Lucasa. Ręka wędrowała po drewnianej ławce, ale na nic nie trafiała. Zofia przebudziła się i uświadomiła sobie swoją samotność.

Natychmiast zaczęła go wołać, ale nikt nie odpowiadał. Wstała i rozejrzała się wokół. Alejki były puste, rosa nietknięta.

- Lucas? Lucas? Lucas?

Przy każdym zawołaniu jej głos był coraz bardziej nabrzmiały niepokojem, coraz słabszy, urażony. Obracała się w kółko, wykrzykując imię Lucasa, aż do zawrotu głowy. Cichy szelest liści świadczył tylko o lekkim wietrze.

Gorączkowo podbiegła do mostku, zadrżała od ukłucia zimna. Szła wzdłuż białego murku i znalazła list wsunięty w szczelinę.

Zofio!

Patrzę, jak śpisz, mój Boże, jakaś ty piękna. Przewracasz się z boku na bok, tej ostatniej nocy, drżysz, ja cię mocno przytulam, okrywam płaszczem, chciałbym cię tak okrywać we wszystkie twoje zimy. Masz spokojny wyraz twarzy, głaszczę cię po policzku i po raz pierwszy w życiu jestem smutny i zarazem szczęśliwy.

To już koniec naszej chwili, początek wspomnienia, które dla mnie będzie trwało wieczność. W każdym z nas było tyle spełnienia i niedopełnienia, kiedy się spotkaliśmy.

Zniknę o świcie, oddalę się krok po kroku, żeby jeszcze rozkoszować się każdą sekundą ciebie, aż do ostatecznej chwili. Zniknę za tym drzewem, żeby wyjść naprzeciw najgorszemu. Pozwolę się pokonać, ogłosimy w ten sposób zwycięstwo twoich, a oni ci wybaczą, bez względu na winy. Wracaj, moja ukochana, wracaj do tego domu, który jest twoim domem i w którym tak ci dobrze. Chciałbym dotknąć murów twojego raju o słonym zapachu, ujrzeć z twoich okien poranki wstające na horyzontach, których nie znam, ale wiem, że są twoje. Osiągnęłaś to, co niemożliwe, odmieniłaś jakąś część mnie. Chciałbym, abys zawsze ze mną była, chciałbym oglądać światło tego świata wyłącznie przez pryzmat twoich oczu.

Tu, gdzie ciebie nie ma, ja nie istnieję. Nasze ręce wymyśliły jedną rękę o dziesięciu palcach; twoja, leżąca na mnie, stawiała się moją do tego stopnia, że kiedy zamykały się twoje oczy, ja zasypiałem.

Nie smuć się, nikt nam nie ukradnie naszych wspomnień. Wystarczy, że zamknę oczy, a od razu cię widzę, przestaję oddychać, aby poczuć twój zapach, stanąć twarzą do wiatru, aby domyślić się twego oddechu. Posłuchaj: gdziekolwiek będę, usłyszę twoje wybuchy śmiechu, dojrzę uśmiech w twoich oczach, usłyszę dźwięk twego głosu.

Świadomość, że jesteś gdzieś na tej ziemi, będzie w moim piekle moim malutkim kącikiem raju.

Jesteś moim Bachertem, kocham cię Lucas

Zofia skuliła się na dywanie z liści, ściskając list w palcach. Podniosła głowę i patrzyła na niebo zasnute smutkiem.

W parku imię Lucasa zabrzmiało tak, jak nigdy jeszcze ziemia tego nie słyszała; z rękami wzniesionymi jak najwyżej ku niebu Zofia zburzyła ciszę, a jej wołanie wstrzymało bieg świata.

- Dlaczego mnie opuściłeś? - pytała.

- Mimo wszystko mogłabyś nie przesadzać! - odpowiedział głos Michała, który ukazał się pod łukiem mostku.

- Opiekunie mój?

- Dlaczego płaczesz, Zofio?

- Potrzebuję cię - wyznała, biegnąc do niego.

- Przychodzę po ciebie, Zofio, musisz teraz wrócić ze mną, skończyło się.

Podał jej rękę, ale ona się cofnęła.

- Nie wracam. Mój raj nie jest już u nas. Michał podszedł do niej i wziął ją pod rękę.

- Chcesz zrezygnować ze wszystkiego, co dał ci twój Ojciec?

- Po co dostałam serce, jeśli ma pozostać puste, Opiekunie?

Stanął twarzą do niej i położył ręce na jej ramionach; patrzył na nią uważnie, uśmiechał się ze współczuciem.

- Co takiego zrobiłaś, Zofio?

Utkwiła smutne spojrzenie w jego oczach; wytrzymała jego wzrok i powiedziała:

- Pokochałam.

Wtedy głos opiekuna stał się przytłumiony, spojrzenie zaczęło uciekać, a światło dnia przenikało jego twarz, w miarę jak znikał.

- Pomóż mi - błagała.

- Taka była umowa...

Nigdy nie usłyszała końca tego zdania; zniknął, już go nie usłyszy.

- ... święta - dokończyła, odchodząc samotnie alejką.

Michał wyszedł z windy, minął hostessę, którą przywitał gestem pełnym zniecierpliwienia, po czym poszedł szybkim krokiem przez korytarz. Zapukał do drzwi głównego biura i wszedł, nie czekając.

- Houston, mamy problem! Drzwi zamknęły się za nim.

Kilka minut później grzmiący głos Pana zatrzęsł murami domu. Michał wyszedł, dając do zrozumienia wszystkim, których spotykał na korytarzach, że sprawa idzie ku lepszymu w tym najlepszym ze światów i że mogą spokojnie wracać do swoich zajęć. Wśliznął się za kon-tuar recepcjonistki i nerwowo wyglądał przez okno.

W swoim gigantycznym gabinecie Pan gniewnym okiem popatrzył na przeciwległą ścianę, prawą ręką wysunął szufladę, przekręcił tajemną przegrodkę i gwałtownym ruchem odsłonił zatrask włącznika.

Mocnym ciosem pięści uderzył w przycisk. Ściana obróciła się powoli na szynach, otwierając się na gabinet Prezesa; obydwie stoły utworzyły teraz jeden ogromny blat, przy którym siedzieli - każdy na swoim końcu.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - spytał Prezes.

- Nie mogę uwierzyć, że się odważyłeś!

- Odważyłem... co? - szepnął Szatan.

- Oszukiwać!

- Bo to ja pierwszy oszukiwałem, tak? - arogancko zaproponował Prezes.

- Jak mogłeś ingerować w los naszych wysłanników? Nie masz już żadnych zahamowań?

- To już naprawdę wszystko stoi na głowie, wszystko słyszałem! - kpił Szatan. - To ty pierwszy zacząłeś oszukiwać, stary!

- Ja oszukiwałem?

- Oczywiście!

- Kiedy oszukiwałem?

- Nie udawaj aniołka, jak ze mną rozmawiasz!

- Ale co takiego zrobiłem? - spytał Bóg.

- I znowu zaczynasz! - odpowiedział mu Lucyfer.

- Co?

- LUDZI!

Bóg zakaszlał, pogłaskał koniuszek brody, patrząc na przeciwnika.

- Natychmiast masz przestać ich prześladować!

- A jeśli nie, to co?

- Jeśli nie, to ja zacznę cię prześladować!

- Ach tak? Spróbuj, to zobaczymy! Już mi się chce śmiać! Twoim zdaniem adwokaci rezydują u ciebie czy u mnie? - odpowiedział Prezes, naciskając guzik w swojej szufladzie.

Ściana powoli wracała na swoje miejsce. Bóg czekał, aż będzie w połowie drogi, wziął głęboki oddech i wtedy Szatan usłyszał jego głos z drugiego końca sali:

- BĘDZIEMY DZIADKAMI!

Ściana znieruchomiała. Bóg zobaczył przerażoną minę Szatana, który pochylił się, żeby jeszcze na niego popatrzeć.

- Co powiedziałeś?

- Bardzo dobrze słyszałeś!

- Chłopczyk czy dziewczynka? - spytał Szatan cichym, pełnym niepokoju głosem.

- Jeszcze nie zdecydowałem! Szatan zerwał się na równe nogi.

- Poczekaj, już idę! Tym razem naprawdę musimy porozmawiać!

Prezes okrążył biuro, przekroczył oddzielającą ich przegrodę i usiadł obok Pana, na drugim końcu stołu... wywiązała się długa rozmowa, która trwała... trwała... trwała aż do wieczora...

A potem nastąpił poranek i...

... Wieczność

Lekki wietrzyk wiat nad Central Parkiem...

Stos liści zaczął się unosić, wirując wokół ławki, stojącej przy alejce spacerowej. Bóg i Szatan siedzieli na oparciu. Ujrzeni ich już z oddali. Lucas trzymał Zofię za rękę. Drugą, wolną ręką, oboje pchali podwójny wózek. Przeszli obok Boga i Szatana, nie widząc ich.

Lucyfer westchnął ze wzruszenia.

- Możesz mówić, co chcesz, ale dziewczynka jest bardziej udana! - zaczął.

Bóg odwrócił się i zmierzył go drwiącym wzrokiem.

- Przyrzekliśmy sobie chyba, że nie będziemy rozmawiać o dzieciach?

Podnieśli się z miejsca i ramię w ramię poszli alejką.

- Zgoda - powiedział Lucyfer - na tym świecie całkiem doskonałym lub niedoskonałym byłoby nam nudno, zapomnijmy o tym! Ale kiedy już jesteśmy sam na sam, możesz mi powiedzieć! Zacząłeś oszukiwać czwartego czy piątego dnia?

- Ale po co miałbym oszukiwać?...

Bóg położył rękę na ramieniu Lucyfera i uśmiechnął się:

- ... A gdzie w tym wszystkim przypadek!...

I tak upłynął wieczór... i wiele innych poranków.

